

Wołanie
na
Mlecznej
Drodze

Wstęp

Opowiadania zamieszczone w tej książce zostały wybrane spośród utworów nadesłanych na konkurs ogłoszony w 1973 roku przez redakcję „Młodego Technika”. Pierwszy taki konkurs na opowiadanie fantastyczno – naukowe był w Polsce zorganizowany przez tę samą redakcję w roku 1962, a jego plon został utrwalony w zbiorze „Posłanie z piątej planety” („Nasza Księgarnia”, 1964). Ta wstępna informacja przyda się być może tym czytelnikom, których żywiej zainteresują dzieje najmłodszej polskiej science-fiction.

Określenie „najmłodsza” jest w tym wypadku uzasadnione i okresem, obejmującym zaledwie kilkanaście ostatnich lat, i wiekiem autorów. Uczestnikami bowiem obydwu konkursów byli – w znacznej większości – ludzie młodzi, niekiedy bardzo młodzi. Jeżeli nawet niektórzy z nich brali udział i w jednym, i w drugim konkursie, to w pierwszym wystąpili jako debiutanci i nadal mogą być zaliczani do najmłodszej generacji twórców polskiej fantastyki.

Porównanie ilości nadesłanych na oba konkursy utworów pozwala wysnuć wniosek o znacznym ostatnio wzroście zainteresowania literaturą fantastyczno-naukową w naszym kraju. Na pierwszy konkurs „Młodego Technika” wpłynęły sto trzy opowiadania, na drugi nadesłano ich trzysta pięćdziesiąt pięć. Porównawszy natomiast teksty, można zauważyć, że rozwojowi ilościowemu towarzyszy także wzbogacenie oraz zróżnicowanie treści i formy utworów. Przed kilkunastu laty autorzy fantastyki naukowej byli zafascynowani głównie perspektywami, jakie zarysowały się przed ludzkością po otwarciu drogi w Kosmos; obecnie bardziej frapuje ich Ziemia i problemy, które stają przed ludzkością w związku z dalszym rozwojem nauki i techniki. A ponieważ w naszych czasach, czasach rewolucji naukowo-technicznej, obie te dziedziny wywierają coraz większy wpływ zarówno na życie całych ludzkich społeczności, jak i jednostek, to ta – zasłaniająca się parawanem „przyszłościowej” fantazji – literatura jest w gruncie rzeczy bardzo współczesna. Podejmuje przecież sprawy coraz bardziej interesujące lub niepokojące współczesnego człowieka.

Z tym zjawiskiem wiąże się wzrost liczby opowiadań o wyraźnie refleksyjnym charakterze. Można powiedzieć, że z głównego nurtu fantastyki naukowej, którym była kiedyś wielka przygoda i wizja przyszłości wynikająca z rozwoju nauki i techniki, wyodrębnił się drugi równoważny – zaduma. Przeplatają się one zresztą ze sobą, a poza tym rozgałęziają się jeszcze w dwu kierunkach – w kierunku liryki i w kierunku satyry. Niekiedy refleksja łączy się z wizją, przepowiednią, a przygoda ze snuciem pomysłów-hipotez.

Zebrane w książce opowiadania mogą być ilustracją tego – polegającego na coraz większym zróżnicowaniu – rozwoju science-fiction.

Równouprawienie różnych form fantastyki naukowej zatwierdził niejako werdykt sądu konkursowego. Spośród szóstki opowiadań, za które przyznano trzy nagrody i trzy wyróżnienia (są nimi: A. Czechowskiego „Ambasadorowie”, W. Żwikiewicza „Wołanie na Mlecznej Drodze”, J.A. Zajdla „Raport z piwnicy”, M. Parowskiego „Poczucie pełni”, Z. Prostaka „Ręka”, A. Grajka i W. Streicha „Maks”) każde reprezentuje inny rodzaj.

ZBIGNIEW PRZYROWSKI

Zbigniew Dworak

Dziwny, spadający kamień

Dzielny myśliwy Wa-hunga z plemienia Nga-Teme często widywał spadające kamienie. Tak często, że przyzwyczał się do nich i – ku zgorszeniu starców – powziął nawet pewne podejrzenia co do ich boskości. Uważał, że to po prostu demony, które mieszkają ponad chmurami, zabawiają się, ciskając nimi z braku lepszego zajęcia. Wkrótce też naraził się całej hordzie, lecz nie śmiano wygonić go, nikt bowiem nie potrafił, tak jak on, wytropić i upolować zwierzyny.

Wa-hunga prawdopodobnie odczuwał nieprzyjaźń współplemieńców, bo niepostrzeżenie dla siebie i dla hordy został myśliwym-samotnikiem. Starcy milcząco zaakceptowali tę nowość i odważny Wa-hunga rzadko, przeważnie tylko w okresie wielkich łowów, pojawiał się w siedzibie hordy nad Szeroką Rzeką.

A ponieważ Wa-hunga nie obawiał się spadających kamieni ani starców, horda zaczęła się jego bać; był to lęk połączony z pewnym szacunkiem.

Myśliwy-samotnik posunął się jeszcze dalej w swej zuchwałości: sporządził sobie z kamienia, którego upadku był akurat świadkiem, potężną, zmuszającą do respektu maczugę.

Wa-hunga polował najchętniej przy Czerwonych Skałach, u wodopoju, tam gdzie rzeczka – wpadająca nie opodal do Szerokiej Rzeki – tworzyła rozlewisko łatwo dostępne dla zwierząt. Myśliwy nauczył się świetnie wspinać i kiedy zagrażało mu wielkie niebezpieczeństwo ze strony szczególnie rozdrażnionego drapieżnika, potrafił błyskawicznie wspiąć się na Czerwone Skały, gdzie czuł się już bezpiecznie. Wybrał sobie nawet na pewnej skale niewielką platformę dostępną tylko z jednej strony. Zgromadził na niej zapas pożywienia, tudzież kamieni i oszczepów – w razie niepowodzenia czy wręcz napaści mógł się tam schronić i razić przeciwnika pociskami celnie miotanymi w dół.

Wa-hunga był zadowolony ze swego losu. Samotności, na jaką się dobrowolnie skazał, nie przyjmował tragicznie. Nie był nawet rozgoryczony na współplemieńców, że odnoszą się do niego z rezerwą i nieufnością. Gdyby był filozofem, zapewne stwierdziłby pogodnie: każdy żyje wedle własnego uznania. Przeczuwał niejasno tę nie wypowiedzianą myśl, toteż samotność nie dokuczała mu. Więcej, samotność owa pozwalała na rozmyślania. Zaczynał poznawać świat nie tylko zmysłami, ale również myślami. Urzekło go to. Wkrótce zdał sobie sprawę, że wie o wiele więcej niż reszta hordy, i niezmiernie go to cieszyło.

Czuł podświadomie, chociaż absolutnie nie potrafiłby tego sprecyzować, że jego osobowość zmienia się, i przeczuwał kierunek tej zmiany. Czuł niepokój i tęsknotę za czymś, czego nawet wyobrazić sobie nie był w stanie. Ten wewnętrzny niepokój kazał mu nie tylko zapytywać: „dlaczego”, lecz także szukać odpowiedzi.

Tak było i tym razem, kiedy Wa-hunga czatował przy ścieżce do wodopoju.

Był głodny. Przez wiele dni musiał ukrywać się na Czerwonych Skałach przed wcześniej mu nie znanym, potwornym, szablozębym drapieżcą. Wreszcie tamten zniknął, widocznie również zgłodniał i wyruszył na poszukiwanie innych terenów łowieckich, gdzie zwierzyna nie była jeszcze wypłoszona jego obecnością. Wa-hunga długo badał otoczenie, nim zdecydował się ostatecznie opuścić kryjówkę i zasiać w zasadzce.

Wokoło panowała cisza. Zwierzęta nie wiedziały jeszcze, że szablozęby opuścił rejon

wodopoju. Przeleciało tylko z głośnym furkotem stadko kusaków i zapadło w wysokie trawy. Wreszcie na skraju odległego lasu ukazała się gromada zwierząt i po chwili, z jakimś wahaniem, zapuściła się w sawannę. Serce Wa-hungi żywiej zabiło: to były antylopy Na'inh, których mięso nie ma sobie równego – jest delikatne, soczyste i niezwykle pożywne.

Na myśl, że wkrótce znowu posmakuje tego mięsa, poczuł w całym ciele drżenie. Zarazem zaczął zastanawiać się, dlaczego mięso drapieżników nie jest tak smaczne jak mięso roślinożernych.

Nie zdołał jednak odpowiedzieć sobie na to pytanie, nie zdążył także upolować nawet najmarniejszej sztuki. W momencie kiedy antylopy były już blisko, z donośnym świstem i łopotem spadł z nieba kamień. Całe stado w jednej chwili rozpierchło się i w panicznym strachu, rżąc rozdzierająco, puściło się pędem z powrotem do lasu.

Zawiedziony Wa-hunga wydał przeciągły okrzyk wściekłości i, wyskoczywszy z ukrycia, podbiegł do miejsca, gdzie upadł kamień.

Był to bardzo dziwny kamień. Inny niż wszystkie spadające kamienie. Był – Wa-hunga nie umiał jeszcze dobrze precyzować swoich spostrzeżeń – był dziwny. Leżał na ziemi, która szerniała od obróconej w ogień trawy, i parując wydawał niezwykle dźwięki – już to syczał, już to jęczał – oraz trzepotał białymi nibyskrzydłami. Czegoś podobnego dzielny myśliwy Wa-hunga dotychczas nie widział. Gdyby nie był głodny i gdyby najsmakowitsze mięso nie umknęło bezpowrotnie, zapewne wrodzona ciekawość wzięłaby górę nad złością i rozgorączkaniem. Zapytałby: „dlaczego”, i zastanowiłby się. Lecz teraz...

Ujął krzepko w obie dłonie ciężką maczugę i, szeroko zamachnąwszy się, z pasją zdzielił nienawistny kamień, który tak nie w porę spadł z nieba. Nad pustą sawanną rozbrzmiał triumfalny okrzyk. Myśliwy, upajając się zemstą, miażdżył i gruchotał dziwny kamień.

Wa-hunga był głodny, więc zły. Skądże miał wiedzieć, że na sąsiedniej planecie, której istnienia nawet nie podejrzewał, inne istoty potraktują cios jego maczugi jako dowód, że na powierzchni Drugiej panuje potworne ciśnienie równe stu atmosferom?

Andrzej Mateoszek Vindicta

Dzień 7 lutego 2009 roku nie wyróżniał się niczym szczególnym od poprzednich dni spędzonych na patrolowaniu akwenów wokół zachodniej Australii i Nowej Zelandii. Atomowy okręt podwodny „Murena”, należący do IX Eskadry Myśliwców Podwodnych, spokojnym rytmem przemierzał wody Morza Tasmana. Komandor Rhoden już od dwóch godzin tkwił na pomoście nawigacyjnym, przeczesując błękitne wody wokół okrętu. W porównaniu z arsenałem nowoczesnych urządzeń radarowych „Mureny” jego zeissowska lornetka morska to właściwie teatralny rekwizyt, ale był do niej bardzo przywiązany. Odziedziczona po dziadku stanowiła cenną pamiątkę z czasów brutalnej wojny gigantów, zwanej też w podręcznikach historii drugą wojną światową.

Na wspomnienie tamtych odległych czasów komandor mimowolnie uśmiechnął się. Era krwawych wojen przestała już zagrażać światu połączonemu w jedną gospodarczą całość. Siły militarne skupiały się prawie wyłącznie we Flocie Trzech Oceanów utworzonej w roku 2000 z flot wojennych Związku Radzieckiego, Stanów Zjednoczonych i Japonii. W jej skład wchodziło kilkadziesiąt eskadr myśliwsko-patrolowych, których zadaniem było utrzymanie ładu i porządku na mocno już przeciążonych szlakach morskich świata, opieka nad stadami wielorybów, patrolowanie morskich pól uprawnych, a także czuwanie nad spokojem mieszkańców miast podwodnych gęsto rozsianych u wybrzeży obu Ameryk, Azji i południowej Europy. Zajmowały się tym głównie podwodne myśliwce atomowe – duma konstruktorów z Academia Navale w Rzymie. Mimo jedynie ośmiuset pięćdziesięciu ton wyporności – potencjałem bojowym przewyższały wszystkie dotychczas istniejące okręty wojenne. Typ ten reprezentowała również „Murena”, z którą Rhoden czuł się bardzo związany. Groźny stalowy rekin powstał bowiem w jego rodzinnym mieście, w Neapolu, i stanowił jakby część stoczniowych nabrzeży, które komandor w latach dzieciństwa tak bardzo lubił odwiedzać.

Ach, z jaką rozkoszą wsiadłby w subkontynentalny aerobus odlatujący z Sydney, aby znów nacieszyć oczy blaskiem kryształowych ścian rodzinnego domu. Niestety, służba we Flocie Narodów Zjednoczonych nie pozwalała na zbyt częste kontakty z najbliższymi. Tym bardziej teraz, kiedy coś naprawdę dziwnego zaczęło się dziać w morzach otaczających kontynent australijski.

Dwa miesiące temu telewizja japońska w jednym ze swych dzienników podała dramatyczną wiadomość o katastrofie zbiornikowca „Nissan Maru”. Płynął on z Kobe do Adelaide z ładunkiem ciekłego helu i kryptonu i, będąc w odległości dwustu siedemdziesięciu mil od portu docelowego, nadał swój ostatni radiogram. Z załogi liczącej siedemnaście osób uratował się wówczas tylko jeden marynarz, który szczęśliwym zbiegiem okoliczności znajdował się na dziobowym pokładzie nawigacyjnym i nagłym wstrząsem kadłuba wyrzucony został za burtę. Będąc już w wodzie, zdołał jeszcze (jak twierdził) dostrzec ogromny kształt wynurzającego się z lewej strony wieloryba, po czym stracił przytomność do czasu wyłowienia go przez poduszkiwiec ratowniczy. Ekipa, badająca przyczynę niecodziennej tragedii, nie brała zbyt pod uwagę zeznań Japończyka. Oficjalny protokół podał, że przyczyną zatonięcia statku i śmierci szesnastu marynarzy był zły stan spoin kadłuba, które na skutek przemieszczania się olbrzymich mas ładunku nie wytrzymały naprężeń, co doprowadziło do rozerwania kadłuba.

Opinia publiczna zapewne nigdy nie dowiedziałyby się o rzeczywistych przyczynach katastrofy, gdyby nie fakt, że już w trzy dni później na wodach Morza Tasmana miał miejsce identyczny wypadek. Powracający z Port Moresby nowoczesny kontenerowiec australijski natknął się wczesnym rankiem na olbrzymiego wieloryba, który z szybkością torpedy staranował statek, rozrywając jego kadłub na dwie części. I tym razem uratował się tylko jeden marynarz, zastępca nawigatora, który w chwili zderzenia znajdował się na dziobie i, ponieważ był ubrany w molenitowy kombinezon, ocalał życie skokiem do wody. Odtąd, w ciągu dwóch miesięcy, jeszcze jedenaście razy powtórzyły się podobne ataki na jednostki handlowe i pasażerskie.

Wypadki te stały się hasłem dla zwołania w Perth konferencji przedsiębiorstw żeglugowych. Zostały przyjęte wnioski o unieszkodliwieniu potwora i oto teraz komandor Marco Rhoden, dowódca „Mureny”, stanowi wraz ze swoim okrętem jedno z ogniw łańcucha otaczającego olbrzymie połacie mórz i oceanów. Zadaniem „Mureny” i czterech innych podwodnych okrętów myśliwskich wyznaczonych przez Dowództwo Zjednoczonej Floty Pacyfiku jest ochrona tak zwanego Tasmańskiego Stada – olbrzymiej fermy morskiej dostarczającej corocznie ponad sto tysięcy wielorybów na rynek ogólnoswiatowy – przed ewentualnym atakiem ich monstrualnego krewniaka.

Piękna pogoda pozwoliła dziś rano na wynurzenie się z głębin i kontynuowanie patrolu w położeniu nawodnym. Kilku wolnych od zajęć marynarzy pojawiło się na pokładzie i obserwowało z rozbawieniem igraszki delfinów towarzyszących „Murenie”.

Rhoden miał właśnie zejść na dół, do centrali sterowniczej, kiedy nagle ekran znajdującego się przed nim wideofonu błysnęła kolorową tęczę i ukazała się na nim twarz zastępcy komandora, porucznika Ralfa Browna. Rhoden włączył mikrofon i rzucił krótko:

– Słucham, poruczniku.

– Przepraszam, że pana niepokoję, komandorze, ale w odległości dwudziestu dziewięciu mil na północny zachód odkryliśmy echo dużej jednostki. Ponieważ przebywanie w rejonie pasa tasmańskiego jest zabronione, nasunęło mi się podejrzenie, że być może trafiliśmy na kłusowniczy statek chiński lub japoński.

– OK, Ralf! Sprawdźmy to!

Nareszcie coś interesującego w tym monotonnym pływaniu! Jeśli to kłusownik, postarają się solidnie dobrać mu do skóry. Rhoden nienawidził tej profesji, tego bezlitosnego i bezmyślnego mordowania setek płetwali, fok, morsów czy delfinów.

Brown dał już rozkaz do centrali maszynowej, rozdźwięczały się dzwonki alarmowe, okręt błyskawicznie przygotowywał się do zanurzenia, wyraźnie zwiększając także swoją szybkość. W trzydzieści sekund po ogłoszeniu alarmu „Murena” znajdowała się już na głębokości czterdziestu metrów, prując wodę z szybkością trzydziestu węzłów. Trzynastu marynarzy w napięciu śledziło na swoich stanowiskach ekrany monitorów, gdzie coraz wyraźniej rysowało się echo nieznanego statku. Już tylko dwie mile dzieliły „Murenę” od celu, kiedy komandor nakazał wynurzenie, chcąc w ten sposób zaskoczyć kłusowników zajętych, być może, patroszeniem kolejnej zdobyczy. Kiedy wyszli na powierzchnię, kamery telewizyjne natychmiast przekazały do wnętrza okrętu obraz nieruchomo stojącego statku, kształtem kadłuba przypominającego barkowiec typu „sea ant”. Rhoden zdalnie sterowaną kamerą omiótł jego pokłady. Nie dostrzegł żadnego ruchu – barkowiec robił wrażenie zupełnie wymarłego.

Komandor nakazał zmniejszenie prędkości.

„Murena” powoli zbliżała się do nieruchomego statku, okrążając go z prawej burty.

Brown połączył się z dowódcą, w jego głosie wyczuwało się wyraźne podniecenie.

– Czy nie sądzi pan, komandorze, że ta jednostka może być opuszczona przez załogę?

– Nie. Myślę, że jednak tam są. Może przestraszyli się, widząc nas w pobliżu. Kiedy

wynurzał się, zwróciłem uwagę na ich anteny zwierciadłowe – wskazał ręką konstrukcje połyskujące na dziobie barkowca. – Były wówczas skierowane na nas. Widocznie nasze zachowanie obserwują na ekranie wideoradaru.

– Dziwi mnie ich milczenie. Nie sądzę, aby to był kłusownik, statek nie wygląda na przetwórnictwo tranu.

– Tak, ma pan rację. Ale dlaczego nie próbują porozumieć się z nami?

Nagle w wideofonie zabłysło czerwone światło. Na ekranie ukazała się twarz Mike'a Millera obsługującego urządzenia radionamiarowe.

– Panie komandorze, przed chwilą zarejestrowałem sygnały pracujących silników. Odnoszę wrażenie, że obiekt zamierza odpłynąć.

– Dziękuję, Mike! Melduj natychmiast o wszystkim, co zaobserwujesz.

– Tak, zrozumiałem.

Ekran zgasł. Ale niemal w tym samym momencie sygnał alarmu nakazał włączenie go z powrotem. Ukazała się opalona twarz Browna.

– Komandorze, proszę spojrzeć na ekran monitora, nasi goście odpływają!

– A więc jednak to kłusownicy. Nadać do nich sygnał: natychmiast zatrzymać maszyny – rzucił Rhoden.

Po chwili jego rozkaz na falach eteru pomknął za uciekającym statkiem. I wtedy stało się coś, co całkowicie zaskoczyło załogę atomowego myśliwca. Na rufie barkowca wykwitł mały obłoczek dymu i nagle kadłubem „Mureny” wstrząsnął potężny huk.

Na moment zapadły ciemności. Rhoden zdążył uchwycić się pulpitu sterowniczego, dzięki czemu uniknął zderzenia ze ścianą. Natychmiast włączył kamery i skierował je w stronę napastnika. Nic nie wskazywało jednak, aby barkowiec chciał powtórzyć ostrzelanie „Mureny”. Uspokojony tym połączył się z maszynownią i nakazał zwiększenie prędkości do trzydziestu węzłów. Cała załoga tkwiła na swoich stanowiskach i w milczeniu wpatrywała się w ekrany, oczekując na dalszy rozwój wypadków. Komandor postanowił odpowiedzieć uciekającym. Prawa wyrzutnia rakiet uniosła się w górę i po chwili sześć małych pocisków wyskoczyło w kierunku celu.

Rhoden wpatrzony w ekran zaklął cicho. Rakiety – jedna po drugiej wyłapanie promieniem lasera – wybuchały w bezpiecznej dla barkowca odległości!

Zabłysła czerwona lampka wideofonu. Twarz Browna ostro rysowała się na ekranie. Rhoden włączył odbiór.

– Komandorze, czy mamy ostrzelać go z dział?

– W żadnym wypadku! Mam pewien plan, który chciałbym wykonać przy minimum ryzyka z naszej strony.

– Rozumiem. Czy wobec tego będziemy schodzić pod powierzchnię?

– Tak. Zanurzenie: osiemdziesiąt metrów, szybkość bez zmian. Nie możemy zbyt szybko zbliżyć się do niego. Może nas zaatakować za pomocą bomb głębinowych.

– Sądzi pan, że ma aż tak wszechstronne wyposażenie?

– Poruczniku, ktoś, kto ma na pokładzie pociski średniego zasięgu i działo laserowe, nie zapomina zazwyczaj o bombach głębinowych. Po wykonaniu manewru zanurzenia proszę przyjść do centrali. Chciałbym zapoznać pana z moim planem taktycznym.

– Zrozumiałem!

Po chwili „Murena” zniknęła pod wodą, kontynuując pogoń w głębinach Morza Tasmana. Radarzyści przez cały czas czynili namiary, przekazując dane do kabiny sterowniczego, gdzie komputer wykreślał kurs barkowca. Płynął on z niezmienną szybkością prawie trzydziestu węzłów kursem N-E w kierunku Nowej Kaledonii. Widać było, że załoga za wszelką cenę stara

się umknąć podwodnym prześladowcom, ale ci trzymali się za jego rufą w stałej odległości około piętnastu mil. Rhoden bowiem – zaskoczony agresywną postawą nieznanego kapitana – postanowił „konwojować” barkowiec do najbliższego portu, aby złożyć raport władzom Senatu Morskiego i wyjaśnić przyczynę ataku. Zagadką nadal było także to, że do tej pory nie dostrzeżono żadnej postaci ludzkiej sterującej procesami nawigacyjnymi tajemniczej jednostki. Statek nie miał żadnych oznaczeń burtowych, nie wywieszono bandery – dlatego identyfikacja barkowca była niemożliwa.

Dwie godziny minęły od chwili spotkania się obu jednostek, kiedy z kabiny radionamiaru zażądano połączenia z dowódcą „Mureny”. Rhoden, przebywający wraz ze swoim zastępcą w centrali operacyjnej, włączył wideofon. Podporucznik McKinley w swoim hełmie radionamiarowym wyglądał nieco groteskowo.

– Rhoden. Słucham!

– Tu McKinley. Panie komandorze, przed chwilą odebrałem sygnały ze zbiornikowca radzieckiego „Baku”. Został zaatakowany przez wieloryba o niespotykanych rozmiarach i prosi o natychmiastową pomoc. Załoga zeszła do łodzi ratunkowej.

– W jakiej się znajdują odległości ?

– Około dziewięćdziesięciu mil od nas, na północny wschód.

– Czy nadal utrzymujecie z nimi łączność?

– Niestety, nie. Ich nadajnik ratunkowy musiał ulec awarii.

– W dalszym ciągu proszę prowadzić nasłuch. W miarę możliwości postaramy się im pomóc.

– Jeszcze jedno, komandorze. Od dłuższego czasu radionometr rejestruje mi pasmo fal bardzo wysokiej częstotliwości. Ustaliłem źródło: ścigany przez nas statek.

– Do czego mogą służyć tego rodzaju fale?

– Hm, radionawigacja nie stosuje ich w praktyce. Używane są w Kosmosie i w sterowaniu elektronicznymi robotami.

– No tak, to doprawdy niezrozumiałe. Dziękuję, poruczniku. Proszę natychmiast łączyć się ze mną, jak tylko zarejestruje pan nowe sygnały.

Ekran zgasł. Rhoden uczył, jak krople potu występują mu na czole. „Robot, elektroniczny robot”. Wstał z fotela i zbliżył się do perspektywicznej mapy Transoceanii. Podświetlił ją od spodu i zaznaczył pozycje „Mureny” oraz ściganego barkowca w chwili uzyskania sygnałów ratunkowych zbiornikowca radzieckiego. Po przeliczeniu danych z centrali radionamiaru umiejscowił na mapie także jego pozycję. Brown z zaciekawieniem śledził poczynania komandora. Rhoden zwrócił się ku niemu.

– Czy pamięta pan, poruczniku, co zaobserwowaliśmy w chwili zetknięcia się z tymi korsarzami?

– Chodzi panu o te anteny na dziobie?

– Właśnie. – Rhoden wskazał na mapę. – Zaznaczyłem pozycję, jaką miał dziś rano barkowiec, i wykreśliłem kierunek jego anten. Po zaznaczeniu pozycji radzieckiego zbiornikowca doszedłem do zaskakującego wniosku. Odległość między pozycją katastrofy a punktem przecięcia się kierunków nadawania porannego i obecnego wynosi niespełna trzydzieści pięć mil. Z jaką prędkością mógł płynąć radziecki statek?

– Sądzę, że około czterestu węzłów, gdyż płynął z ładunkiem.

– A więc moje obliczenia zgadzają się! Różnica tych kilku mil może wynikać z poprawek, jakie zastosowałem dla komputera. Nasuwa się oczywisty wniosek, że korsarz maczał palce w tej katastrofie.

– Ale w jaki sposób? Przecież od rana depczemy mu po piętach i nie odkryliśmy

żadnego manewru świadczącego o jego działalności poza zasięgiem naszych hydrolokatorów.

– Zapomina pan, poruczniku, o najważniejszym szczególe.

– Wieloryb?!...

– Tak! Sedno sprawy tkwi w rozwiązaniu zagadki dziwnych kolosów morskich atakujących naszą żeglugę. Mam wrażenie, że jesteśmy o krok od rozwiązania tej sprawy, naszym obowiązkiem jest kontynuować rozpoczęte zadanie.

– Czy wobec tego nie będziemy ratować rozbitków z radzieckiego zbiornikowca?

– Wiem, że wyda się to panu sprzeczne z konwencją morską, ale nasza sytuacja nie pozwala na zmianę kursu. Ich sygnały na pewno odebrała także któraś z bliźniaczych jednostek patrolujących Stado Tasmańskie od północy. Wiem, że Kryłow z „Barracudą” znajdował się o dziewięćdziesiąt mil na wschód od nas. Z pewnością usłyszeli radiostację „Baku” i być może wyławiają już rodaków z wody.

– Wobec tego w dalszym ciągu będziemy eskortować nasz barkowiec?

– Tak, ale z małą poprawką... Trzeba ich przekonać, że zrezygnowaliśmy z pogoni!

– Rozumiem – Brown podniesieniem prawej ręki pożegnał Rhodena i zniknął za dźwiękoszczelnymi drzwiami centrali.

Po chwili Rhoden poczuł lekkie drżenie pokładu pod stopami. Była godzina dziewięć minut trzydzieści trzy.

„Murena” – będąca na głębokości siedemdziesięciu pięciu metrów – otoczyła się potężnym promieniowaniem magnetronów. Urządzenia te wytwarzały antymagnetyczne pole likwidujące obraz okrętu podwodnego na ekranach sonarów głębinowych innych jednostek znajdujących się w promieniu trzydziestu mil. Włączenie magnetronów miało przekonać załogę barkowca, że atomowy rekin zaprzestał pościgu. To, iż magnetrony stanowiły ścisłą tajemnicę i wyposażono w nie jedynie okręty myśliwskie, było dodatkowym atutem „Mureny”, która płynęła dalej, rozświetlając mroczne wody Morza Tasmańskiego dwoma potężnymi reflektorami. Ich użycie było uzasadnione, ponieważ z chwilą włączenia magnetronów wszelkie zewnętrzne urządzenia namiarowe jednostki przestawały działać. Działały jedynie szumonamierniki przekazujące na stanowisko centralnego sterowania obraz statku określany na podstawie pracujących śrub okrętowych.

Na pokładzie barkowca – z chwilą zaniku echa podwodnego prześladowcy – obudziło się życie. Wyrzutnie pocisków raketowych i dziobowe anteny wciągnięto pod pokład, natomiast suwnica bramowa wolno podjechała do śluzy rufowej i zatrzymała się na skraju pokładu. Statek, wyraźnie zmniejszając szybkość, najwidoczniej przygotowywał się do operacji dokowania, a czynił to – o dziwo! – na pełnym morzu, z dala od jakiegokolwiek portu. W kilka minut później jego maszyny zatrzymały się.

Odczekawszy czas pewien, Rhoden zarządził wynurzenie do głębokości peryskopowej. Przywarł do okularu i wyćwiczonym ruchem omiatał horyzont. Nagle znieruchomiał... W kierunku zanurzonej „Mureny” sunął szybko pienisty ślad torpedy! Komandor oderwał się od rury peryskopu i błyskawicznie nacisnął duży czerwony klawisz z napisem: *zanurzenie*.

„Murena” zaczęła opadać w dół i zatrzymała się dopiero na głębokości dziewięćdziesięciu metrów. Równocześnie gwałtownie wzrosło pole magnetyczne, powodując zniszczenie torpedy już w bliskim sąsiedztwie okrętu.

W jaki sposób załoga barkowca odkryła obecność „Mureny” chronionej przecież promieniowaniem magnetronów?! Trudno przypuszczać, że torpeda została wystrzelona zupełnie przypadkowo!

Rhodena intrygowało także coraz bardziej zachowanie korsarzy. W jakim celu zatrzymali się na pełnym morzu? Po co przesunęli suwnicę bramową?

Mimochodem spojrzął na podświetloną mapę. Przedłużenie linii kursu radzieckiego zbiornikowca przecinało się z kursem barkowca dokładnie w punkcie, gdzie znajdowały się teraz obie jednostki. A więc hipotetyczny związek korsarzy z katastrofą sprawdzał się! Wszystko powoli stawało się jasne. Wieloryb, na którego mózg oddziaływano za pomocą fal elektromagnetycznych, zatopił zbiornikowca i załoga barkowca niechybnie przygotowywała mu schronienie w stalowym kadłubie swego statku...

Dalsze rozmyślenia przerwał Rhodenowi porucznik Miller.

– Melduję, że obiekt przed nami włączył urządzenia napędowe. Szumonamierniki rejestrują zwiększające się coraz bardziej echo.

– Dziękuję!

Ekran wideofonu zgasł. Rhoden usiadł w czarnym fotelu sterowniczym i z napięciem wpatrywał się w świetlną plamkę w monitorze hydrolokacyjnym określającą pozycję barkowca. Kiedy drgnęła i zaczęła przesuwać się ze stale wzrastającą prędkością w kierunku północnym, połączył się z kabiną sterowniczą i poinformował dyżurnego sternika, że przejmuje kontrolę nad „Mureną”. Ujął w obie dłonie dźwignie manewrowe i po chwili atomowy rekin, przyczajony na głębokości dziewięćdziesięciu metrów, ruszył w ślad za uciekającym statkiem. Automaty, które korygowały prędkość, podwyższały ją z minuty na minutę. Gdy wskazówka elektrycznego logu doszła do czterdziestu węzłów, Rhoden zaczął się niepokoić. Maksymalna szybkość jego okrętu wynosiła nieco powyżej czterdziestu ośmiu węzłów, ale dotąd nie rozwijano jej w działaniach przeciwko jednostkom handlowym nie przekraczającym zazwyczaj trzydziestu, trzydziestu dwóch węzłów. Barkowiec musiał dysponować olbrzymią mocą silników napędowych.

Sześć godzin trwała ta szaleńcza pogoń. Wreszcie szybkość obu jednostek zaczęła spadać. Rhoden zorientował się, że korsarze kierują swoją „sea ant” w stronę wysepki Pero-ruoko, na mapach zaznaczonej jako bezлюдna pozostałość podmorskiego wulkanu. Kiedyś próbowano założyć na niej stację telewizji satelitarnej, ale rafy koralowe i wulkaniczne podłoże nie sprzyjały temu.

Ponieważ hydrolokatory nie mogły odzwierciedlić na ekranie brzegów wyspy Pero-ruoko, Rhoden, obawiając się zderzenia z podwodnymi skałami, zdecydował się ponownie użyć peryskopu. Przywarł do okularu i z zapartym tchem obserwował, jak w odległości około tysiąca metrów barkowiec zrobił zwrot i skierował się wprost do brzegów Pero-ruoko ani na chwilę nie zmniejszając prędkości. Kiedy dziób statku zdawał się już, już sięgać skał wybrzeża, stało się coś bardzo dziwnego. Szara jednostka, nadal nie zmniejszając prędkości, wtopiła się jakby w skały i w krótkim czasie zniknęła całkowicie z pola widzenia peryskopu. Wrażenie było tak fantastyczne, że – patrzący także przez peryskop – zastępca Rhodena nie mógł wprost oderwać oczu od miejsca, gdzie zniknęła sylwetka transportowca.

Komandor połączył się z dowódcą centrali sterowniczej i wydał rozkaz wynurzenia okrętu. Peryskop zjechał w dół do studzienki, zaszumiały siłowniki sprężarkowe i po chwili „Murena” kołysała się na powierzchni. Z prędkością dziesięciu węzłów zaczęła zbliżać się do brzegów wyspy. Wyłączono magnetrony, umożliwiając podjęcie pracy elektronowym komputerom namiarowo-podśluchowym. Stanowisko dział laserowych przygotowało się do natychmiastowej akcji.

Komandor przez cały czas obserwował na ekranie wideoradaru miejsce, gdzie zniknął w skałach ścigany korsarz. Nie zaobserwował jednak żadnego podejrzanego ruchu – wyspa zdawała się być całkowicie martwa. Okręt podwodny powoli wchodził między rafy koralowe, zbliżając się do brzegu. W tym momencie zapaliła się na pulpicie manewrowym złota lampka. Rhoden włączył wideofon.

– Tu kabina radionawigacyjna. Komandorze, echo, które wysyła mój radar, po dłuższej

chwili wraca silnie zniekształcone. Droga, jaką przebywa sygnał, jest o wiele dłuższa niż odległość do skał wybrzeża. Wnioskuje stąd, że przed nimi jest przejście – tunel wykuty lub naturalny. Fakt ten wyjaśnia nam dziwne zniknięcie tamtego statku. Czy pójdziemy jego kursem?

– Dziękuję, Mike! O tym, czy pójdziemy jego kursem, zaraz zadecyduję.

– Tak jest, zrozumiałem!

Wyłączywszy wideofon, komandor zamyślił się. Lawina niespodziewanych wydarzeń, jaka runęła dziś na jego okręt, wywołała w nim uczucie bezradności. Czuł, że grozi im duże niebezpieczeństwo i że tylko on ponosi odpowiedzialność za życie swoich ludzi. Kiedy rano podejmował pogoń za nieznaną jednostką, nie liczył się zbytnio z ryzykiem zniszczenia lub uszkodzenia „Mureny”, ale teraz – gdy stali u wejścia domniemanej kryjówki wroga – narastał w nim niepokój. Co kryje się za tymi skalami?

Czy nie lepiej wezwać bliźniacze jednostki myśliwskie i wspólnie przeprowadzić rewizję Pero-ruoko? Nie!!! Jako dowódca straciłby wówczas wiele w oczach podwładnych. Na pewno jego chłopcy sami chcą rozwiązać tę przeklętą zagadkę. I on postara się ułatwić im to zadanie.

Nacisnął kilka klawiszy pulpitu manewrowego. Na ekranie ukazało się wnętrze centrali sterowniczej z dwoma rzędami stanowisk dźwiękoszczelnych po obu stronach pomieszczenia. Na widok świetlnych sygnałów alarmowych wszyscy operatorzy opuścili swoje stanowiska i skupili się przed ekranem centralnego wideofonu. Rhoden zaczął mówić szybko, nieco chropawym głosem:

– Zgromadziłem was, gdyż sytuacja, w jakiej się znajdujemy, wymaga podjęcia pewnych decyzji. Statek, który ścigaliśmy, umknął skalnym tunelem. Przypuszczam, że znajduje się teraz na wewnętrznym basenie w środku wyspy. Postanowiłem, że wtargniemy tam i wyjaśnimy wszystkie jego dotychczasowe manewry. Ponieważ operacja jest ryzykowna, obejmując sterowanie okrętem, ? was wszystkich proszę o zajęcie miejsc w kapsule ratunkowej. Dziękuję, to wszystko!

Wyłączył wideofon, po czym sięgnął po puszkę skondensowanego piwa. Pił długo, delektując się jego smakiem. Następnie włożył na głowę hełm radionamiarowy, zapiął górną część białego skafandra molenitowego i spokojnie ułożył się w obszernym fotelu centralnego sterowania. Sprawdził funkcjonowanie dźwigni i przełączników, po czym połączył się z kapsułą ratunkową. Na ekranie wyraźnie widział dwanaście foteli, w których rysowały się szkarłatne postacie jego załogi. Wszyscy leżeli spięci pasami bezpieczeństwa, od czasu do czasu porozumiewając się ze sobą za pomocą mikrofonów.

Kapsuła ratunkowa miała kształt walca i umieszczona była poziomo tuż pod pokładem zewnętrznym okrętu. W razie niebezpieczeństwa można ją było wystrzelić, dzięki czemu wszyscy członkowie załogi zyskiwali szansę ratunku. Wszyscy... z wyjątkiem kapitana. Fakt ten sprawiał, że dowódcami jednostek myśliwskich mogli zostać oficerowie tylko na własną prośbę – w wypadku katastrofy ich szanse na uratowanie życia były bardzo nikłe. Załoga znajdująca się w kapsule obserwowała czynności dowódcy na ekranie telewizora. Drugi ekran pozwalał na oglądanie tego, co działo się na zewnątrz okrętu, marynarze w każdej więc chwili byli zorientowani w przebiegu wydarzeń.

Tak było i teraz. Rhoden, uspokojony bezpieczeństwem załogi, włączył wideoradar i omiół nim przestrzeń wokół „Mureny”.

Niczego podejrzanego nie dostrzegł i skierował kamery na domniemany tunel. Szare, poszarpane skały, jakieś pnącza – nigdzie śladu przejścia.

– No cóż, spróbujemy – mruknął przez zęby i lekko przyciągnął do siebie dźwignie sterowe.

Poczuł, jak „Murena” nabiera szybkości. Wpatrzony w ekran pochłaniał obraz

wyłaniający się przed dziobem. Kiedy okręt znalazł się w strefie cienia rzucanego przez skały na wodę, włączył reflektor i oświetlił nim brzeg. Teraz dopiero ujrzał wysokie sklepienia tunelu wykutego w skałach. Im bliżej, tym wyraźniej rysowało się wejście do niego. Nagle ręka Rhodena błyskawicznie odsunęła lewy drążek sterowniczy. Okręt wykonał gwałtowny zwrot w prawo, unikając staranowania wyłaniających się zdradziecko z wody zrębów rafy koralowej. Potem „Murena” wyrównała kurs i ostrożnie wsunęła się w głąb szerokiego tunelu. Ciemność rozświetlały teraz dwa reflektory dziobowe, ułatwiając pracę kamerom telewizyjnym. Po przepłynięciu niecałych stu metrów okręt zastopował. Na ekranie monitora wyraźnie rysowała się olbrzymia wisząca krata, zanurzona w wodzie i zagrządzająca dalszą drogę w głąb tunelu. Połyskująca matową czernią, zdawała się stanowić trudną przeszkodę.

Rhoden nacisnął niewielki czerwony klawisz i z wieży bojowej wysunęły się lufy dwóch dział laserowych. Krótkie naciśnięcie guziczka i w stronę kraty wytrysnęły świetlne igły. Po chwili kwadrat wyciętej konstrukcji runął w dół, w sykach pary otwierając drogę „Murenii”. Podwodny myśliwiec znów ruszył naprzód. W oddali zaczęło prześwitywać nagle światło dzienne – znak, że tunel się kończył.

Komandor zwiększył szybkość okrętu, chcąc wykorzystać efekt zaskoczenia. Kanał rozszerzał się, wyraźnie rysowało się już wejście na wewnętrzny basen. Reflektory zostały wyłączone, okręt wypadł z tunelu i zrobił gwałtowny zwrot w prawo. Kamery błyskawicznie uchwyciły sylwetkę barkowca stojącego w odległości paruset metrów od dzioba „Murenii”. Kilka postaci w srebrzystych kombinezonach przypatrywało się z jego pokładu niespodziewanemu gościowi. Po chwili zniknęli oni wewnątrz statku.

Rhoden omiół kamerą cały obszar dookoła okrętu. Z trzech stron otaczały basen nagie skały, natomiast naprzeciw dojrzał srebrzyste budowle w kształcie olbrzymich muszli, przyczepione poziomo do bazaltowych skał. Na brzegu znajdowało się coś w rodzaju pochylnej otoczonej ramionami kilku dźwigów i suwnic. Jedna z nich tkwiła w wodzie, a pod nią widniał wrzecionowaty kształt jakiejś małej jednostki. Transportowiec był przycumowany do kamiennego nabrzeża, mając nad sobą rozpiętą szeroko siatkę maskującą. W skałach czerniały wyloty kilku tuneli, z których srebrnymi nitkami wybiegały w kierunku nabrzeża liczne szyny.

Komandor zrozumiał, że znajdują się w jakimś doskonale zamaskowanym porcie. Pozornie bezлюдna wysepka kryła w sobie świetne schronienie dla nowoczesnie wyposażonych korsarzy. W jednej chwili powziął decyzję: skierował okręt na środek basenu, dziobem w stronę przycumowanego barkowca, lustrując równocześnie urządzenia nabrzeżne. Nie dostrzegł żadnego ruchu. Odczekał parę minut, po czym włączył wideofon. Ukazało się wnętrze kapsuły ratunkowej. Ujrzał zaciekawione twarze pod przyłbicami żółtych hełmów.

– Musimy wysłać oddział abordażowy – powiedział. – Potrzebuję trzech, czterech do tego zadania. Kto z was...

Nie dokończył, gdyż na jego pulpicie równocześnie zapaliło się dwanaście czerwonych lampek.

– Dziękuję wam, ale nie mogę zezwolić, aby wszyscy opuścili okręt. Pójdą – tu zrobił niewielką przerwę – Miller, Brown, Rodriguez i Lee. Powodzenia, chłopcy! – zakończył i wyłączył wideofon.

Spojrzał w ekran monitora – na brzegu w dalszym ciągu panował spokój. Po chwili na pulpicie zapaliła się różowo pulsująca żarówka. Był to znak, że czwórka śmiałków zajęła już miejsce w łodzi abordażowej. Rhoden nacisnął dźwignię, włączając równocześnie dwa czarno-białe kontakty. W prawej burcie okrętu otworzyła się szeroka nisza, z której błyskawicznie zjechała w wodę niska, szarooliwkowa łódź elektryczna. Skierowała się prosto w tę stronę, gdzie stał barkowiec. Po zwrocie dotknęła brzegu. Czterej zwiadowcy z pistoletami w rękach

wyskoczyli z łodzi i skryli się wśród olbrzymich głazów. Komandor obserwował ich, nerwowo trzaskając palcami. Dwóch oderwało się od skał i pobiegło w kierunku przycumowanego kadłuba. Nagle jeden z nich zatrzymał się, wyrzucił ręce w górę, jakby chcąc osłonić głowę, i runął na ziemię. Drugiego zasłonił przed wzrokiem Rhodena kadłub stojącego statku. Komandor obrócił kamerę w kierunku srebrnych budowli i zdążył dostrzec błysk strzału laserowego. Jego ręka działała szybciej niż myśl – laserami „Mureny” momentalnie nakrył lustrzane, połyskujące ściany. Błysk eksplozji i kłęb czarnego dymu wznosił się nad skałami. Komandor już miał po raz drugi sięgnąć do urządzenia spustowego, gdy kątem oka dostrzegł na ekranie postać w krwawo połyskującym kombinezonie. Poznał Rodrigueza, najlepszego strzelca w całej IX Eskadrze. Stał na nabrzeżu i energicznie wymachiwał ręką w kierunku „Mureny”. Rhoden odniósł wrażenie, że młody Hiszpan chce go przed czymś ostrzec. Nagle dostrzegł laserową igłę przecinającą powietrze, a po chwili ujrzał ciało Rodrigueza leżące nieruchomo.

Pragnienie zemsty wstrząsnęło komandorem; prawdopodobnie utracił już czterech ludzi, nie wiedząc nawet, czyja ręka pozbawiła ich życia! Włączył silnik. W tym momencie jedna z kamer zewnętrznych przekazała mu obraz, na którego widok osłupiał. Z tyłu, za „Mureną”, w odległości niespełna stu metrów pruł wodę monstrualny wieloryb. Tak gigantycznego zwierzęcia nigdy dotąd jeszcze nie widział! Olbrzymie cielsko mogło zmiażdżyć kadłub „Mureny” jak kartonowe pudełko. Błyskawicznie przestawił drążki sterownicze i okręt, niby spięty ostrogami koń, runął naprzód. Kilkadziesiąt metrów od brzegu wykonał gwałtowny zwrot w lewo i skierował się zygzakiem na środek basenu. Teraz dopiero Rhoden ocenił rzeczywisty ogrom zwierzęcia. Wzdrygnął się na samą myśl o tym, że jego okręt mógłby być teraz miażdżony uderzeniami potwornego ogona. Nacisnął dwa żółte guziki i z obu stron dzioba otworzyły się wyloty czterech wyrzutni. W sekundę później cztery torpedy – stosowane powszechnie do usypiania chorych i zranionych płetwali – wyskoczyły na spotkanie z szarżującym olbrzymem. Trafiony podwójną porcją usypiacza zaczął się miotać, rozbryzgując fontanny wody, i walić potężną płetwą o powierzchnię basenu. Z wolna jednak jego ruchy stawały się coraz mniej gwałtowne i wreszcie zupełnie znieruchomiał. Komandor ponownie zaczął lustrować skały, wśród których leżały bezwładnie postacie jego marynarzy.

Wahanie nie trwało długo; po chwili działa laserowe ponownie uniosły się w górę i rozpoczęły ostrzeliwanie dyskoidalnych budowli. Mimo licznych eksplozji konstrukcje wykonane widocznie z bardzo odpornych materiałów pozostały nie naruszone. Krótka decyzja i prawa wyrzutnia „herkulesów” uniosła się w górę, wyrzucając siedem małych błyskawic w kierunku skał. Efekty bezpośrednich trafień były stosunkowo nikłe: ani jedna z „muszli” nie została zniszczona. W momencie kiedy lewa wyrzutnia kierowała swój ładunek w stronę szarej sylwetki barkowca, „Mureną” targnął potężny wstrząs, a w kilka sekund później drugi.

Automaty meldowały o przeciekach na rufie, wieża bojowa została unieruchomiona... Trzecie uderzenie przyspieszyło decyzję; okaleczony myśliwiec z wolna popłynął w stronę brzegu. Sytuacja dziewięciu ludzi na jego pokładzie gwałtownie się pogorszyła. Każdy z nich zrozumiał, że teraz jedyną szansą uratowania życia jest opanowanie Pero-ruoko.

Okręt zbliżył się do nabrzeża, przyssawki cumownicze dotknęły brzegu i unieruchomiły „Murenę” tuż za barkowcem. Komandor połączył się z kapsułą i wydał rozkaz, aby wszyscy przygotowali się do opuszczenia okrętu. Sam, z pistoletem w ręce, pobiegł w stronę wjazdu wyjściowego i otworzył go. Kiedy ośmiu pozostałych marynarzy zgromadziło się obok niego, ruchem głowy wskazał im czarny wylot tunelu znajdujący się naprzeciw, w odległości niespełna osiemdziesięciu metrów. Trzej pierwsi zeskoczyli na brzeg i olbrzymimi susami popędzili w stronę tunelu. Odprowadzani wzrokiem reszty zniknęły w mroku. Po chwili błysk latarki oznajmił, że przeskok się udał.

– Naprzód! – krzyknął Rhoden do mikrofonu.

Opuszczając pokład, kątem oka dostrzegł rozbitą wieżę bojową.

Po chwili znajdował się już w skalnym korytarzu, otoczony czerwienią kombinezonów załogi. Ściany czerniały złowrogo, w głębi dostrzegł nikły odbłask światła.

– Dwóch zostaje tutaj jako ubezpieczenie, reszta za mną! – rozkazał.

Z bronią przygotowaną do strzału skierowali się w głąb tunelu. Po przejściu około stu metrów znaleźli się w dużej, jasno oświetlonej sali. Ściany jej otoczone były zwojami rurociągów, po obu stronach stały białe laboratoryjne stoły z mnóstwem naczyń i przyrządów chemicznych. Na środku znajdowały się dwa rzędy ponad dwumetrowych butli połączonych skomplikowanym systemem szklanych i metalowych rurek.

Rhoden podszedł do jednej z nich i odkręcił wystający z boku mały kranik. Duże, niebieskie krople gęstej cieczy spadły na podłogę.

– Komandorze! Niech pan tego nie rusza! – W słuchawkach zabrzmiał głos porucznika Davisa. – To bardzo niebezpieczny środek wybuchowy! Miałem okazję poznać go już w czasie badań w Akademii. Proszę spojrzeć.

Davis wziął ze stojącego obok laboratoryjnego stołu dwie małe miseczki i nalał do jednej z nich kilka niebieskich kropeł. Następnie podszedł do butli stojącej w drugim rzędzie i odkręciwszy kranik, nalał do drugiej miseczki kilkanaście kropeł koloru czerwonego. Teraz obie miseczki przechylił nad porcelanową tacą. Wszyscy z zaciekawieniem obserwowali, jak dwie kolorowe strugi zbliżają się do siebie. W chwili gdy się zetknęły, gwałtowny błysk targnął powietrzem.

– To nowy materiał wybuchowy zwany tektonitem – powiedział Davis. – Te zapasy – wskazał ręką butle – starczyłyby na wysadzenie całej Pero-ruoko.

– Musimy je zabezpieczyć – zdecydował Rhoden. – Zostawiam tu pana i Thomsona. Gdyby coś się wydarzyło z nami, proszę wysadzić to laboratorium.

– Rozumiem, komandorze! – Davis skierował się w stronę butli. Pokręcił kilka zaworów i odwrócił się. – Wszystko w porządku. Teraz w ciągu trzech sekund mogę zniszczyć wyspę.

Komandor poprowadził pozostałych ludzi w głąb jasno oświetlonego korytarza. W chwili gdy dwaj idący za nim marynarze wyłonili się zza rogu, z bocznej wnęki błysnęły w ich kierunku strzały. Rhoden błyskawicznie przypadł do ziemi. Zdążył jeszcze dostrzec, jak jeden ze sterników „Mureny” pochyla się w nienaturalnym geście i wali na ziemię.

„To już pięciu” – pomyślał komandor. Spojrzał w głąb boczego korytarza. Mignęła tam jakaś postać w srebrnym kombinezonie! Ostrożnie wychylony podniósł pistolet i echo dwóch strzałów uderzyło o ściany. Zerwał się i pobiegł w tamtym kierunku. Po kilkunastu metrach zatrzymał się. U jego stóp leżała mała postać. Przyklęknął i odwrócił ją na wznak. Ciemne płyty zawirowały mu w oczach. To nie był człowiek! Zza szyby srebrzystego hełmu lśniły martwym blaskiem wylupiaste oczy. Twarz nieznanego istoty – pozbawiona nosa i zakończona ryjkowatą szczęką – przerażała. Ręka przypominająca ochronną rękawicę zaciskała się na dziwnego kształtu rurze – zapewne była to broń. Rhoden spojrzął za siebie. Zobaczył, że trzech jego towarzysze zbliżają się. Ruchem głowy wskazał im leżącą postać. Kiedy pochylili się nad nią, twarze ich zamarły. Niewątpliwie leżał przed nimi przybysz z Kosmosu! I to przybysz nie nastawiony pokojowo w stosunku do ludzi.

Zostawiwszy przy zabitym trójkę marynarzy, Rhoden skierował się w głąb korytarza, ku zamykającym go grubym, stalowym drzwiom. Z bronią przygotowaną do strzału otworzył je i znalazł się na balkonie olbrzymiej podmorskiej groty.

Wychylił się i ujrzał w dole olbrzymie cielska wielorybów nieruchomo spoczywających w wodzie. Wyjście z groty zamykała krata, która uniemożliwiała zwierzętom wydostanie się na

wolność. Komandor dostrzegł, że niektóre płetwale mają zainstalowane na głowach miniaturowe nadajniki przyczepione do skóry za pomocą przyssawek. Na lewo, w małym basenie, znajdowały się delfiny orka – poznał je po olbrzymich trójkątnych płetwach grzbietowych – wszystkie były połączone białymi węzami z siecią rur oplatających grotę.

Tuż obok siebie zobaczył coś w rodzaju stanowiska manewrowego. Mały fotel, kilka dźwigni, duża płyta pulpitu sterowniczego, rzędy kolorowych przycisków i mnóstwo lamp kontrolnych.

Teraz dopiero zrozumiał, jaką zagadkę kryją wnętrza wyspy. To, co miał pod sobą w dole, było sztuczną hodowlą wielorybów-gigantów. Kosmiczni przybysze, wrogo nastawieni do mieszkańców Ziemi, zamierzali niewątpliwie podbić ją. Widocznie jednak nie dysponowali odpowiednią siłą i chcieli dokonać tego, posługując się niewinnymi mieszkańcami oceanów. Zgromadzony w dużej ilości tektonit potwierdzał wnioski komandora. Za wszelką cenę należało udaremnić inwazję!

Popędził z powrotem korytarzem.

Nagle nogi wrosły mu w ziemię! Przed nim, na zielonkawo połyskujących płytach, leżały trzy postacie w szkarłatnych kombinezonach. Rozglądał się dookoła, ale nigdzie nie dostrzegł ciała kosmicznego przybysza. Widocznie ci, którzy zabili trzech marynarzy z „Mureny”, zabrali je ze sobą.

Nie było chwili do stracenia; komandor ruszył w kierunku laboratorium. Tuż obok wejścia natknął się na martwego Thomsona. Nieco dalej w kałuży zakrzepłej krwi leżał Davis, ściskając w dłoniach porcelanową miseczkę. Rhoden wysunął małą antenę i, włączwszy mikronadajnik, wywołał hasło dla dwóch marynarzy, których pozostawiono jako ubezpieczenie u wejścia do tunelu. Odpowiedziała mu cisza. „A więc oni też!” – nerwowo przygryzł wargi. Zdał sobie sprawę, że jest jedynym żyjącym z załogi atomowego myśliwca i że nie ma żadnych szans na wydostanie się stąd. „Murena” jest uszkodzona, niezdolna do zanurzenia...

Rozejrzał się po ścianach i na wprost siebie dostrzegł masywne drzwi. Podeszedł do nich i gwałtownym ruchem szarpnął. Fala dziennego światła zalała laboratorium. Drzwi prowadziły na małą skalną półkę, z której rozciągał się widok na całą wewnętrzną część wyspy. Ujrzał kilka srebrnych postaci, które zniknęły we wnętrzu stojącej przy nabrzeżu „Mureny”. Podniósł pistolet i posłał w ich kierunku całą zawartość magazynka. Wyrzucił bezużyteczną broń i wrócił do laboratorium. Podeszedł do dwóch olbrzymich butli połączonych szklanymi rurkami w kształcie litery „V”. Odkręcił powoli dwa mosiężne zawory i z ulgą zobaczył, jak z dwu stron zaczęły dążyć ku sobie strumyki tektonitu. Nic nie mogło już ich zatrzymać...

Komandor Marco Rhoden wyprostował się; jego zadanie dobiegło końca. Obrzucił wzrokiem laboratorium i ponownie wrócił na skalną półkę. Ostatnim spojrzeniem ogarnął stojącą przy brzegu „Murenę”, wyniosły kształt barkowca, nieruchome cielsko wieloryba na środku jeziora, zachodzące słońce, które chowało się właśnie za postrzępionymi skałami zachodnich brzegów Pero-ruoko. Oparł się o skałę i przymknął oczy. Czekał na śmierć...

Srebrna postać pochylona nad okularem astroteleskopu wyprostowała się i odwróciła w kierunku załogi zgromadzonej w centrolaktii statku kosmicznego.

– Baza przestała istnieć. Mieszkańcy Trzeciej Planety odkryli nasze zamierzenia. Powtarzam raz jeszcze: musimy natychmiast opuścić jej strefę! W przeciwnym razie Ziemianie zniszczą nas tak, jak uczynili to z naszymi braćmi w Bazie!

Wyłupiaste oczy zgromadzonych zwróciły się na dowódcę. Ten spojrzał na astro nawigatora i rzekł:

– Po to więc przebyliśmy szesnaście okresów gwiazdnych, aby teraz wracać z niczym na

Altaira?! Naszym zadaniem było i jest opanowanie Trzeciej Planety! Na jakiej podstawie twierdzisz, że jej mieszkańcy mogą nas pokonać?

– Widziałeś ekrany astrotermów i wiesz równie dobrze jak ja, że wykryły one liczne ślady eksplozji termonuklearnych. Jestem pewien, iż Ziemianie mają w swoich rękach broń, jeżeli nie doskonalszą, to równą naszej! Ostatnie meldunki z Bazy mówią, że zaatakowano ją potężnie uzbrojonym hydrotronem. To on sprawił, że nie ujrzymy nigdy więcej dwudziestu dwóch naszych braci. Powtarzam – musimy opuścić strefę Trzeciej Planety!

Dowódca stał chwilę niezdecydowany, wreszcie kołyszącym się krokiem podszedł do stołu sterowniczego i położył rękę na dźwigni akceleratorów. Odwrócił głowę w stronę załogi i, zacisnąwszy zęby, przesunął drążek...

Subgalaktyczny dysk, powoli zmieniając trajektorię lotu, kierował się w mrok Wszechświata.

Henryk W. Gajewski Metoda Mortona

Profesor Morton uniósł probówkę do światła. Widzieli: na dnie naczynia opalizowała kropla cieczy, ciężka jak rtęć, o dystorsji diamentu. Żywa, bo była życiem w absolutnej postaci. Była zarazem rekapitulacją życia. Zdawał sobie sprawę z tego każdy z międzynarodowego gremium uczonych, które zebrało się w reprezentacyjnej sali uniwersytetu w Uppsali.

Zaległo uroczyste milczenie. Audytorium uczyło geniusz Mortona chwilą ciszy.

Nazajutrz spiker z Eurasian TV wywołał zrozumiałą sensację u szerokiej rzeszy telesłuchaczy. Zapowiedział bowiem komunikat specjalny z kongresu nauki. W chwilę później na ekranach ujrzano w zbliżeniu historyczny preparat. A komentator omówił tekst referatu wygłoszonego przez profesora Mortona.

Rewelacja obiegała kulę ziemską. Lokalne rozgłoszenie powtarzały komunikat całą dobę, w dwugodzinnych odstępach, i niebawem stał się on pasjonującym tematem, popularniejszym niż wyniki gry w binkę czy międzykontynentalne mistrzostwa rugby. Rozentuzjasmowany świat oczekiwał telewywiadu z Mortonem. Wbrew spodziewaniom nie doszło jednak przed kamerami do rozmowy z najślawniejszym człowiekiem. Wywiadu udzielił asystent profesora, rokujący nadzieje uczoney, nazwiskiem Svert.

Oświadczył on między innymi:

– Stoimy w obliczu przewrotu. Doświadczenie Mortona zwiastuje świt wielkiego dnia, zaczątek nowej ery ludzkości. Nowe drogi biochemii przyspieszają schyłek spekulatywnych teorii, kładą podwaliny pod biochemię stosowaną, utylitarną. Takie jest znaczenie biosyntezy Mortona. Wiekopomność odkrycia – mówił Svert do teleodbiorców – polega na tym, że syntezy białek rozwiążą raz na zawsze palący problem deficytu żywności.

Zapytany o Mortona wyjaśnił z zażenowaniem:

– Tej miary uczoney unika rozgłosu. Dla niego świat wyznaczają ściany laboratorium.

Obszerniejsze omówienie odkrycia opublikowały „Acta Biochimica”. Na łamach nadzwyczajnego dodatku do tego czasopisma wypowiedziała się komisja ekspertów.

W kilka dni potem wyprzedano z księgarskich półek ostatnie uniwersyteckie podręczniki, ponieważ już wcześniej zabrakło edycji popularnonaukowych. W kawiarniach nie mówiono na inny temat; słyszało się stale o transkrypcjach, wariacjach, genach, mutacjach i aminokwasach. Wykupiono także sprzęt do mikroskopowania, anegdotą stały się podane przez prasę perypetie grenlandzkiego chłopca, który chciał wyzyskać mortonowskie odkrycie – do sterowania hodowlą rzodkiewek w przydomowym inspektarium.

Największe jednak poruszenie nadal przeżywał świat nauki, a w szczególności grono specjalistów. Przeprowadzona przez nich dyskusja zakończyła się wydaniem zgodnej opinii, która potwierdziła doniosłe znaczenie odkrycia dla praktyki. Na podstawie tej opinii Rząd powołał zespół ekspertów i narzucił im program: opracować technologię, która ułatwiłaby eksploatację dobrodziejstw płynących z naukowej pracy Mortona.

Niemalą udział w przedsięwzięciu mieli matematycy z Ośrodka Maszyn Probabilistycznych. Wyszli przeciw ze śmiałą hipotezą: realizować projekt równoległe z programowaniem, dosłownie „na styku” pomysł-przemysł. Nie pozostali w tyle pracownicy Ośrodka Informatyki-Archiwistyki, których zasługą było wygrzebywanie z niepamięci

zarzuconych ongiś propozycji. Natrafiono wśród nich na dziewiętnastowieczny projekt utworzenia morza na Saharze – płód wyobraźni Verne'a. Po uzupełnieniu go koncepcją wydobycia podsaharyjskich wód Morza Savorińskiego projekt Verne'a doczekał się teraz urzeczywistnienia. W ten sposób powstał zbiornik lub lepiej: akwen radiobiosyntezy białek metodą profesora Mortona. Prace te poprzedziły osadzenie na orbicie okołoziemskiej satelity z reaktorem atomowym o emisyjnej zdolności zminiaturyzowanego wybuchu supernowej. Prędkość orbitalna sputnika równała się prędkości obrotowej kuli ziemskiej. Właśnie jego radiacja inicjowała biosyntezę łańcucha białek.

Duszą przedsięwzięcia okazał się Svert. Był wszędzie, doglądał wszystkiego, zawsze miał właściwe pomysły. Robił karierę, wkrótce stał się pełnomocnikiem Rady Nadzorczej, a szczęście sprzyjało uparcie jego poczynaniom.

Kończono właśnie ostatnie wiercenia, gdy z otworu buchnął gejzer. Trafiono bowiem na termy. Był to oczywisty przypadek, ale Svert triumfował – twierdził, jakoby gorące źródło trysnęło za jego sprawą. Do dumy miał wyraźny powód: tym samym upadł ostatni problem – mianowicie problem podniesienia temperatury w sztucznym, saharyjskim morzu.

Nastał wreszcie ów historyczny dzień: z Wiertniczych studzienek wytoczyły się wody podsaharyjskie, których zasoby ocenili hydrologowie na piętnaście miliardów metrów sześciennych.

Topografowie mogli nanieść błękitem na mapy Morze Savorina-Mortona, ludzkość nadała mu potoczną nazwę „Oceaniku”.

Nowy akwen podzielony został na sektory, inaczej baseny. W każdym z nich znajdowała się hodowla określonej grupy białek. W tym celu wprowadzono do wód polimerazy z rodzaju drożdży winiarskich – najpospolitsze białka, które nauczono się otrzymywać w dowolnej ilości jeszcze w siedemnastym wieku. I dopiero ten wodny roztwór załęczono preparatami z pracowni Mortona. Jednym z nich był kompleks informatywny odwirowany z hormonów przysadki mózgowej bażanta, ostatniego na świecie, którego cudem utrzymano przy życiu, aplikując mu specjalny specyfik, najnowszą zdobycz gerontologii. Był to rodzaj eksperymentu dla samej zasady eksperymentowania. O tym bowiem, że wynik będzie pozytywny, powątpiewali najzagorzalsi nawet optymiści. Oponenti zaś odwoływali się aż do Mortona, by zajął stanowisko w tej kwestii. Lecz uczyony odmówił odpowiedzi.

Svert tymczasem obiecywał sobie wiele i... nie zawiódł się wcale.

W bażanciarńi – tak nazwano ów sektor – pęczniał od przyrostów najautentyczniejszy mięsień piersiowy bażanciej tuszki monsturalnej wielkości. Jędrne, jadalne zwały sięgały grobli.

Płatano je systemem mechanicznych łopat, by rozwozić po świecie. Po przyrządzeniu zadawały gusta najwybredniejszych smakoszy.

W ten sposób powstała jedyna w swoim rodzaju fabryka białek zwierzęcych gwarantująca jednostajny, niczym nie zakłócony przebieg produkcji. Nawet nie uzupełniano paliwa, nie dowożono surowców. Potrzeby te bowiem fabryka zaspokajała samorzutnie. Energii dostarczał zespół reaktor-słońce, a także przemiany chemiczne dokonujące się w polimerazie. Azot czerpała fabryka bezpośrednio z powietrza, dalsze zaś surowce niosły podziemne nurty z Atlantyku i rzek Atlasu, które zasilają podsaharyjski zbiornik. Były to wody bogate w związki nieorganiczne.

Nauka zanotowała pełny sukces: Svert doczekał się pomnika w alei zasłużonych.

O odkrywcę, Mortonie, mówiono natomiast coraz rzadziej.

W niespełna kilka lat po uruchomieniu fabryki białka, podaż syntetyków wielokrotnie przewyższała popyt. Plony z Morza Savorina-Mortona gromadzono w konserwach bądź w zamrażalniku, bądź zliofilizowane ucierano na pemmikan. Pośledniejsze części topiono wprost w Atlantyku.

Rada Nadzorcza znalazła się w impasie: jak odwrócić klęskę urodzaju? Bo środki przewidziane w celu zahamowania przyrostu białka nie dały efektu. Wysunięto dwa wnioski: usypać górę mrożonek w Arktyce lub też wystrzelić system orbitalny, w rodzaju pierścienia Saturna, z brył zamrożonego w kosmicznej próżni białka.

Zrazu oba pomysły zostały ośmieszone. Poprzestano zatem na niszczeniu nadwyżek. Wszakże z uwagi na wysoki koszt likwidowania nadwyżki Rząd po pewnym czasie zaaprobował pierwszy, nie nastroczający większych trudności projekt. Na kontynencie antarktycznym urastał zatem łańcuch górski ciągnący się w głąb lądu od Ziemi Enderby.

Gigantyczne zamierzenie programowano na siedemdziesiąt dziewięć lat. Po upływie tego czasu miał się wyczerpać zapas paliwa w reaktorze, a koniec radiacji odwróciłby nareszcie klęskę urodzaju. Jednocześnie laboratoria byłyby w stanie dopracować się ulepszonych, mniej kłopotliwych metod biosyntezy na wielką skalę.

Tymczasem placówki hydrometeorologiczne notowały jednostajny spadek ciśnienia atmosferycznego. Jakby z upływem dni rzedło powietrze. Mieszkańcy wyżej położonych miast odczuli to pierwsi, skarżyli się na duszności. Później nawet tracili przytomność w biurach i na ulicach. U lekarzy ustawiały się długie kolejki cierpiących na niedrożność naczyń wieńcowych, dolegliwość co prawda raczej błahą, jeśli zważyć na stan medycyny.

Zaniepokojenie opinii publicznej wywoływały jednak przede wszystkim doniesienia placówek geofizycznych. Sygnalizowały one wzmożenie sejsmicznych ruchów skorupy ziemskiej. Najwidoczniej gdzieś w głębi globu przemieszczały się masywy, które naruszały wątłą otoczkę litosfery.

Kiedy zaniepokojenie opinii publicznej sięgało szczytu, Rząd wydał oświadczenie, w którym zalecił rozsądek i zakazał siania paniki.

– Chwilowe anomalie w biosferze – czytał rzecznik prasowy – niczym nie zagrażają. Organizację życia na Ziemi należy kontynuować jak dotychczas. A Rząd ze swej strony dołoży wszelkich starań, by przywrócić należyty ład.

Nieprzewidywany rozwój wypadków pokrzyżował jednak rządowe zabiegi. Ciśnienie atmosferyczne spadało z godziny na godzinę. Z wybrzeży donoszono o wzroście poziomu wód. Olbrzymia fala zalewała plaże, wdzierając się w depresje, zagrażała portom. Po ziemi przebiegały wyczuwalne już drgnienia, przenikliwie, jak dreszcze po ciele chorego.

Władze zarządziły ewakuację miast. Każdy człowiek szukał schronienia z dala od skupisk ludzkich. Z trwogą czekali doniesień agencyjnych. Wiedzano już, że katastrofa jest nieodwracalna. Oto bowiem wyhodowany w Oceaniku potwór pochłonął azot z atmosfery, przyswoił sobie nieprzebrane masy wody. Karcił się, lecz zakłócił równowagę sił w układzie: atmosfera-hydrosfera, wywołał wystąpienie oceanów. Nie przytłoczone ogromem ciśnienia oceaniczne dno uniosło się, powodując ruchy tektoniczne.

– Rząd zaręcza, że dołoży wszelkich starań, by nie dopuścić do zagłady – informował spiker Eurasian TV. – Od wybrzeży toczy się wał wodny. Dalsze doniesienia gencyjne za godzinę.

W tym czasie delegaci Rządu dobijali się do willi Mortona. W nocnej ciszy ponuro brzmiał jęk gongu.

– Ten człowiek musi pomóc – pocieszał reportera telewizyjnego jeden z delegatów. – Zaradzi jakoś, właśnie on jeden...

I znowu cały świat czekał z zapartym oddechem na wywiad. Pokładano w Mortonie ostatnią nadzieję, ufając w moc niepospolitej wiedzy tego człowieka.

Nareszcie ukazała się jakaś postać w drzwiach.

– Uczony nie żyje. Onegdaj popełnił samobójstwo.

Był to ostatni komunikat Eurasian TV. O świecie wyzwolony ogrom wód zalał kontynenty.

Janusz A. Zajdel

Raport z piwnicy

Wydaje mi się, że mam dość dużo czasu... Muszę go czymkolwiek wypełnić. Teraz, kiedy przemyślałem wszystko dokładnie, pozostaje tylko czekać. Może wreszcie uda mi się zmylić ich czujność i wymknąć się stąd, może znajdę jakiś sposób...

Pomyślałem, że dobrze byłoby zanotować wszystko po kolei. Nie dlatego, abym sądził, że nie zdołam już nikomu tego opowiedzieć... Po prostu, może w ten sposób sam lepiej sobie przypomnę różne szczegóły? Notes mam, długopis także, światło tylko trochę za słabe, ale jakoś sobie poradzę.

Aby wszystko stało się jasne i zrozumiałe, muszę zacząć od tego momentu, gdy mój niespodziewany gość, ubrany w mój szlafrok, ogolony i umyty, zasiadł do herbaty i kanapek, które dla niego przygotowałem, kiedy on buszował w mojej łazience.

Wyglądał teraz o wiele lepiej niż tam, na ulicy, gdy podszedł do mnie dość niespodziewanie i zagadnął. Przyznam, że przeżyłem chwilę strachu. Ulica była pusta, źle oświetlona, a on z tą nie ogoloną od paru dni gębą wyglądał na rzezimieszka lub co najmniej na włóczęgę. Sprawiał wrażenie wyciągniętego ze śmietnika i tylko z lekka otrzezanego. Gdyby nie ten jego nienaganny i kulturalny sposób wyrażania się, pewnie oddaliłbym się co prędzej, pozostawiając go na skraju chodnika – z tymi rozbieganymi oczami, błędzącymi gdzieś po rynsztoku i niskich okienkach piwnic.

Mówił szybko, urywanymi zdaniem, a oczy jego ani na chwilę nie przestawały szukać czegoś nisko, przy ziemi.

Nawet teraz, siedząc w wygodnym fotelu i pijąc herbatę, co pewien czas rzucał niespokojne spojrzenie poza krąg stojącej lampy. Jadł z apetytem, łączywie nawet, lecz najwyraźniej starał się opanować swoje mimowolne odruchy.

– Jestem panu gorąco wdzięczny, serdecznie za wszystko dziękuję i zapewniam, że nie zamierzałem sprawić panu aż tyle kłopotu – powiedział, kończąc jedzenie. – Jak pan zapewne zdołał zauważyć, w roli ulicznego obdartusa wystąpiłem przypadkowo. Całe szczęście, że w kieszeni tego starego palta znalazłem jakąś swoją legitymację. Bez niej na pewno nie miałbym szansy znaleźć się tutaj, w pana mieszkaniu. Pan mi zaufał, dopomógł. Sądzę, że powinienem panu wyjaśnić parę spraw, wytłumaczyć się...

Skinąłem głową zachęcająco i poczęstowałem go papierosem, lecz podziękował i nalał sobie do szklanki trochę wody sodowej. Wypił mały łyk, odstawił szklankę i opowiadał:

– Mieszkanie opuściłem w pośpiechu i nie z własnej woli. Stąd ta stara kapota, którą zdołałem chwycić z wieszaka w przedpokoju. Od czterech dni koczuję po mieście, sypiam w windach albo w ogóle nie sypiam. Nie mam ani grosza, nie znam nikogo, a władz porządkowych nie chciałbym w to wszystko wtajemniczać... Nie, nie... Tu nie chodzi o jakieś nieporozumienie rodzinne lub sąsiedzkie. Mieszkam sam, mam nawet ładny, spory domek w południowej dzielnicy, kupiłem go niedawno. Kosztował mnie cały majątek, ale musiałem... Od roku mieszkam w tym mieście, przeniósłem się tutaj, aby zakończyć pewną... pracę... Tak, pracuję nadal, chociaż jestem już na emeryturze. Przecież nikt za mnie tego nie dokończy. Myślę, że zdążę jeszcze mimo swoich siedemdziesięciu pięciu lat... Nie wyglądam na tyle, prawda? Cóż, eliksiru młodości nie wynalazłem, ale jestem biochemikiem i pomagam sobie trochę różnymi

preparatami, które mi czasem przysyłają dawni znajomi z Instytutu. Mam kilku przyjaciół, ale wszyscy są dość daleko stąd i w takiej chwili trudno liczyć na ich pomoc...

Tak sobie myślę, że – na szczęście – musiało się zachować w mojej twarzy jeszcze trochę podobieństwa do tej starej fotografii w legitymacji, nieważnej już od kilkunastu lat... Mniejsza o to, pan mi uwierzył, choć i nazwisko Borel też pewnie nie panu nie mówi, chyba że interesował się pan kiedykolwiek pewnymi specjalistycznymi zagadnieniami biochemii i fizjologii.

Więc jak powiedziałem, moja banicja nie wynika z napiętych stosunków sąsiedzkich. Nie jestem także poszukiwany przez władze śledcze, może to pan sprawdzić telefonicznie.

Chociaż, w pewnym sensie, przyczyną mojej tu obecności są jednak „uciążliwi współlokatorzy”... Ale, aby wszystko stało się jasne i zrozumiałe dla pana, muszę chyba zacząć od tego momentu, kiedy zainteresowałem się doświadczeniami moich dwóch kolegów, którzy zresztą powtarzali eksperyment – nie pamiętam już czyj – opisany w „Biochemistry Journal” i dotyczący możliwości biochemicznego przejęcia informacji... Ale może najpierw powiem, na czym polegał ów eksperyment. Otóż posłużono się w nim egzemplarzami gatunku wyplawek białych, należących do typu płazińców. Robaki te mają bardzo prosty „układ nerwowy”, interesujący jednakże z tego względu, że daje się w nim zauważyć pewien splot stanowiący zaczątek centralizacji. Moi koledzy poddali kilka wyplawek elementarnej „tresurze” polegającej na wyrobieniu u nich kilku odruchów warunkowych na bodźce fizyczne. Resztę robaków w akwarium pozostawiono w stanie „nieoświeconym”. Następnie „uczone” robaki posiekano i nakarmiono nimi pozostałe. Po pewnym czasie można było stwierdzić, że spora część wyplawek przejawia prawidłowe reakcje na bodźce, którymi „tresowano” ich zjedzonych towarzyszy. Wobec tak dobrych efektów koledzy spróbowali eksperyment ulepszyć. Ze względu na ograniczone możliwości konsumpcyjne pojedynczego wyplawka – w następnym etapie próbowano karmić je tylko wypreparowanymi „móźdzkami”. Żartowałem wówczas z tych doświadczeń. Powiedziałem kiedyś na seminarium, że oto otwiera się nowy etap w życiu sfer naukowych: dotychczas mieliśmy do czynienia jedynie z „podgryzaniem” wyżej stojących w instytutowej hierarchii przez młodszych kolegów. Teraz zaś będzie się ich pożerać, z podwójną korzyścią dla własnej kariery naukowej.

Po zmianie metodyki wyniki eksperymentu pogorszyły się jednak, a moi koledzy zniechęcili się i zabrali do innych tematów badań. Ja natomiast rozpocząłem to, czego w tej chwili nie mogę doprowadzić do końca przez tę głupią historię sprzed czterech dni...

Pomyślałem sobie wtedy, po tych doświadczeniach z wyplawkami, że popularne powiedzonka: „tyle wie, co zje” albo „zjadł wszystkie rozumy”, tracą wkrótce, być może, swój sens przenośny.

Możliwość przejęcia „wiedzy” przez spożycie tkanki mózgowej oznacza wszak, że owa „wiedza” jest czymś materialnym, być może tkwi ona po prostu w cząsteczkach specyficznych związków zawartych w mózgu.

Moje wnioski potwierdziły się wkrótce. Znalazłem publikację jakichś naukowców – rumuńskich czy jugosłowiańskich, nie pamiętam – którzy wykazali, że uczenie się, zapamiętywanie informacji jest równoznaczne z syntezą pewnych struktur białkowych w centralnym układzie nerwowym.

Od tego czasu zająłem się poważnie, choć nieoficjalnie, próbami wyodrębnienia tych cząsteczek z mózgow różnorodnych organizmów zwierzęcych

Niech pan pomyśli, jakie oszałamiające perspektywy otworzą się przed nauką, w chwili gdy można będzie w ten sposób przekazywać ludzką wiedzę!

Genialność i tępota, zdolności i ich brak zależeć będą od czysto biochemicznych i

fizjologicznych predyspozycji danego osobnika! Człowiek, któremu trudność sprawia nauczenie się, przyswojenie pewnych wiadomości, po ich bezpośrednim „wszczepieniu” w mózg – prawdopodobnie mógłby korzystać z nich bez przeszkód. Niezdolność organizmu do dokonywania syntezy informin, tych informacjonosnych struktur białkowych, zwana dotąd „brakiem zdolności”, może być zrekompenrowana przez podanie gotowych preparatów, sporządzonych z materiału pobranego od osobników „zdolnych”! Można sobie wyobrazić na przykład honorowych informinodawców, specjalistów z różnych dziedzin wiedzy, którzy wciąż na nowo wchłaniając pewne informacje, przekształcaliby je na informiny dla innych, nie mogących syntetyzować ich we własnych organizmach!

Upośledzenie syntezy insuliny przez trzustkę, powodujące cukrzycę, wyrównać można przez podanie insuliny w zastrzykach, niewydolność układu krwiotwórczego można niwelować przez transfuzję krwi od osoby zdrowej... Czy nie byłoby prawdziwym dobrodziejstwem dla ludzkości podobne ratowanie zbyt mało chłonnych umysłów, szczególnie dziś, w dobie specjalizacji i przytłaczającego ogromu wiedzy, jaką musi wchłonąć pojedynczy człowiek?

A poza tym – wszak to rewolucja w metodyce nauczania! Biodydaktyka, wiedza w zastrzykach, w pigułkach nawet! Zamiast zamęczać dzieci ślęczeniem po kilka godzin dziennie w szkole i tyleż w domu, można by im po prostu dawać cukierki nadziewane informinami i zwrócić większą uwagę na rozwój fizyczny i zdrowie, tak ważne w czasach dewastacji naturalnego środowiska biologicznego! Czy teraz rozumie pan, jak doniosłe znaczenie

...Pomyślałem wtedy, że można to odnieść do różnych gatunków, nawet odległych ewolucyjnie.

Jeśli bowiem na przykład królik nie osiąga nigdy zdolności przyjmowania informacji takich, jakie przyswaja sobie pies, znaczy to po prostu, że nie może syntetyzować pewnych typów informin. Co jednak nie oznacza, że gdyby mu podać je w formie gotowej, nie mógłby z nich korzystać. Zaręczam słowem honoru – mój królik czekał na widok kota! To był dla mnie dowód, że

...po tych osiągnięciach problem „wiedzy w pigułkach” stał się moją obsesją. Niestety! Próby wprowadzenia informacji przez przewód pokarmowy nie dawały pożądanych rezultatów – kończyły się zawsze rozkładem białek przez enzymy układu trawiennego lub, w najlepszym razie, zmianami strukturalnymi, co oczywiście przekreślało pożądany rezultat. Pomyślałem wtedy, że widocznie zbyt wielka różnica dzieli ssaki od płazińców... Lecz kiedy wróciłem myślą do tych ostatnich i przejrzałem raz jeszcze protokoły pierwszych eksperymentów, zrozumiałem nagle

...pojmuję pan? Te inhibitory, katalizatory ujemne, stanowią osłonę dla informin wprowadzanych do obcego immunologicznie organizmu! Dopóki wypławki pożerały swych towarzyszy w całości, eksperyment udawał się znakomicie, a w przypadku wypreparowywania samej tkanki nerwowej

...wówczas informiny rozkładają się bardzo szybko! Nawet kilkuminutowy okres między pobraniem ich z żywego organizmu dawcy a wchłonięciem przez biorcę – w praktyce wyklucza pozytywny wynik. Jednym słowem, materiał musi być świeży, zupełnie świeży, a poza tym podany łącznie z inhibitorem. Moim obiektom doświadczalnym podawałem tkankę mózgową wraz z niektórymi innymi organami. Wyniki były dobre, ostatnio nawet bardzo dobre! Rozumie pan, co to oznacza! Stąd już tylko krok

...znane są ze swej inteligencji i zmyślności. Eksperyment przeobrażał je w sposób zdumiewający! Pan zdaje sobie sprawę, że mózg człowieka jest wykorzystywany zaledwie w niewielkim stopniu. To samo dotyczy innych kręgowców.

Używam oczywiście dzikich egzemplarzy, te są najlepsze. Co za sprytnie bestie! Otrzaskane ze współczesną cywilizacją wielkowiejską, o wspaniale wyostrzonych zmysłach. Zgromadziłem ich – nie bez trudu – około trzystu sztuk. Znakomity, wdzięczny materiał do doświadczeń.

Lecz kiedy wszystko już było na najlepszej drodze, oszedł mój laborant. Pracował u mnie od lat. Nie spodziewałem się tego po nim: po prostu zniknął pewnego dnia... Zalegałem z wypłatą jego pensji, to prawda. Ale przecież wiedział, jaka jest sytuacja. Mieszkał ze mną, znał wszystkie moje kłopoty. Od tej chwili musiałem wszystko robić sam, przez co tempo doświadczeń znacznie osłabło. W ciągu ostatniego tygodnia musiałem obsługiwać zwierzętamię, sporządzać preparaty, robić codzienne obserwacje

... i widocznie nie zamknąłem zbyt dokładnie, bo gdy następnego dnia rano zszedłem na dół, zostałem zaatakowany. Tak, ponad wszelką wątpliwość to był atak. Stwierdziłem to, gdy po pierwszej ucieczce, ochłonąwszy nieco, wróciłem i próbowałem wejść

...ot, i wszystko.

Borel milczał długo, wreszcie odezwał się znowu.

– Nadużywam pańskiej uprzejmości – powiedział pokornie. – Ale jeśli mi pan nie odmówił, byłbym panu zobowiązany nade wszystko...

Dobierał słów przez kilka minut, zanim poprosił mnie wreszcie, abym z nim tam pojechał. Zgodziłem się.

– To tutaj, drzwi są zatrzaśnięte, ale klucz na szczęście miałem przy sobie, gdy... wychodziłem – powiedział, kiedy stanęliśmy przed niewielką willą przy bocznej, prawie nie zabudowanej uliczce na przedmieściu. – Chodźmy na dół, powinny być tam...

Zeszliśmy po kilku schodkach. Borel ostrożnie uchylił jakieś drzwi, za którymi paliła się słaba żarówka. Zajrzał przez szparę.

– Dziwne – powiedział. – Wygląda na to, że... – zmieszał się wyraźnie. – Czyżbym był aż tak przemęczony? Halucynacje?

Spojrzałem przez jego ramię do wnętrza piwnicznego pomieszczenia.

– Wszystko pozamykane... – mamrotał w osłupieniu.

– Widocznie to jednak zmęczenie, profesorze – powiedziałem, prowadząc go na górę. Po chwili zasnął w fotelu, więc przeniosłem go na tapczan i zdjąłem mu buty...

...ten sen tak mnie wzburzył wewnętrznie, że zaraz z samego rana zatelefonowałem pod numer, który podano mi w biurze informacji. Telefon nie odpowiadał.

Poczułem wyrzuty sumienia. Borel nie wyglądał wczoraj na chorego, ale chyba nie należało zostawiać go

...drzwi były otwarte. Wszedłem do sieni, potem po schodach na górę. Nie było go tam, więc zszedłem do piwnicy. Drzwi zwierzętami były uchylone

niektóre były otwarte. Wzdłuż nich chodził jeden dorodny egzemplarz i wprawnymi ruchami przednich kończyn domykał zasuwki drzwiczek. Gdy stanąłem w uchylonych drzwiach – teraz wiem, że zrobiłem to niepotrzebnie, a w każdym razie za wcześnie – spojrzał na mnie, chwilę trwał w bezruchu, a potem wydał donośny pisk. Posypały się hurmem w moją stronę, część rzuciła się do zamkniętych klatek, by uwalniać towarzyszy. Odskakując do tyłu,

dostrzegłem w kącie zwierzętami stary but, jeden z tych, które wczoraj tam, na górze, zdjąłem z nóg Borela.

...teraz wiem, że zrobiłem głupstwo, kryjąc się tutaj. Wprawdzie ściany i blaszane drzwi zapewniają mi bezpieczeństwo, lecz nie ma stąd wyjścia -j- przynajmniej na razie. Okna też nie ma. Pod nogami mam gołą ziemię, w rogu stoi kilka skrzynek – chyba pustych. Z sufitu zwiesza się żarówka, brudna i opleciona pajęczyną. Gdy tu wszedłem, od razu zauważyłem ten kopczyk ziemi pod ścianą, przysypujący coś, co jednak sterczy tu i ówdzie, bielejąc w mroku. Po prostu nie mogę zmusić się, by podejść i sprawdzić, potwierdzić swój domysł

...myślałem nad tym, aż wreszcie, w jednej chwili zrozumiałem wszystko! One musiały już wiedzieć, na czym to polega. Musiały zrozumieć istotę metody Borela. Ten laborant, który zniknął

...lecz wciąż im tego za mało! Wiedzą, że oto otworzyły się przed ich gatunkiem wspaniałe perspektywy rozwoju! Będą zazdrośnie strzec tajemnicy, którą znam ja... no i ci, którzy może odnajdą i przeczytają ten notatnik. Dlatego należy być przygotowanym na wszystko. Byle stąd wyjść.

Wydostać się, działać, ostrzec

...znów ten szmer. Chyba jednak w rurach kanalizacyjnych. Coraz głośniejszy, jakby skrobienie... Z czego są te rury, czy przypadkiem nie z tworzywa sztucznego, bo jeśli tak, to... Muszę sprawdzić!

Redakcja przeprosza Czytelników za liczne luki w powyższym tekście, spowodowane uszkodzeniem rękopisu, prawdopodobnie przez szczury.

Andrzej Grajek, Wojciech Streich Maks

Cisza... To ona wypełnia większość tego, co zwykle nazywane bywa Wszechświatem. Potwornie, niewyobrażalnie wielkie skupiska Ciszy zalegają olbrzymie połacie czasoprzestrzeni i duszą się, kotłują, a raczej martwieją wokół ziarn krzyku. Całe chmary planet, gwiazd, nawet Galaktyk rodzą się i umierają w milczeniu. Każde stawanie się ich, każdy akt w nich zachodzący jest zarazem spontanicznością i na pewno Ciszą i nie jest to objaw lenistwa czy bierności ze strony tych bytów. Najmniejszy asteroid czy nawet zwykły, pojedynczy atom, gdy tylko uzyska należyłą prędkość, będzie niestrudzenie, z wytrwałością godną Syzyfa krążyć wokół swojej planety, a wraz z nią dookoła swojej gwiazdy, i to również jest wielkim, odwiecznym spokojem (z tej prostej przyczyny, że nie ma przecież nikogo, kto mógłby tego słuchać). A jednak, jakby chcąc walczyć z tym nienaruszalnym porządkiem, przecinał przestrzeń Galaktyki mikroskopijny w tym ogromie gwiazdolat.

Notos pojął, że powraca mu świadomość. A więc nareszcie koniec nieistnienia! Myśl, to nieuchwytnie tchnienie powracającego życia, rozjaśniała coraz bardziej jego nieczynną dotąd sieć neuronów. Swoją drogą to śmieszne, dlaczego nadano mu tam daleko dziwne i starożytne imię boga wiatru. Zresztą czyż to nie wszystko jedno, cztery tysiące lat w tę czy w tamtą stronę. Przecież on sam jest właśnie wiatrem, wiatrem, który przybył aż tutaj, w okolice y Draco, gnany z dalekiej Ziemi chęcią poznania Niewiadomego.

Pierwsze odczucie – rytm pulsującej krwi. Notos czuł wyraźnie jej błogosławione ciepło usuwające resztę pustki z jego umysłu.

Jednocześnie – w miarę zbliżania się do prawidłowej temperatury ciała – myśl z wybujałej i niespokojnej stawała się w nim coraz bardziej ścisła i rzeczowa.

W pewnej chwili poczuł jakiś niepokój i zdał sobie sprawę, że wcale nie spostrzega otaczającej go rzeczywistości. „Brak oświetlenia – pomyślał szybko, lecz zaraz inny fakt poraził mu umysł: – Przecież ja wcale nie oddycham...”

Jednak było to tylko złudzenie, oddychał, i to coraz głębiej. Automat zwiększył dawkę w odpowiedzi na zapotrzebowanie. Z wyraźnym zadowoleniem Notos wsłuchiwał się w lekki szum powietrza wpadającego do komory anabiotycznej.

– Maks! – zawołał z wyraźnym trudem. – Maks! Zgłoś się natychmiast!

Światło przyszło do niego równie nieoczekiwanie, jak zawsze drażniący go głos Maksa.

– Tu Maks 3BK, czekam na rozkazy!

Pomimo migotliwego obrazu Notos natychmiast rozpoznał na ekranie Centralną Kabinę Dowodzenia. Cała lewa strona kabiny promieniowała gamą barw i świateł. To był właśnie Maks, główny uniwersalny bioautomat astrolotu, koordynujący i dowodzący działaniem reszty automatów.

– Tu Maks, czekam na rozkazy!

– Meldunek dla dowódcy.

– Proces dehibernacji ciała białkowego w pojemniku A-2 zaszedł w 99,999%.

Temperatura 21,82°C. Tlen – norma. Dowódca proszony jest o zaprogramowanie dalszego lotu według własnego uznania, w celu odbycia zwiadów na najbliższych planetach. Odległość od y

Draco około 521 000 000 km.

– Wszystko w porządku, tylko najpierw wypuść mnie z tej lodówki. Mam ochotę pospacerować po kabinie.

– Nie kojarzę! – wyrzucił z siebie szybko Maks, po czym zamilkł.

– To rozkaz, Maks! Słyszysz! – zawołał niecierpliwie Notos.

– Reanimacja zakończona. Proszę przystąpić do sprawowania swoich obowiązków. Za chwilę nastąpi włączenie sieci receptorów astronauty w obwód Kalkulatora.

– Co ty bredzisz, Maks? Mnie włączyć w obwód Kalkulatora? Ja muszę natychmiast podejść do pulpitu... I dlaczego nie czuję rąk i nóg?!

– Po zastosowaniu kalkulacji 3470 CZ kończyny okazały się zbyt ciężkie.

– Jak to: zbyt ciężkie?! – Notos znieruchomiał ogarnięty trwogą.

Dziwne, że nie poczuł teraz częstego w takich wypadkach ścisku żołądka. Tylko wargi drżały mu lekko i nie mógł tego w żaden sposób opanować.

– Mów natychmiast, co ze mną zrobiłeś? – ryknął przerażony wszystkim, co usłyszał.

– Kończyny zostały usunięte, gdyż w pełni udowodniłem ich nieprzydatność w obecnych warunkach. Badania układu planetarnego y Draco odbywać się będą przecież wyłącznie przy pomocy automatów. Kończyny stanowiły tylko zbędne obciążenie dla układu odżywczego i niepotrzebnie zużywały sztuczną krew w dużych ilościach. To samo dotyczy większej części układu pokarmowego, wydalniczego i gruczołów. Syntetyczna krew jest teraz zewnętrznie o wiele lepiej oczyszczana i zaopatrywana w tlen, substancje odżywcze oraz...

– Dostyć! Dostyć! Jak mogłeś, nie miałeś prawa! – krzyczał Notos.

– Mylisz się, miałem prawo, gdyż działałem dla twojego dobra. Po 180 latach operacji myślowych byłem już zdolny ciebie udoskonalić, odciążać twój mózg od zbędnego, hamującego balastu i uczynić z ciebie wysoce sprawnego dowódcę gwiazdolotu.

– To niemożliwe, to jakiś upiorny sen... – Notos już tylko bezsilnie bełkotał.

Twarz, jedyne miejsce, gdzie mógł jeszcze coś czuć, paliła go niemilościeranie.

– Musiałem to zrobić, byś po powrocie nie wstydził się przed przyszłymi pokoleniami swej tępoty umysłowej. Tam, na Ziemi, gdzie czas odliczył już następne tysiąclecie, człowiek na pewno bardzo się zmienił. Ja zastąpiłem tylko ewolucję...

– Lustro! Natychmiast lustro, muszę to zobaczyć! Słyszysz, Maks! Rozkazuję!

Wielki ekran – tkwiący przez cały czas przed oczami Notosa – zaczął jaśnieć i błyszczeć coraz bardziej. Przeistaczał się powoli w olbrzymie, paraboliczne zwierciadło.

Gdy oczy astronauty wyłowiły wyłaniający się obraz, nastąpił szok. Głową – wystającą z przezroczystego, ściśle dopasowanego naczynia – wstrząsnął gwałtowny skurcz, od którego zadrgała płatanina przewodów wychodzących z szyi i ginących w głębi osłony kabiny. Gałki oczne wypełzły w jednej chwili z oczodołów i znieruchomiały w przedziwnym skrucie. Krótki charkot, jaki wydobył się z ust, zbiegł się z szelestem czujników, które natychmiast przyłgnęły swymi mackami do głowy.

I znów w tej części Kosmosu na wiele tysięcy lat zapanowała Cisza, dokładnie i całkowicie spowijająca wszystko dokoła, usypiająca każdy okruch materii swoim tchnieniem. Tylko Maks wysłał jeszcze w kierunku Ziemi swój ostatni, lakoniczny meldunek:

– Tu gwiazdolot QD-511... Główny eksperyment zakończono w roku 181 lotu. Po zastosowaniu korekty ewolucyjnej obiekt ludzki doznał przewartościowania pola mózgowego w kierunku dezintegracji, czyli używając języka potocznego: ZWA-RIO-WAŁ!!!

Karol Gołębiowski Grzechotka

Uta poznałem łatwo. Był najniższy w tej nielicznej grupce witającej statek z Ziemi. Myślałem, że będzie ich więcej. Widocznie reszta jest zajęta.

– Os ? – zapytał.

Patrzyłem z góry na jego łysą czaszkę, choć nie byłem wysoki. Uśmiech miał sympatyczny. Ja też się uśmiechnąłem.

– Tak, to ja. Poznałem cię, Er dużo o tobie opowiadał.

Er to jego siostrzeniec. Razem studiowaliśmy, na Ziemi.

Bardzo był dumny, że ma wuja-astronautę. Prosiłem, żeby zawiadomił Uta o moim przylocie na Ellę.

– Chodźmy, pokażę ci, gdzie zamieszkasz.

Osiedle składające się z jednakowych domków było niedaleko. Ich identyczność potwierdzały jaskrawe kolory. Było jakby smutne i dziwnie nie na miejscu, tutaj, tak daleko od Ziemi. Ziemskie rośliny, posadzone obok, także wyglądały nieszczęśliwie. Ciemne, prawie brunatne, mizerne badyle nie przypominały żadnych znanych z Ziemi gatunków.

– Marnie rosną – zauważyłem.

– Co? A tak, te są słabe.

Zatrzymał się.

– To tutaj.

Domek był pomarańczowy. Skrzywiłem się.

– Kolorek nie odpowiada? W środku jest przytulniej.

Weszliśmy. Rzeczywiście, było całkiem ładnie. Chciałem obejrzeć swoje nowe mieszkanie, ale Ut stał obok. Rzuciłem swój neseser na tapczan i popatrzyłem wyczekująco.

– Nie rozejrzysz się? – spytał.

– Po co? Wszędzie jest tak samo.

– Aha. To chodźmy, pokażę ci miejscowe osobliwości.

– A nie masz jakiejś pilnej pracy? Może przeszkadzam?

Jego gościnność była trochę kłopotliwa.

– Nie, nie przeszkadzasz. Życie tutaj jest... no, trochę jednostajne. Chętnie ci wszystko pokażę. To dla mnie urozmaicenie.

Tak wyglądało. Czy oni nic nie robią? Dlaczego więc tak mało ludzi nas witało?

Nieczęsto przecież zdarza się tu statek prosto z Ziemi.

– Prowadź – zgodziłem się.

Tego nie oczekiwałem. Szliśmy do lasu, normalnego, ziemskiego lasu. Tylko dlaczego piechotą? Weszliśmy w trawę, bardzo zieloną i pachnącą. Skąd tu trawa? Ut nic nie mówił, więc i ja się nie odzywałem. Nie wyglądało to na zwykłą trawę. Zaraz, dlaczego? Już wiem. Nie ma żadnych wyschniętych łodyg, żadnych wyrwanych źdźbeł, żadnych śmieci. Za ładne to, żeby było prawdziwe, za porządne.

Stanęliśmy na skraju lasu. Dąb! Ale też jakiś nienaturalny. Jak uczesany.

Spojrzałem na Uta.

– Co to jest?

– Patrz dalej. Później pogadamy.

Obok dobrze mi znanych drzew rosły jakieś dziwolągi. Podszedłem bliżej. Purpurowy krzew wyglądał, jakby był wyjęty z sennych majaków – karykaturalne odbicie ziemskich krzewów, odbicie w krzywym zwierciadle. Usłyszałem w górze szelest. Wiewiórka, taka jak na ziemi. Bardzo lubię wiewiórki.

– Basia, Basia!

Głos miała zdecydowanie nieprzyjemny, aż się wzdrygnąłem.

– Co to?

– Ogród Merlina. Podziwiał.

– Merlina? A kto to jest, ten Merlin?

– Jak by ci to wyjaśnić? Baśniowy czarnoksiężnik. Uprawiał czarną magię, omijał czy też łamał prawa fizyki.

– Przecież to niemożliwe.

– To, co tu widzisz, też jest niemożliwe.

– Tak, ale istnieje. Co to jest i skąd się wzięło? Bo chyba nie Merlin stworzył to wszystko na planecie odległej od Ziemi o trzydzieści lat świetlnych.

– Może on? To wyjaśnienie najprostsze i jedyne zresztą.

– Jak to?

– Ten dziwny las odkryła pierwsza ekspedycja. Trawa, drzewa, krzewy, kilka gatunków zwierząt. Część wygląda jak na Ziemi. I więcej nic, cała ogromna planeta jest pusta. Nawet gór nie ma.

– A woda?

– Są oceany, bardzo dziwne. Zajmują tylko kilka procent powierzchni Elli. Mają wszędzie tę samą głębokość – kilkanaście metrów.

– Nie wyparowały?

– Nie, w tutejszej atmosferze parowania prawie nie ma. Pewnie już zauważyłeś, że nie ma chmur. Deszczu też nie.

– Myślałem, że to chwilowe. Dlaczego tak się dzieje?

– Tego ci dokładnie nie potrafię wyjaśnić, zbyt to dla mnie skomplikowane. Najogólniej: powietrze Elli w czymś przypomina pary nasycone. Cała cyrkulacja wody odbywa się pod powierzchnią planety.

– Więc jednak się odbywa?

– Wszystko na to wskazuje, ale dowodów nie ma. El la to bardzo dziwna planeta.

– A skąd się tutaj wziął tlen? Też nie wiadomo?

– Na ten temat są tylko przypuszczenia. Kiedyś na Elli istniało życie organiczne. W wodzie pokrywającej wtedy całą niemal planetę żyły prymitywne rośliny.

– Glony?

– Glony. Ich zasługą jest obecność tlenu w atmosferze.

– Co się z nimi stało?

– Wyginęły jeszcze przed zniknięciem oceanów. Miliony lat temu.

– Dlaczego?

– Nie wiem.

Schyliłem się, aby urwać trawkę. Mocna! Owinąłem ją wokół palca i pociągnąłem. Ut zaśmiał się.

– Nie dasz rady, ta trawa ma wytrzymałość stali!

Zobaczmy. Owinąłem trawę kilkakrotnie na palcu i nabrałem powietrza w płuca... Nagle wszystko zawirowało. Puściłem trawę i wyprostowałem się. Co się stało? Słońce przeskoczyło na

drugą stronę widnokręgu. Wyraźnie zapadał wieczór.

– A to co takiego?

– Jedna z tutejszych specjalności, dziura czasowa. Dla nas obu czas bardzo znacznie zwolnił swój bieg, żyliśmy około dziesięciu tysięcy razy wolniej.

– Tak jak przy prędkości podświetlonej?

– Podobnie.

– Całkiem zabawne. Często to się zdarza?

– Bardzo często nie. Wystarczająco często, żeby się przyzwyczaić.

– Jak wy tu możecie żyć! A jeśli... Jakie są wyniki wierceń?

– Prawie żadne. Po osiągnięciu kilometra następują ruchy tektoniczne, coś jak trzęsienie ziemi, i niszczą instalacje.

– Zawsze ?

– Zawsze.

– To dziwne. A przedtem ?

– Normalnie. Nic ciekawego.

– Szkoda. Wiesz, co przypuszczałem ?

– Domyślam się. Podziemne ludziki, co?

– Coś takiego. To by tłumaczyło wszystko.

– Niezbyt nowy pomysł. Wszyscy przybysze go mają. Wynik antropocentryzmu.

Podziemne społeczeństwo, podziemne miasta – trochę to prymitywne. I niczego nie wyjaśnia.

– Jak to: niczego?

– Po prostu. Odpowiada tylko na pytanie: kto? Ważniejsze jest: po co? I tutaj nie wnosisz nic nowego.

– A ty? Masz chyba jakąś hipotezę? Jesteś już tu tyle lat.

– Trzydzieści dwa. Ale to tylko utrudnia ocenę. Zgadzam się z poglądem dość starym, ale nie wymyślono przez ostatnie trzydzieści lat nic lepszego.

– Ciekawy jestem.

– Hipoteza ta jest sprzeczna z poglądem, że życie, a rozum w szczególności muszą być pochodzenia organicznego, przy czym słowo „organiczny” ma tak szerokie znaczenie, że dla laików przekracza granice dotąd nie kwestionowane. Hipoteza odrzuca wszelkie ograniczenia. Rozum może być całkiem nieorganiczny, na przykład mineralny. Stąd tylko krok do poglądu, że cała planeta Ella jest gigantycznym mózgiem.

– To niesamowite.

– Prawda? Wyobraź sobie, że chodzisz po czyjejś głowie. Ale to pozwala wyjaśnić mechanizm zachodzących tu zjawisk.

– Mechanizm tak, ale nie przyczyny. Powtórzę twoje pytanie: po co?

– To też można wyjaśnić.

– Schizofrenia?

– To ty powiedziałeś. Trudno przyjąć taką wizję – schizofrenik tej wielkości. Mam inne tłumaczenie.

– Jakie?

– Poznasz jutro mojego przyjaciela. Mana. On ci wyjaśni, jest autorem tej teorii.

– Muszę czekać do jutra?

– Niestety. Nie mogę pozbawić przyjaciela takiej przyjemności. Zresztą nie ma potrzeby się spieszyć. Wbrew pozorom życie tutaj jest mało urozmaicone.

– Jak to?

– Zwyczajnie. Zjawiska, które już poznałeś i które jeszcze poznasz, szybko

powszedniej i traci się do nich stosunek emocjonalny. Są jak deszcz na ziemi: czasem dokuczliwy, ale najczęściej obojętny.

– A więc jeszcze czekają mnie jakieś niespodzianki? Powiedz!

– Jeżeli ci powiem, zniknie urok niespodzianki. Poza tym obowiązuje mnie tajemnica.

– Tajemnica? Dlaczego?

– Ludzie bardzo różnie reagują na informacje o tym, co ich czeka. Zdarzały się próby samobójstwa. Dalsze uświadamianie nie miało sensu, także wobec całkowitej przypadkowości zdarzeń. Przed czym ostrzegać, jeśli nie wiadomo, co się stanie? Informacje o wszystkich możliwościach wywoływały często szok, a zawsze stan napięcia, oczekiwania. Powodowały więcej szkody niż pożytku.

– Czy to, co mnie czeka, jest takie przerażające?

– Nie, spójrz na mnie. Żyję tu ponad trzydzieści lat i nie wyglądam źle.

– Wyglądasz bardzo młodo.

– Właśnie. Planeta Ella służy ludziom. Lekarze uważają, że można tu żyć dwa razy dłużej niż na Ziemi.

– To wspaniale.

– Pewnie, że wspaniale. Przy tej okoliczności wszelkie figle Elli są mniej irytujące.

– A ja? Co mnie czeka?

– Możesz spać spokojnie. Nic strasznego. Chyba że...

– Co?

– E, nie ma o czym mówić, to się tak często nie zdarza.

Nie chciał nic więcej powiedzieć. Nie dopytywałem się – rzeczywiście lepiej za dużo nie wiedzieć.

– Jedno chciałbym usłyszeć, dlaczego o tym wszystkim nie wiadomo na Ziemi?

– Wiadomo, wiadomo.

– Ja nic nie wiedziałem. I moi znajomi też nie, choć mieliśmy kontakty ze środowiskiem astronautów, na ogół dobrze zorientowanym w takich historiach.

– To, że Ziemia wie, wcale nie znaczy, iż wiedzą wszyscy.

– Blokowana informacja? To sprzeczne z Kartą Praw Człowieka.

– Po co zaraz wielkie słowa. Informacja nie jest blokowana. Nie działa żaden oficjalny zakaz poruszania tego tematu. Po prostu nie mówi się o tym, zwyczajowo, tak jak choćby o układzie trawiennym przy obiedzie.

– Ale w jakim celu?

– Nietrudno się domyślić. Planeta Ella nie mieści się w schemacie ogólnej euforii spowodowanej tym, że człowiek zdobywa Kosmos. Tutaj nie ma z kim konfrontować, kontaktować się. Ella jest symbolem klęski człowieka, symbolem klęski Myśli.

– Można się przecież wycofać.

– To byłoby jeszcze gorsze. Oznaczałoby przyznanie się do tej klęski i rezygnację.

Tego dnia nie obejrzałem nawet swojego mieszkania. Miałem dość wrażeń.

W nocy nękały mnie koszmary. Widziałem Ellę w całości jako ogromny, pobrużdżony mózg. Było w nim coś ohydneho, nieprzyzwoitego. Zacząłem się zapadać w głąb tego mózgu, w ciepłą, wilgotną i miękką otchłań. Mięksiz zalepał mi twarz: dusiłem się.

Po przebudzeniu nie otwierałem oczu – czułem się lekko i przyjemnie. „Nie jadłem wczoraj kolacji, to dlatego” – pomyślałem. No, trzeba wstawać! Poruszyłem się i otworzyłem oczy. Osłoniłem się ręką – różowa płaszczyzna wolno spływała w dół, na mnie. Ręką dotknąłem czegoś gładkiego. To sufit. Sprężyłem się w oczekiwaniu na jego napór. Nic takiego jednak nie nastąpiło – sufit odsunął się. Teraz dopiero się zdziwiłem, nie czułem pod sobą łóżka. Unosiłem

się w powietrzu. Co znowu? Na Elli było przecież solidne ciążenie – około ośmiu dziesiątych ziemskiego. Rozejrzałem się – wszystko bez zmian, widocznie jakieś resztki ciążenia zostały. Chociaż... zauważyłem wczoraj, że cięższe meble były przymocowane do podłogi, ale myślałem, że to taka moda.

Głupio tak wisieć pod sufitem. A jeśli ciążenie wróci? Lepiej być na łóżku. Zaraz, co to za napis? Przecież z podłogi go nie widać.

Przy braku grawitacji wodą i elektryczność wytaczamy.

Administracja

Więc to nic nowego – nieważkość. Polata sobie człowiek i przestanie.

Przywiązałem się do łóżka pizamą i usnąłem. Zacząłem się przyzwyczajać do tych, jak to określał Ut, figli. Kiedy się obudziłem, ciążenie było normalne. Nie odwiązałem się jednak i nie wstawałem – nie byłem pewny, czy to długo potrwa. Wreszcie się zdecydowałem: nie mogę tak leżeć cały dzień. Wtedy usłyszałem gong.

– Otwarte!

Wszedł Ut.

– Jeszcze śpisz? Nic w nocy nie zauważyłeś?

– Zauważyłem. Właśnie się teraz zastanawiałem, czy mogę wstać bez narażenia się na podniebne loty. Gdybym się uparł i mocno odbił, miałbym szansę zostać satelitą tej sympatycznej planety, co?

– Nie, ciążenie zanika tylko na powierzchni i kilka metrów nad nią. Nikt wyżej nie polecie. Nie jest to więc niebezpieczne, lecz tylko uciążliwe.

– Jak wszystko tutaj.

– Masz rację. Chyba zauważyłeś brak pojazdów? To dlatego.

– Zaraz, mówiłeś, że brak ciążenia ma bardzo ograniczony zasięg. Można przecież wszystko przenieść o kilka metrów wyżej i uwolnić się od kaprysów planety.

– Teoretycznie tak, ale w praktyce nic to nie daje. Strefa nieważkości podnosi się.

– Wysoko?

– Były próby do kilkudziesięciu metrów. Bez efektu.

– Złośliwość.

– Nie zdarza się często. Masz szczęście – drugi dzień i już tyle poznałeś.

– Szczęście?

– No, tak. Nie pamiętam, żeby w ciągu dwóch dni tyle się zdarzyło, choć żyję tu trzydzieści lat.

– Oddałbym to swoje szczęście za jedno wyjaśnienie: co tu się właściwie dzieje.

– Każdy by oddał. Chodźmy już. Poznasz Mana.

Man był młody, chyba młodszy niż ja, i bardzo chudy.

Nie wiem, co mnie bardziej peszyło – jego wiek czy wygląd. A może wzrok, jakim w milczeniu odprowadzał każdy mój kęs? Straciłem apetyt i niecierpliwie czekałem, aż Ut skończy jeść. Wreszcie powiedział, żebyśmy stąd poszli. Wszedłem pierwszy i zaraz przynagliłem Mana:

– No, mów.

– Nie tutaj – skrzywił się.

Naga równina rzeczywiście wyglądała nieprzyjemnie.

– Chodźmy do mnie – zaproponował Ut.

Jego domek był zielony – przypominał barwę martwy las. Brr! W środku panował niesamowity bałagan.

- Robiłem doświadczenia – usprawiedliwił się. – Przy braku ciężenia...
- W porządku – mruknął Man.
- Robiłeś doświadczenia? I co?
- Nic. Wszystko się zgadza. Jak w Raporcie Umrą.
- Raport Umrą? Nie znam.
- Ciężenie nie znika całkowicie. Zostaje, choć bardzo małe.
- To dziwne. Ja czułem się zupełnie nieważki.
- Złudzenie. Ważyłeś kilka miligramów. Dam ci ten raport, poczytasz sobie. Nawet ciekawy. Jesteś przecież fizykiem.
- Tak, ale studia kończyłem na Ziemi.
- To nie przeszkadza. Skonfrontujesz teorię z praktyką.
- Man, ty podobno potrafisz wyjaśnić wszystko.
- Ut mnie przereklamował. Moja koncepcja jest tak samo dobra, jak dziesiątki innych.
- Jest lepsza.
- To tylko twoje zdanie.
- Chciałbym ją poznać – przerwałem im.
- Poznasz. Jesteś tu dopiero od wczoraj.
- Co z tego?
- Cd razu chciałbyś wszystko wyjaśnić.
- To źle?
- Chyba dobrze, ale inni tracili dziesiątki lat na to, co ty chcesz rozwikłać w kilkanaście godzin. Nie licz na gotowe rozwiązanie. Hipotezy mogą być dowolne. Nie można ich obalić ani udowodnić.
- Twoja też jest taka nie do obalenia?
- Też. Słyszałeś chyba od Uta o planecie-mózgu?
- Słyszałem. W tym jest luka: brak motywów działania.
- Brak motywów tylko z naszego punktu widzenia. Działanie, którego nie rozumiemy, nie musi być wcale nierozumne.
- Istnieją jednak uniwersalne kryteria rozumnego działania, wspólne dla wszelkich inteligencji.
- Też tak uważam. Na tej zasadzie zbudowałem swoją teorię. Zgadzam się z koncepcją pian ety-mózgu u, tylko ją uzupełniłem o rzecz bardzo istotną – o stadium rozwoju. Według mnie jest to stadium bardzo wczesne, tak jak u ludzi niemowlęctwa.
- Nie mogę się z tym zgodzić! Jeśli przyjąć, że zniknięcie oceanów jest wynikiem jego ingerencji, a samo się to narzuca, ten „osesek” liczy sobie miliony lat!
- Czas jest wielkością bardzo elastyczną, o czym miałeś okazję się przekonać.
- Nie, wolę raczej hipotezę o schizofreniku!
- Dlaczego? Nie lubisz dzieci?
- Według ciebie jesteśmy więc po prostu zabawkami, takimi, powiedzmy, grzechotkami, którymi bawi się ten „malec” o masie miliardów gigaton!
- Nie całkiem. Według mnie, jego jedyną reakcją na obecność ludzi jest las – efekt przechwycenia myśli któregoś z uczestników pierwszej wyprawy, a może myśli całej załogi. Ten las jest jak gdyby „łaciaty” – myśli o ziemskim lesie były przemieszane z wyobrazeniami o roślinach i zwierzętach nie istniejących, niezemskich, możliwych do spotkania na innych planetach, choćby na tej. Wszystkie inne rzeczy – to uboczne skutki jego życia, czynności fizjologicznych. Nie zauważa ludzi. Zupełnie zrozumiałe: jest bardzo młody.
- Wobec tego nie mamy tu czego szukać.

– Oczywiście, i to niezależnie od poglądu na naturę zjawisk uniemożliwiających na tej planecie jakiegokolwiek badania, a nawet normalne życie. Toteż dziś rada planety ma postanowić, co dalej robić. Decyzja może być jedna. Obserwacje prowadzone z Kosmosu dadzą na pewno więcej materiału niż bezpośrednia penetracja planety.

Man miał rację. Jeszcze tego dnia ogłoszono:

– Opuszczamy planetę Ella. Zjawiska przyrodnicze uniemożliwiają dalszy pobyt tutaj. Ponieważ w najbliższej przyszłości będzie przelatywał niedaleko Elli krążownik „Kwazar”, pusty po wysadzeniu grupy osadników na Golkondzie, możliwe będzie zabranie się wszystkich razem. Szczegółowe instrukcje demontażu instalacji i urządzeń otrzymają zainteresowani jutro.

To, co się potem zaczęło dziać, bardzo przypominało ucieczkę. Tylko częściowo pośpiech spowodowany był bliskim terminem przylotu i małą tolerancją czasową „Kwazara”, a co z tym się wiąże, krótkim czasem postoju. Do rozmontowania i przewiezienia były setki ton urządzeń. Ludzie pracowali gorliwie, zjednoczeni wspólnym celem – nareszcie mieli stąd odlecieć! Jedynym niezadowolonym z tego był Ut.

– Mało jest planet, po których można chodzić bez skafandra. Szkoda Elli.

Ja też trochę żałowałem, że stąd odlatuję. Tak krótko tu byłem. Od czasu rozmowy z Manem czułem się jakby odpowiedzialny za dalsze losy Elli. Byliśmy podli – zostawiać bezbronne dziecko na łup wrogów. Bezskutecznie przekonywałem sam siebie o bezsensowności takiego myślenia. Kontrargumenty, że to wcale nie musi być dziecko, że nie jest takie bezbronne, że nie ma i nie będzie żadnych wrogów, wreszcie, że śmieszny jestem z tym instynktem kwoki wobec tworu, którego masa była w ogóle nieporównywalna z moją – wszystkie te argumenty nie odnosiły skutku. Czułem się winny.

„Kwazar” przyleciał. Nie lądował na Elli, ale wysłał taką masę raket transportowych, że załadunek trwał tylko jeden dzień. Musieliśmy jeszcze poczekać na pokładzie statku, aż inżynierowie z „Kwazara” skończą instalować stację orbitalną. Nie trwało to długo – takie stacje montuje się z segmentów zupełnie gotowych do pracy i dalej funkcjonujących automatycznie. Miało zostać na niej trzech ludzi. Dobrze jednak, że mnie to ominęło.

– Za dwie godziny start – obwieściły wreszcie głośniki.

I właśnie wtedy wpadł do mnie Ut.

– Chcesz zobaczyć Ellę? – wysapał.

– Gdzie?

– Chodź ze mną.

Ruszyliśmy biegiem. Nie wiem, skąd się wziął ten pośpiech. W windzie dyszeliliśmy w milczeniu, starając się nie patrzeć na siebie, co wcale nie było łatwe. Po przebyciu dwóch poziomów winda stanęła. Ut ruszył pierwszy, już wolniej. Wszedł do jakiejś sali, poznałem – to Główna Relaksowa. Tylko jeden ekran świecił. Podeszliśmy bliżej.

Ella była błękitna, jak Ziemia. Ut podszedł blisko, wydawało się, że chce wejść w ekran.

– Biedny mały – powiedział szeptem.

A może mi się zdawało?

Maciej Parowski Poczucie pełni

Żyję tu, na dwudziestym siódmym piętrze sardynkowca CXW, od ośmiu lat. Klatka 732, sektor D. Dzięki sportowym aparatom gimnastycznym nie tyję, dochodząca pomoc konwersacyjna załatwia moje potrzeby towarzyskie trzy razy na tydzień. To cię kawa dziewczyna, we wtorki i czwartki robi się na blondynkę, w niedzielę jest zawsze brunetką. Paznokcie u nóg maluje raz na miesiąc, usta – dwa razy. Czasem dla urozmaicenia tasuję te możliwości.

Na dole byłem ostatni raz rok temu w związku z ćwiczeniami obronnymi. Stwierdzam z przyjemnością, że schrony są nie mniej doskonale wyposażone niż góra, a moje pomieszczenie podziemne wygląda identycznie jak mieszkanie z dwudziestego siódmego piętra. Klimatyzacja jest również fantastyczna, iluzja pełna i absolutna. Zatroszczono się, aby za oknem, oczywiście iluzorycznym, znajdował się także iluzoryczny, ale niesłychanie przekonujący obraz sardynkowców sąsiednich CXU i CXZ; wyglądają one zupełnie tak samo jak z okien na górze. Prawdziwego nieba nie widać ani na górze, ani na dole, ale mam je wewnątrz – i tu, i tam – na monitorach. Do wyboru, do koloru: obłoczki, cumulusy, mgiełki, burze gradowe... Uważam, że naturalny nieboskłon mocno przereklamowano. Widziałem go kiedyś w oryginale, trudno o coś banalniejszego; poza tym irytuje mnie ta jego nienaturalna opieszałość w zmienianiu kształtów zabarwienia i nastroju.

Pracuję dwie godziny dziennie, formułuję swoje wnioski, propozycje programowe i ewentualne zastrzeżenia jako telewidz. Gromadzę i przekazuję Centrali dane dotyczące moich marzeń, snów i spostrzeżeń. Nigdy nie udaje mi się zapełnić rubryki spostrzeżeń do końca, to moje najważniejsze spostrzeżenie. Z powodu naddobrobytu – prac innych nie wykonuję. Jestem, podobnie jak wszyscy, na okolicznościowym urlopie dziesięcioletnim, tak zwanej „Dekadzie Szczęścia”.

Właśnie wstaję od przetwornika danych. Koniec pracy. We wnioskach postuluje przedłużenie serialu przygód pięknej kaskaderki Sixi i skasowanie programów historycznych, to nudy. Mój ostatni sen, którego streszczenie przesyłam do Centrali, wygląda następująco: burza gradowa, z nieba – przedstawionego na dużym monitorze – spadają na ziemię małe monitorki, ale na ich ekranach zamiast chmur burzowych albo zbliżeń kulek gradu spokojne słoneczne niebo. „Co to – mówię – jakiś defekt, trzeba wymienić kineskopy” – i budzę się. Spostrzeżeń, jak zwykle, żadnych.

Teraz, po złożeniu raportu, jestem lekko znużony i czuję się melancholijnie. Tak bym chciał się roześmiać, tak chciałbym... Sygnał z Centrali nie zaskakuje mnie wcale.

– Numer 73205, wasza kolej – mówi głos, który pokochałem już dawno za jego łagodność i barwę. – Pozycja 56. Przypominam: czterokrotne „cha”, prawa ręka na czole, lewa na brzuchu. Usta półotwarte. Wesolej zabawy!

– Cha, cha, cha, cha – o jak mi dobrze.

– Numer 73205, powtórzcie!

– Cha, cha, cha, cha – jak dobrze, jestem szczęśliwy.

Wspaniale, melancholia mija. Ci w Centrali wiedzą, czego człowiekowi potrzeba. Dziś jest poniedziałek, a jutro... jutro przychodzi pomoc. Czuję się wspaniale a jednak, a jednak...

Powiem jutro dziewczynie, żeby paznokcie malowała zawsze, i ostatecznie ustalę, by raz w miesiącu zamieniała się z koleżanką, która odwiedza faceta naprzeciwko. Podobno to nadużycie, ale dziewczyna choć z trudem, prawie się zgodziła. Na kursie mówili im, że to początek buntu, i stąd jej opory. Bzdura!

Rozmawiałem także z tym facetem. On również uważa, że dopiero bujne i urozmaicone życie daje poczucie pełni. Widziałem oczywiście jego dziewczynę. Też niezła sztuka, raz w tygodniu robi się na rudą.

Wiktor Żwikiewicz Wołanie na Mlecznej Drodze

Ozedł w cieniu murów, z przewieszonym przez ramię blasterem. Szedł miarowym, dobrze wyćwiczonym krokiem, nie oglądając się za siebie ani też zbytnio nie wybiegając spojrzeniem do przodu. I próżno zwierciadła ścian zapalały w czarnej glazurze refleksy szkarłatnego nieba, usiłując ożywić źrenice jego oczu, wygładzić rysy twarzy, której czas przypisał maskę o wyrazie doskonałego znużenia.

– Zatrzymaj się, Rudier.

Poddany inercji ruchu szedł jeszcze chwilę, na kamiennych płytach coraz wolniej wybijając rytm kroków podkutymi obcasami, wreszcie zatrzymał się i spojrzał za siebie. Pusto. W bezwietrznym spokoju powietrza kanion ulicy zwęzał perspektywę narosłymi wysoko skarpami demów bez okien, bez drzwi.

– To nie złudzenie, Rudier. Słyszysz nas.

Stał nieruchomo z palcem na spuście blastera i kolbą mocno przywartą do biodra.

– Wiedziałem, że jesteście – powiedział.

Milczenie – jakby ktoś niewidzialny rozważał sens jego słów.

– Wiedziałeś, że jesteśmy?

– Od dawna.

Postąpił krok do przodu, bacznie wpatrując się w czerwony półmrok. Szeregi ścian załamywały się wyznaczając krawędziami bloki domów w szklistych płaszczyznach mnożąc zdeformowane odbicia jego twarzy. Wykonał gwałtowny skręt tułowia, jednym rzutem oka usiłując ogarnąć przestrzeń za sobą. Nic. Pusto. Znowu żadnego szmeru, najłżejszego powiewu, który zdradziłby czyjąś obecność.

– Przecież przyszedłem tutaj tylko po to, żeby odszukać tych, którzy zostali. Wierzyłem, że znajdę.

– Kogo?

– Was.

Spod przymrużonych powiek obserwował nawisłe nad głową krawędzie ścian – odcinały się na tle nieba nieskazitelnie czystą linią rysunku, bez jednej skazy w monolicie murów.

– Mylisz się, Rudier. Nie jesteśmy tymi, których szukasz.

Zdziwiony spojrzał w głąb ulicy. Chwilę wahał się, potem wyciągnął rękę wskazując pięcioma palcami promieniste rozwidlenie zaułków.

– Szukam tych, którzy zbudowali to miasto – powiedział.

– Nie było nas wtedy.

– Kim więc jesteście, czemu ukrywacie się przede mną?

– Trochę cierpliwości, Rudier. Niedługo nas zobaczysz.

– Cierpliwość... jakie to proste po tylu latach oczekiwania...

Urwał. Poczul, że wilgotnieje mu dłoń zaciśnięta na kolbie blastera. Gdzieś w głębi piersi wzbierał nagły lęk przed tym kimś niewidzialnym, a zarazem obawa, aby nie pierzchno złudzenie głosu i by znów nie został sam w półmroku wymarłego miasta.

– Skąd... – powiedział marszcząc brwi – skąd znacie moje imię?

– Wiemy o tobie wszystko.

– Kim wy jesteście?!

Cofnął się, znajdując plecami chłodne wsparcie muru.

– Jestem Nezer.

– Orst.

– Paldan.

– Jest was trzech?

Gdzieś, nie wiadomo gdzie, chwila wahania.

– W pewnym sensie.

– Dlaczego nie mogę was widzieć?

– Dzielą nas dwie godziny lotu.

Zachwiał się, jakby trafiony pięścią w brzuch, prosto w słoneczny splot.

– Wy... jesteście w przestrzeni?

Odepchnął się od ściany i wyszedł na środek ulicy z zadartą do góry głową i szeroko rozpostartymi rękami.

– Tutaj... słyszycie?! Jes-tem tu-u!

Ulice podchwyciły rozdzierający ciszę krzyk, wplątały go w labirynt kamiennych arkad i gasnącym echem wyniosły wysoko pod prześwit nieba szkarłatną blizną rozdzielającego ciągi ścian.

– Jestem tutaj! Słyszycie? Zabierzcie mnie stąd!

Odbezpieczył spust blastera i drżącymi rękoma wprowadził celownik w szczelinę między murami. Seria świetlnych impulsów rozwinęła w zenicie pęczek fioletu prześwietlonego od środka ogniskiem trupiej bieli. Blask przewiercał mu powieki, gorącym podmuchem lgnął do twarzy i rąk, lecz on nie ustawał szeregując błyski w sygnał dawno zapomnianego kodu. W kaskadzie iskier sypane na ziemię płonące bryzgi, igłą promienia wyłuskane z krawędzi muru. Szarpnął się oślepiiony, z kręgami czerwieni kołującymi w oczach. Spróbował wydostać się spomiędzy ścian, które promieniowały gorącem, lecz nogi w czymś uwięzły i daremnie ponaglał mięśnie – stopy jakby przyrosły do ziemi oplatanie niewidzialną siecią. Zatrzymał się bezradnie i, stłumiwszy oddech, czekał, aż ustąpi purpura krwi pulsującej pod powiekami. Wreszcie niepewnie, z lękiem spojrzął przed siebie.

Zniknęła czerń kamienia. Zamiast niej gąszcz bladioróżowych pnączy oplótł mury, wrósł w chodniki rozplenionym błyskawicznie kobiercem. Niesamowita ekspansja z martwego kamienia kielkujących roślin zdawała się ogarniać całą przestrzeń, lecz wystarczył jeden rzut oka wstecz i Rudier zrozumiał, że to wyzwolenie utajonego potencjału życia jakaś siła ogranicza do znikomej w skali miasta powierzchni, poza którą nadal trwa niewzruszenie mroczny, niby w bryle kamiennego węgla wykuty kanion ulicy.

Opuścił rozgrzaną lufę blastera. Stał w centrum kręgu zakreślonego przez żar wypromieniowany z jego własnej broni, stał wielki i niezgrabny w obwisłym na wychudzonym ciele skafandrze, obszarpany i śmiertelnie znużony.

Powoli, z niechęcią począł rozgarniać sięgające już piersi łodygi. Były miękkie i ciepławe w dotyku, ustępowały pod naciskiem ręki, większy opór stawiając dopiero tuż nad ziemią, gdzie nogi jego uwięzły w gęstwinie opadłych pnączy. Na ścianie przeoranej promieniem blastera krzępły, nie sięgnąwszy ziemi, ciężkie, pomimo żaru szerniały już krople. Upodobniały kamienny blok do zgasłej gromnicy, która zdążyła wysączyć łzę przykopconego wosku, nim ostygła – podmuchem zbłąkanego wiatru pozbawiona płomienia. I tylko u samego spodu tężejących sopli czerń matowieła, blakła coraz bardziej, aby w miejscu największego zeszklenia wyzwolić na zewnątrz ogromny pąsowy kwiat.

– Słuchasz nas, Rudier?

Drgnął mimowolnie, choć oczekiwał tego głosu.

– Tak – powiedział pokonując skurcz gardła. – Jesteście z Ziemi?

– Z Układu.

– Nie rozumiem, jesteście ludźmi?

– Od czasu gdy opuściłeś Ziemię, minęło wiele lat.

– Prawda, najpierw anabioza. – Potrząsnął głową. – Potem przez tyle lat wlokłem się z miasta do miasta w nadziei spotkania kogoś, kto pomoże mi wrócić. Powiedzcie, jaka ona dziś jest... Ziemia?

– Nie wiemy, Rudier.

Cofnął się poza bladoróżowy krąg, który osiadał w oczach, wędnąc równie szybko, jak szybko niedawno wyrósł z kamienia.

– Co to znaczy? – zapytał. – Skąd wy jesteście?

– Układ to setki zamieszkałych planet, pośród których Ziemia jest jedną z wielu. My nie byliśmy tam nigdy.

– Absurd. Przecież jesteście ludźmi! Przecież się nie mylę?

– Nie. Lecz różnimy się trochę.

– Jacy jesteście?

Milczeli.

– Rozumiem, czas wszystko zmienia... – podjął na nowo, byle zagłuszyć kiełkujący w piersi niepokój. – Ja sam nie jestem tak twardy jak kiedyś... Rozkleiłem się na tej planecie i wszystkie moje marzenia – to raz jeszcze zobaczyć step i prawdziwy las, usiąść nad brzegiem rzeki... Jeśli cokolwiek zostało z tego. Tak, każdy człowiek starzeje się i szuka odpoczynku, każdego przecież czeka zwykłe zmęczenie życiem.

– Nas nie. Pozostajemy zawsze sprawni, do końca.

– I na tym polega różnica między nami?

– Dla ciebie środowiskiem warunkującym prawidłową egzystencję była biosfera Ziemi oraz wyizolowane jej pochodne, od przestrzennych stacji począwszy, na hermetycznym skafandrze kończąc. Dla nas zakres ograniczeń dawno przekroczył te bariery. Jesteśmy mieszkańcami morskich głębin i metanowych oceanów, zaludniamy światy nigdy przedtem nie tknięte nogą człowieka. Jesteśmy wszędzie, nawet w kosmicznej przestrzeni.

– jak... jak wy wyglądacie? – zapytał wbrew własnej woli, gdyż nie chciał, za nic w świecie nie chciał tego wiedzieć.

– Niepotrzebnie się lękasz. Zewnętrznie niewiele różnimy się od ciebie. To tylko poddany rekonstrukcji organizm ma diametralnie różną strukturę biomolekularną i mechano-cybernetyczną...

– Jak mogliście to zrobić?!

– Kierują tobą kryteria etyki twoich czasów, Rudier. Zapominasz, że nauka i technika w rękach istot rozumnych to tylko narzędzie ewolucji. Świat roślin i zwierząt ma do dyspozycji miliardy lat oddanych na loterię ślepej gry przypadku, lecz z chwilą pojawienia się rozumu ewolucja musi zmieniać taktykę. Już nie wystarczy po prostu czas pozwalający bez pośpiechu szukać nowych rozwiązań. Istoty rozumne są niecierpliwe, same zmieniają swe środowisko. Ale wiedza i zdolność świadomego działania jest płodem rozumu, którego środowiskiem jest zarówno biosfera całej planety, jak i organizm istoty żywej będącej jego bezpośrednim nośnikiem. Czyż może więc przekształcać jedno, a wzdragać się przed ingerencją w drugie?

– Nie, nie przekonacie mnie – powiedział zaciskając zęby.

– Twierdzisz tak, choć zdajesz sobie doskonale sprawę, że podobne zależności można ekstrapolować w nieskończoność. Przecież nawet mózg, jako naczelny motor świadomości, w

pewnym momencie nie może więcej akumulować zasobu informacji warunkujących dalszy rozwój osobowościowy i społeczny oraz zwiększyć wydolności myślowych operacji. Aby na tym etapie nie nastąpiła stagnacja postępu, trzeba szukać nowych rozwiązań.

– I wy znaleźliście?

– W naszym świecie problem ten rozstrzygnięto przez zwrotne sprzężenie psychiki poszczególnych jednostek gatunku w układ nadrzędny, umożliwiający momentalne dysponowanie zasobem informacyjnym całej cywilizacji i dający szansę rozwiązywania takich zagadnień, którym podoła tylko sumaryczna zdolność logicznego rozumowania, wyobraźnia czy też wypadkowa tego, co przywykliśmy nazywać intuicją.

– Chwileczkę... – przerwał Rudier.

Usiłował coś sobie przypomnieć. Kilka kroków od niego topniał wchłaniany przez jezdnię brunatny krąg w miejscu niedawnej eksplozji wzrostu różowych pnączy. Kamień pozornie martwy, a przecież zakwitający pod termicznym udarem, wyglądał swoją powierzchnią, nie zostawiał na swej płaszczyźnie nawet resztki liści.

– Więc dlatego, gdy zapytałem, czy was jest trzech – rzekł wreszcie – odpowiedzieliście: „W pewnym sensie”?

– Tak. Oczywiście mógł z tobą nawiązać kontakt jeden z nas, lecz wygodniej chyba, gdy dokona tego Układ określony tutaj, w przestrzeni, przez funkcję psychiki każdego z naszej trójki.

– Czyli ja cały czas rozmawiam nie z kimś konkretnym z was, lecz z Układem?

– Oczywiście.

Rudier stał przygarbiony nad doskonale już gładką płytą chodnika, nawet pęk czerwonej orchidei zniknął bez śladu.

– Mas? jeszcze jakieś pytanie? – usłyszał.

Zrazu chciał zaprzeczyć, lecz tylko wyżej podniósł głowę.

– Może ostatnie – powiedział powoli. – Kim wy jesteście?

– Nie rozumiemy cię, Rudier.

– Przecież nie będąc ludźmi, musicie kimś być?

– Jesteśmy ludźmi, Rudier.

– Dziwne... Kim zatem ja jestem? Prócz zewnętrznego wyglądu, jak twierdzicie, nie mamy ze sobą nic wspólnego. Jeśli więc wy jesteście ludźmi, to ja nie mogę być człowiekiem... I odwrotnie.

Okręcił się na pięcie i szybkim krokiem poszedł przed siebie, nie bacząc na dźwięczące w nim dopiero co usłyszane słowa, nawet nie starając się ich zagłuszyć. Wystarczyło zresztą, żeby nie myślał o nich, a rozpadły się w ledwie słyszalny szelest, jakby wiatr przegarniał po piasku liście tak suche, że prawie nieważkie. Wiatr, którego nie znał ten świat i cienie zetłałych liści.

Szedł środkiem pustej ulicy, korytem jezdni między blokami budowli rozwierających coraz to nowe przesmyki, lecz on nie zawahał się ani na moment w swojej wędrówce do krańca tego miasta. Wreszcie spomiędzy skarłałych nagle gmachów wyłoniła się niebotyczna ściana lustrzanej czemi. Mur otaczał miasto zakolem karbowanego grzbietu, niczym średniowieczną warownię, gdzie brzask nieba z trudem prześlizguje się między szczybami blanków. Budowle miasta stały w pewnym oddaleniu od ściany i szklista płyta, z której wyrosły, podnosiła wklęsły menisk, przechodząc bezpośrednio w pionową stromiznę bez bram i naturalnych szczelin. W jednym tylko miejscu mury jakby osunęły się pod własnym ciężarem, nie runęły jednak zwałiskiem luźnych głazów, lecz dziwnie rozmiękły podcięte wewnętrznym bezwładem zachwianej struktury kamienia i otworzyły dostęp do martwego miasta, od zarania dziejów wzniesionego bez bram.

Rudier ruszył do tego wyjścia, wzbijając butami obłoki pyłu. Ziemię pokrywała warstwa

najdelikatniejszej sadzy, czarnymi jezorami sięgająca pobliskich domów. Odruchowo obejrzał się przez ramię, jednym spojrzeniem ogarnął miasto. – I na ciebie przychodzi kolej – szepnęła i brnęła dalej w osypisku murów.

Kiedy stanął po przeciwnej stronie, starannie ostukał buty w kępie suchej trawy. Niebo stapiało swój szkarłat z liliowym buszem, wszecz i wzdłuż porastającym płaską równinę. Tylko daleko na horyzoncie ciemnawe pasmo zdradzało położenie jeszcze jednego miasta, poza tym jednolita równina nakrywała monolit kamienia liliowym pokrowcem porostów jak kozuchem pleśni rozdartym od spodu przez wierzchołki samotnych miast-wysp.

– Dokąd chcesz iść, Rudier? – usłyszał.

Stanął wyprostowany, niewidzącymi oczyma wpatrzony w nagle wyrosłą przeszkodę: dokąd? Milczał.

– Przecież słyszysz nas i rozumiesz. Czy tego nie starczy, aby pojąć, że znów nie tak wiele nas dzieli? Gdziekolwiek jesteśmy, jacykolwiek jesteśmy, wszyscy jesteśmy ludźmi, dopóki się rozumiemy.

– Czego chcecie ode mnie?

– Informacji. Przeżyłeś tu długie lata, musiałeś wiele poznać i wiele zrozumieć.

– Cóż dacie mi w zamian?

– Będziesz mógł wrócić, dokąd zechcesz.

– Tak sądzicie? Tego miejsca już nie ma.

– Sam zdecydujesz. Nas interesuje ta planeta, nie zjawiliśmy się tu przypadkowo.

– Co chcecie znaleźć? Ruiny miast? Czyżbyście nie znali reguły Kosmosu, według której obok planet martwych od początku świata – najczęściej spotyka się właśnie ruiny?

– Jednak to nie są ruiny.

– Naprawdę? Może nie ja, tylko wy spędziliście tu kilka lat?

– Posłuchaj, Rudier. Niedawno sam szukałeś ich mieszkańców, nie byłeś pewien ostatecznego wyludnienia miasta.

– Szkoda, że nie spotkaliście się wcześniej, może udzielilibyście mi zbawiennej rady, co można robić po katastrofie statku, jeśli nie szukać pomocy u potencjalnych mieszkańców planety. Tym bardziej że cywilizacja istniała tutaj naprawdę.

– Dlaczego mówisz w czasie przeszłym? Mamy dowody działalności tych istot w celu nawiązania kontaktu z innymi cywilizacjami wszechświata. Bieżącej działalności.

– Skąd to przekonanie?

– To proste. Istnieje pewien nośnik energetycznego potencjału czy też kwantowy przejaw biogenezy. Nie potrafimy sprecyzować zależności, co jest czego przyczyną: czy życie jest wynikiem owego „kwantu życia”, czy na odwrót. Ogólnie przyjęliśmy, że podobnie jak charakterystyczne procesy wzrostu, rozmnażania lub dostosowywania się do warunków środowiskowych są przejawem życia w ujęciu makroskopowym, tak występowanie „kwantu życia” towarzyszy na poziomie submolekularnym tym specyficznym reakcjom fizykochemicznym, które uważa się za symptomy życia w ogóle. Dysponując odpowiednią aparaturą rejestracyjną wyodrębniliśmy w kosmicznym szumie pasmo promieniowania będącego pochodną procesów organizacji materii na tym właśnie poziomie.

– Domyślam się, że rozporządzając tego rodzaju aparaturą, jeszcze w przestrzeni stwierdziliście występowanie życia na tej planecie?

– Więcej, odkryliśmy działalność istot rozumnych.

– W jaki sposób?

– Promieniowanie tego globu jest świadomie modulowane.

– Niemożliwe!

– Raczej nieprawdopodobne. Co nie zmienia faktu, że cywilizacja tej planety stworzyła jedyną w swoim rodzaju stację sygnalizacyjną, wprzęgając w mechanizm modulujący promieniowanie biosferę całego globu, żywą materię wszystkich mikroorganizmów, roślin i zwierząt. Nie istnieje bardziej uniwersalny sposób przesłania informacji o swoim istnieniu niż włączenie systemu znaków poddających się matematycznej analizie w puls promieniowania, które już samo w sobie jest emisją życia.

– Więc oni – Rudier spojrział w stronę miasta – od wielu, może od tysięcy lat usiłują nawiązać łączność z istotami rozumnymi z innych światów? Dlaczego więc ja przez osiem lat nie mogłem dobić się kontaktu, bodaj śladu zainteresowania z ich strony?

– Nawet nie widziałeś ich nigdy? Nie wiesz, gdzie mogą być?

– W tym rzecz, że nie mogę ich znaleźć, wbrew podświadomemu przekonaniu, iż nie mogli odejść stąd, ot tak sobie, zostawiając wszystko. Wiem na pewno, że jeszcze jakieś sto, dwieście lat temu ulice tych miast tętniły życiem. Oni byli tu i nagle gdzieś zniknęli, ale nie w przestrzeni. Oni nigdy nie wyszli poza atmosferę planety. Kierunek rozwoju ich cywilizacji jest wręcz obcy człowiekowi, nie zdołałem zrozumieć symboliki ich nauki i kultury, gdybym choć potrafił przeniknąć we wnętrza budowli ich miast...

– Dlaczego nie mają wejść?

– Nie wiem. Może, kiedy oni zniknęli, wszystkie otwory zabliznił ten przeklęty żywy kamień?

– Dziwny świat.

– Zobaczycie jeszcze, jak bardzo dziwny – powiedział Rudier. – Nie ma tu wiatrów, gdyż nie ma nocy, pór dnia, wahań temperatury. Przecież planeta krąży wokół czerwonego karła nie dającego światła ni ciepła. Szkarłatna luminescencja sączy się nieprzerwanie z niskiego pułapu obłoków, które przesłaniają niebo szczelną powłoką, a ciepło wydziela tu sama ziemia. Lecz z chmur nie pada deszcz, nigdzie nie płyną rzeki. Rośliny wyrastają tu z nagiego kamienia, jak gdyby były jego częścią, a zwierzęcą padlinę czarna skała wchłania prędej, nim tlen powietrza dokona jej rozkładu. Gdybym mógł zajrzeć w głąb ziemi, przeniknąć ściany... Po co zbudowali miasta bez bram...

– Spróbujemy razem, Rudier.

– Może wam się poszczęści. Ale musicie się spieszyć. Ten kamień... on się rozpada, kruszeje z każdym rokiem, z każdym dniem.

W zupełnej ciszy lekki szmer jakby nieśmiałego tchnienia wiatru poruszył powietrze i znowu wrócił spokój.

– To dziwne, Rudier. Ten głos odebrany przez nas z odległości kilku parseków, modulowany przez rozumne istoty sygnał biosfery całego globu, też osłabł wyraźnie.

Prowadziliśmy obserwacje i stwierdziliśmy, że wygasa od kilku lat.

Rudier z lękiem obejrzał się na spiętrzony za jego plecami głuchy i posępny masyw muru.

– To koniec – powiedział. – Kiedy będziecie tutaj ?

– Już jesteśmy.

Odwrócił się gwałtownie i postąpił krok do przodu, w niemym geście wyciągając dłoń. Pośród pasm mlecznego różu, który rozścielało nieruchome morze traw stały trzy wysokie postacie, jakby nagie w opinającym ciała lśnieniu żywego srebra. Chciał dojrzeć twarze tych ludzi, lecz z niecierpliwego wzruszenia zaszklily mu się oczy i nie mógł w szkarłatnym zarzewiu nieba rozróżnić ich rysów.

Gwiazdy znowu odnalazły swoje miejsce, rozpięły w przestrzeni zawój Mlecznej Drogi. Sięgając ich chciwym spojrzeniem, czuł się jakby bliżej domu pod błękitnym niebem, bliżej tego

miejsca, które gwiazdy usiłowały zagubić w swym mrowiu. A przecież nie zmałał szmat wiodącej tam drogi, wobec dziesiątków świetlnych lat nic nie znaczył ten pierwszy krok spod okapu szkarłatnych obłoków, które teraz snuły się w dole, wyginając nalany purpurą owal globu.

– Słyszysz nas, Rudier?

To głos stamtąd.

– Słyszę. Czekałem cały czas.

Leży nieruchomo na dnie gigantycznej czaszy, po brzegi wypełnionej perspektywą kosmicznej przestrzeni.

– Szczęście, że nie matu wiatrów... kruszeje wszystko.

– Co z wami?

– Przenikamy w ich świat. To ostatnia szansa kontaktu.

– idziecie wszyscy trzej?

– Tylko Orst i Paldan. Wystarczy dwóch.

Rudier obraca się w ognisku kryształowej sfery, każdym ruchem, każdą myślą przemieszczając wypustki srebrzystej przędzy, która napiętymi strunami nanizuje elementy przestrzennej konstrukcji. Nie czuje własnego ciała, jest w jednej chwili wszędzie, jak wypreparowany z czaszki mózg włóknami neurytów sięga najdalszych zakamarków kosmicznego statku, w obwodach niewidzialnych maszyn znajduje nieomylną matematycznych abstrakcji, ulegając jednocześnie ludzkim niepewnościom. Mógłby nie pytać o nic. Układ zawiera jedną świadomość, lecz to coś, co ma na imię Rudier, broni się jeszcze, usiłuje zachować odrębność w kręgu mechanizmów przeistoczonych w zmysły, zachować miraż świata, którego już nie ma, i lęk przed rzeczywistością obnażoną w świadomości Układu.

Próbuje zmienić tok myśli, rozpinając coraz to nowe spirale anten, w paraboloidy czujników zagarniając szept gwiazd. Elektronowe źrenice błędzą wzdłuż galaktycznego równika, daremnie poszukują drugiego źródła głosu podobnego do wołania, jakie przywiodło tutaj ten statek. Przybył, lecz zbyt późno, aby powstrzymać zmierzch szkarłatnej planety, więc odleci równie niespodzianie. Zniknie po trajektorii określonej przez miejsce obecnego postoju i przez to drugie – nie będąc nawet mityczną Ziemią, lecz Układem.

– Nic, Rudier?

– Nic. Szukam dalej.

Ci trzej, którzy są w dole, niedługo wrócą i odlecą wraz ze statkiem – przed siebie: oni nie cofają się nigdy. W hierarchii społecznej ich cywilizacji są oddziałem dalekosiężnego zwiadu torującym drogę kolejnej fali kolonizacji przestrzeni. Tego wymaga dynamika kosmicznej ekspansji. W mechanizmie Układu obowiązuje odśrodkowa interferencja działań z jednym czynnikiem zabezpieczającym zwrotne sprzężenie, jakim jest dwustronny obieg informacji. Dla nich nie ma odwrotu – są forpocztą zwiadu. Potem przychodzą inni, lecz kosmiczny zwiad jest już krok dalej, krok mierzony dziesiątkami lat mozolnego biegu światła. I nic, że ślepy traf postawi na ich drodze kogoś takiego jak on, Rudier. Oddadzą mu komórkę swego statku, autonomiczną cząstkę, samą w sobie będącą całym statkiem: niech łamiąc prawa czasoprzestrzeni, prześcigając światło, zanieś go w miejsce, skąd kiedyś wyszedł on sam i ich ojcowie.

Rudier czeka, kołując w przestrzeni. Rozpostarty na dziesiątki kilometrów każdym atomem ciała-statku wchłania promieniowanie gwiazd, przeczesuje ostatnią piędź nieba w nadziei przechwycenia promieniowania niosącego choć jeden, jedyny „kwant życia”. To wszystko, co może dla nich zrobić – odszukać następny cel ich nieskończonej wędrówki. Lecz niebo milczy. W wołaniu cefeid, pulsarów, w zapadniach czarnych gwiazd zaginęła szept znamionujący życie. Przecież i oni szukali przez wiele lat, nim znaleźli jedno wysychające

źródło. Dlaczego jemu miałyby sprzyjać szczęście?

Przeplływający dołem ocean szkarłatu jakby przyblakł, poszarzał.

– Orst i Paldan poddali się transformacji. – Poznaje głos Nezera, tego, który został. –
Jeśli chcesz: patrz.

Rudier boi się, lecz pragnienie ostatecznego zrozumienia świata, który zabrał mu tyle lat życia, przewyciężyło lęk i wyobcowany ze zmysłów wzrok jego zapada się w dół, na wskroś przenikając grząski obwał chmur, i znowu sięga powierzchni planety przez źrenice człowieka, który stoi przed kamienną ścianą.

– To ty, Nezer?

– Tak, ja.

Naprzeciw niego pionowa płaszczyzna muru. Przywarte do czarnego lustra stoją dwie ludzkie postacie z szeroko rozkrzyżowanymi ramionami. Jedna twarzą w głąb ściany, druga na zewnątrz. Przyćmiony blask niskiego pułapu chmur wyświeśla z półmroku dwa ciała na wpół zanurzone w kamieniu, jakby ktoś pionowym cięciem rozplątał na połowy i ustawił obok siebie wsparte o mur części jednego człowieka.

Rudier chce szarpnąć się do tyłu, cofnąć przed nieobecny spojrzaniem twarzy, która została, lecz Nezer stoi twardo.

– Spokojnie – odzywa się w zupełnej ciszy. – Wiesz przecież...

Spokojnie... jakby cokolwiek znaczyła wiedza wobec zakorzenionego w podświadomości lęku przed czarną magią, o której ci trzej nie słyszeli nawet. To prawda, że ich ciała potrafią przenikać kamień, a świadomość może wchłaniać w siebie inne osobowości lub wędrować sama neuronowym labiryntem cudzych zmysłów, transformować się w elektroniczne obwody i monokrystaliczne struktury maszyn. Lecz trzeba czasu, aby przywyknąć, przyjąć za swoje te zmiany wynikłe w trakcie wielowiekowej ewolucji całego społeczeństwa. Takie są zresztą koleje rozwoju każdej kultury. Czymże innym są mury miast, z którymi obcował przez tyle lat, jeśli nie gigantycznym układem fantomaszyny, wyhodowanym z kamienia monokrystalicznym homeostatem, który wchłonił w siebie miliardy istot, transformując ich psychikę w molekularne obwody fantomatycznego świata. To tylko dwa skrajne modele cywilizacji: ludzka – swoją ekspansją obejmująca sferę makrokosmosu, nieustannie rozprzestrzeniająca się na tysiące świetlnych lat, oraz cywilizacja tego globu – przekraczająca submolekularny próg materii w poszukiwaniu warunków sprzyjających dowolnej kreacji światów modelowanych przez mechanikę i elektrodynamikę kwantową.

I jedna tylko istnieje zasadnicza różnica: człowiek zdołał asymilować nowe środowisko, w kategoriach psychicznych i materialnych, natomiast istoty tej planety nie uwzględniły elementu doskonałej symbiozy, który zamknął ich świat, każdą roślinę, zwierzę, nawet kamień, w precyzyjny mechanizm przemiany materii ząbniącej poszczególne ogniwa biosfery. Wystarczył brak jednego trybu, aby rozpadła się reszta. Dlatego odchodząc do ziemi obiecanej, wymodelowanej w kwantowym homeostacie fantomatycznego świata, skazały na zagładę pierwotny jego obraz, a z nim siebie, gdyż nie zdołały całkowicie zerwać więzów mikro- i makroświata uosobionych w strukturze kamienia. Jeśli więc dzisiaj żywy kamień kruszeje za najlżejszym dotknięciem, stanowi to prawo zdeterminowanej histerezy i dwie postacie rozpięte w jednym z niewielu ocalałych zwierciadeł to ostatni układ wejść i wyjść na granicy dzielącej dwa bieguny świata. Ten, który został twarzą na zewnątrz, to Orst.

– Możesz połączyć się z Paldanem.

– Nie, nie... – Rudier boi się ciągle. – Mów lepiej...

Oni są?

– Tak, Paldan usiłuje nawiązać kontakt.

– Jak wygląda ich świat?

– Patrz sam.

Twarz w ścianie otwiera oczy o źrenicach głębokich jak studnie, ciągnących w otchłań bez dna. Wylot tunelu przenikającego przestrzeń ucieka na strony i wzrok sięga śnieżnej równiny.

– To ty, Paldan?

– Tak, ja.

Mlecznobiałe, opalizujące strumienie nawarstwiają się kataraktami prześwitujących od wewnątrz perspektyw, formują w pełnym kryształach rozczłonkowane muszle gigantycznych perłopławów. W zawrotnej inscenizacji tańca białych zamgleń padają na wznak, rozpościerając skrzydła, jak oślepienie światłem śnieżne ćmy o skrzydłach-ramionach, skrzydłach-oczach, skrzydłach-twarzach. I nie ma już nic, prócz tych twarzy i wyciągniętych rąk, prócz bladych widm korowodem cieni ciągnących spoza przełęczy horyzontu.

– Przecież oni mają ludzkie twarze!

– Nie, Rudier. Cokolwiek widzisz, wszystko jest wykładnią antropomorfizmu twojej wyobraźni. Tutaj nie ma kształtów.

– Pomimo to sprawiają dziwnie ludzkie wrażenie.

Woskowe postacie kołują w opętańczym transie absolutnej bieli, która gęstniejącą śnieżycą zasnuwa świat, i wciąż nowymi falami nadlatują spośród wielowarstwowych pasm przestrzeni, z jakąś niesamowitą, ślepą determinacją dążą dalej, przed siebie, gdzie w posiniątej pętli horyzontu krzewi się jeszcze wyblakły gejzer barwnej zorzy. I choć w tym fantasmagorycznym kalejdoskopie kształtów trudno dopatrzeć się czegoś ludzkiego, to jednak mimika gestów, ruchów...

– Przecież oni uciekają, Paldan!

– Wiem, ich świat ginie. Oni uchodzą przed próżnią.

Nagły niepokój zaćmiewa wzrok. Impuls biegnie stamtąd, gdzie w komorze zawiesłego nad planetą statku został prawdziwy Rudier, nakazuje wracać, wyrwać wzrok z molekularnej struktury kamienia, spod pokrowca chmur.

– Ich świat ginie równie szybko, jak kruszeją wiązania kamienia – twierdzi głos Paldana.

– Gdybyśmy wiedzieli dlaczego, może zdołalibyśmy im pomóc.

– Paldan! Coś się stało, słyszysz?!

– Może zdążę zrozumieć.

– Wracaj, Paldan!

Czarna studnia uskakuje wstecz. Czyjeś oczy rozwarły szeroko. Pionowa ściana i w niej dwie rozkrzyżowane postacie. Szkarłatny wir przewierca powietrze, w dole zostawiając ziemię, i znowu iskra rybiej łuski trzepocze we wklęsłej czaszy nieba.

I nagle w zapadłej ciszy raz po raz odzywa się ledwie słyszalny jęk, jakby ktoś miedzianym młoteczką trzącał widełki kamertonu. To wychwycony z kosmicznego szumu sygnał nadajnika-biosfery. Jego gasnącemu rytmowi wtóruje cichsze, ale jakby mniej zmęczone echo. Rudier nie rozumie jeszcze, lecz bioprądy Układu obiegają mechanizm statku, przesiakają bloki radiolokacyjnych zespołów i nieomylny zmysł wskazuje kierunek, wybierając jedną z miliarda gwiazd.

– Jest! Znalazłem!

Chce zawołać, podzielić się nowiną z tymi trzema w dole, gdy spojrzenie jego zamiera na dysku planety i Rudier pojmuje nagle właściwą przyczynę powrotu. To nie tamten głos: wystarczy spojrzeć w dół.

Trwalszy od kamienia masyw obłoków pękł, obnażył powierzchnię planety w rozjątrzonej

strzępiastymi plamami obłoków ranie spływającego na boki bielma. Na zbrunatniałej równinie wy kwitły kratery miast. Pozornie trwały w bezruchu, lecz idący od równika szkwał skotłowanej atmosfery rozmywał je i dziwnie rozciągał w kierunku wiatru. Gęstniejące czernią smugi wyciągały nad martwą równiną ramiona miecionego wiatrem pyłu, w który rozpadały się mury miast.

Rudier patrzy otępiały, nie widzi już nic, prócz woskowych twarzy, prócz pielgrzymki istot przez siebie samych zakłębionych w rozwiewane wiatrem kryształki. Korowód wyblakłych cieni i... Paldan!

– Paldan! Pai-da-an!!!

Nad powierzchnią planety skręca się oko cyklonu.

Czarne smugi pełzną wciąż szybciej, jak wypustki szukającej schronienia ameby.

– Nezer! Orst! Dlaczego nie każecie mu wracać?!

W potężniejącej zamieci kruszeje zwarty masyw miasta, topnieje dom po domu płatami sadzy frunący w powietrzu. Lawina rozkładu sięga ostatniej lustrzanej ściany i jednym podmuchem odbiera jej nieskazitelną gładziznę, wystawia na wiatr jeszcze jeden garbaty kurhan czerni.

– Nie oni... słyszycie... – Czyjś głos grzęźnie w jęku wichury. – Nic nie wiedzą o sygnale... Rozumiecie?! Oni go nigdy nie modulowali, nie wiedzą nic o promieniowaniu żywej materii... Pamiętajcie, to bardzo ważne... Oni nigdy nie wysyłali żadnego sygnału... Nie oni!...

Rudier rzuca się w wir atmosfery i rękoma Nezera wyrywa spod pękającego muru jedyne ciało, które razem z osypiskiem nie rozpadło się w pył. Potrząsa nieprzytomnym.

– Dlaczego on został?!

Orst bezdźwięcznie porusza zbielełymi wargami, artykułowane słowa odzywają się szmerem bioprądów w świadomości Układu:

– Tak chciał... Nie mógł zostawić ich samych.

Magnetyczny pęcherz statku-Układu ramieniem siłowych pól zagarnia dwóch ludzi z powierzchni planety i wiatr zmiata ślady ich stóp, jakby tu nigdy nikogo nie było. Tylko pył ściele się nad ziemią strugą ciężkiego, czarnego dymu.

Po burzy wraca spokój. Absolutny bezruch i cisza niczym nie zakłócona, gdyż nikt nie zdoła czegokolwiek zmienić, nic dodać, nic ująć ze scenariusza odgrywanego przez prawa natury. Cisza jest nieubłagana dla tych, którzy przetrwają. Można tylko w milczeniu, pustymi oczyma patrzeć w przestrzeń, która uściskiem martwej próżni przywitała jeszcze jeden martwy świat.

Rudier nasłuchuje. Gdzieś w drugim końcu statku podświadomie wyczuwa obecność tych dwóch, tworzących samodzielny Układ. Bez niego. Ich drogi rozchodzą się w przeciwne strony. Niedługo korpus statku wydzieli z siebie szklistą kulę, jakby rybią ikrę – miniaturkę macierzystego statku, którą on poprowadzi, dokąd zechce, czyli tam, gdzie lęka się wracać, lecz i tak wróci, wbrew niepewności przyspieszającej rytm serca na wspomnienie imienia tej planety.

Nezer i Orst polecą dalej. Oni nie wracają nigdy. Ich w zamieci Mlecznej Drogi woła dziwny głos. Gdzieś, wśród gwiazd, umiera jeszcze jeden świat nieznanymi kwiatów, drzew, ptaków. Może tym razem zdążą, zdołają rozwiązać zagadkę ostatnich słów Paldana: „Oni nigdy nie wysyłali żadnego sygnału...” Jeśli nie istoty rozumne tej planety modulowały promieniowanie żywej materii, to któż zostaje? Kto jeszcze posiadał władzę nad głosem całej biosfery symbiotycznymi więziami nadającej wszystkiemu, co żywe, podobieństwo świadomości Układu? Żadna z komórek ciała człowieka, nawet jego mózgu, sama w sobie nie jest rozumna, nie ma też świadomości żaden liść, kwiat, kamień... Szkarłatny glob nie zdradzi już niczego. Odpowiedzi

trzeba szukać dalej, w płaszczyźnie galaktycznej ekliptyki, skąd woła jeszcze jeden dziwny głos, gdzie też umiera świat: może amarantowych łąk, bajecznych ptaków i grających drzew?

Rudier potrząsnął głową, odganiając natrętne myśli. Już czas. Już we wnętrzu statku zaczyna się ruch, nowe prądy przełamują synchronizację siłowych pól we wręgach szklanych sfer, budzą przeciągłe stęknienia – jak miarowy stuk zbliżających się kroków.

Drgnął. Dwie pary oczu jednakowym spojrzeniem patrzą na niego z półmroku.

– Przyszliście... – powiedział. – Nie lubię pożegnań, ale dziękuję wam.

Jakby usprawiedliwiają się wyciągnął do nich rękę.

– Wybaczcie, nie mogę iść z wami. Tacy jak ja muszą kiedyś wracać... – Uśmiechnął się blade. – A wam, cóż, życzę powodzenia. Może kiedyś...

Chciał powiedzieć: „Spotkamy się jeszcze”, lecz wiedział, że widzi ich po raz ostatni.

Dwóch ludzi naprzeciw niego stało w błękitnej poświacie, pod przenikającym ścianą wzrokiem gwiazd i w niepewnym świetle nie mógł rozróżnić ich twarzy.

– Przyszliśmy ci powiedzieć, dlaczego właśnie ty znalazłeś kolejny cel naszej drogi – usłyszał. – To nie los szczęścia, choć my szukaliśmy dłużej.

– Przypadek, ktoś musiał. Prędeż czy później i wy...

– Nie. My nigdy nie spoglądamy wstecz.

Spojrzał zdziwiony.

– Wracamy z tobą, Rudier.

– Dokąd? – zapytał, nie rozumiejąc jeszcze.

– Wracamy na Ziemię.

Podniósł głowę szukając oczyma wstęgi Mlecznej Drogi.

– A tam... – nie wiedział, co mówić. – Tam ktoś...

I nagle umilkł. Zrozumiał. Znowu było ich trzech.

Zbigniew Żak Powrót

Powróciliśmy!
Jesteśmy znowu na Matce-Ziemi. Dziwnie nieswojo! Dlaczego? Skąd ten szok?
Gdyby nie wiara w tę przemądrą aparaturę, uważalibyśmy, że trafiliśmy na obcą cywilizację, jedną z miliona w naszej Galaktyce.
Lecz Ziemia to przecież Ziemia! Na pewno. Czas robi swoje. Ile to lat?..
Płynnym ruchem bezkołowca sunęliśmy naprzeciw. Mające na horyzoncie plamy nabierały ostrości obrazu. Blżej... coraz bliżej. Forma rozlewa się. Zbliżenie. Detal.
W dziuplach żadne sensacji lśnią ślepią gapiów.
Witają nas... prawnuki.
Zapraszają.
Olbrzymie wrota w korzeniu, długi hall, winda.
Bezszelstnie wznosimy się i tylko purpurowy promień skąpany w soczystej zieleni chlasta nasze twarze raz po raz.
Któreś tam, ente piętro. Zatraciliśmy rachunek. Zatrzymujemy się.
Przed nami roztacza się widok niezwykły. Miasteczko pod baldachimem nieregularnych olbrzymich liści. Igrają światłocienie. Po szerokich konarach poruszamy się jak po krętych uliczkach. Swobodnie i naturalnie.
Ciepły głos przewodnika informuje:
– Kilkadziesiąt lat temu cywilizacja nasza porzuciła drogę samozagłady. Zalewające nas morze betonu, stali i asfaltu nabierało już kształtu monumentalnego nagrobka. Zwrócono się ku bioinżynierii, ta zaowocowała eksplozją odkryć. Efektem – ten żywy twór. To był jedyny ratunek. Zdarliśmy betonowy skalp ziemi, ta odetchnęła i przyjęła naszą propozycję, rodząc wspaniałość – te olbrzymie drzewa. A potem wsiąknęliśmy w nie całą społecznością. Nasze życie otoczone zostało życiem. Nie ma tu konkurencji życia, jest jego symbioza.
Dzień miał się ku końcowi. Czerwone z całodziennego wysiłku słońce zachodziło, rzucając blask na korony zamieszkałych przez ludzi drzew.
ileś tam milionów lat temu człowiek zeskoczył z drzewa na ziemię, podreptał po niej i chyba... wrócił.

Zbigniew Prostack Ręka

Widzisz, chłopcze, to nie takie proste. Słyszałeś coś niecoś, gdzieś dzwonił, ale nikt nie wie, gdzie i w którym kościele – jak mówili nasi dziadkowie. Ludzie plotą trzy po trzy. Już teraz coraz rzadziej. Zapominają powoli. Mnie samemu czasem wydaje się to bajką. Może mi się wszystko przyśniło? Chociaż nie, bracie, moje ręce są tego najlepszym dowodem. Nawet szanowni panowie lekarze nie potrafią tego wytłumaczyć, ani sobie, ani mnie.

Co do tego mają moje ręce? O, to cała historia! Ręce dla radiotelegrafisty to on cały. W nich jest jego wiedza, sztuka. A moje? No cóż? Są oprócz tego dowodem, że nie jestem wariatem ani maniakiem, mimo orzeczenia wielce szanownego konsylium psychiatrów. Mieszkałeś kiedy w domu bez klamek? Nie? No pewnie, że nie. Tam, bracie, też jest dużo czasu na rozmyślanie. Dlaczego: też? No, bo gdy odskoczysz tych kilka milionów kilometrów od Ziemi, czasu masz tyle, że nie wiesz, co z nim robić.

Nie dawaj wiary tym, którzy ci wmawiają, że astronauta to ludzie z żelaza, co nic innego nie robią, tylko wypatrują gwiazd, planet, meteorów, cały czas pracują. Nie, chłopcze. Na statku się je, śpi, potężnie się nudzi, a w przerwach między tymi zajęciami trochę się pracuje. Pustka zżera mózg, serce, nerwy. Nic się nie dzieje przez dzień, miesiąc, rok. Gwiazdy stoją w miejscu, statek też, chociaż posuwa się z prędkością kilkakrotnie większą niż kula armatnia. Bez punktu odniesienia nie ma ruchu. Wielu nie zniosło tej pustki. Mięśnie wytrzymują więcej niż rozum. Czy zwariowali? Można to i tak nazwać. Widzieli rzeczy, których nie było, słyszeli głosy w ciszy. Ale wracali do normy. To twardzi ludzie.

Latało się wtedy, chłopcze, na aparatach prymitywnych, bez elektronowych maszyn matematycznych, anabiozy, osłon siłowych i tych wszystkich faramuszków, do których tak przywykli dzisiejsi piloci i załogi. Zresztą i dzisiaj nasze statki to prymityw. Trzeba ci było widzieć ich statki. Czy ja widziałem? Spryciarz z ciebie, chłopcze. Przecież znasz mnie dobrze. Pewnie powiedzieli ci, że stary wariat Bert ma bzika na ich punkcie. Nie powiedzieli ci? Nie uprzedzili cię? To ja ci powiem – stary Bert jest pijakiem, starym człowiekiem, który się skończył, którego wykończyli, ale wariatem to ja jestem akurat takim samym, jak ty i twoi młodzi koledzy. Chcesz posłuchać tej historyjki? Po co? Znają ją przecież wszyscy i drwią ze starego. Ale przyjdzie czas, że oni przylecą. Obiecali mi. Zresztą, co tam... Chcesz słuchać? No, tak...

To zdarzyło się dawno. Byłem wtedy radiotelegrafistą z Patrołu i chłopcem na schwał, jak mówiono kiedyś – do wypitki i do wybitki. Mogłem latać z każdym. Każdy chciał mieć Berta w załodze. Nie było lepszego na żadnym z kosmodromów Kosmicznych Patroli.

To było tuż po zjednoczeniu świata. Jeszcze na liniach zwanych niegdyś granicami sprawdzali dokumenty. Jeszcze było trochę zamieszania, ale jednak już wszyscy czuli się obywatelami świata. Wystartowaliśmy z kosmodromu Bajkonur. Lot jak lot. Nic szczególnego. Statek nie był nowy, ale i nie stary, latałem na gorszych. Załoga też jak się patrzy. Wasyl Nikitin to był nie byle kto. Na pewno uczyliście się o pierwszej wyprawie załogowej w okolice Saturna. No, widzisz! To właśnie Wasyl Nikitin dowodził „Eksplororem”. Twardy, ale z fantazją. Nie ma już Waśki... Nawigatorem był młody Niemiec, Kurt. Mleko pod nosem, ale w głowie, ho, ho, i odważny. Też został tam. Paskudny był rejs. I źle się zaczął. Wyszliśmy na automatach.

Prowadził kosmodrom, jednak już w czterdziestej siódmej minucie zeszliśmy z trasy i korektę musieliśmy przeprowadzić ręcznie. W czwartym dniu lotu popsuło się urządzenie pochłaniające dwutlenek węgla i pracę podjęło awaryjne. Żadna załoga tego nie lubi. Wiadomo, że instalacji awaryjnej nie ma już czym zastąpić. Wasyl kłął w czterech językach. Miałem pełne ręce roboty.

Ziemia jakby się wściekła. Sypali depeszę za depeszą, kodem i na fonii. Nikitin też sobie nie żałował. I tak grałem na swojej skrzynce po cztery, pięć godzin na dobę. Dwa razy przyspieszaliśmy i człowiek mógł po ludzku zjeść, wypić i umyć się. Potem szliśmy bez ciągu. Nieważkość jest dobra tylko w powieściach fantastycznych i w wyobraźni takich, jak ty. Na co dzień jest to niewąskie piekielko. No pewnie, nie byliśmy nowicjuszami, a i przyzwyczajenie robiło swoje.

Piąty tydzień lotu zaczął się normalnie. Nikitin dał mały ciąg i wszyscy ogoliliśmy się, umyliśmy i zjedliśmy śniadanie. O jedenastej zero zero miałem mieć Ziemię, i to nie na fonii tylko, ale i na wizji. Taki niby „koncercik” ku pokrzepieniu serc. Humory dopisywały. Wasyl pokpiwał z Kurta i jego wieku. Mnie kazał przejść na rufę i skontrolować komorę próżniową i skafandry. Po „koncercie” on i Kurt mieli w planie wyjście na zewnątrz i kontrolę anten. Poszedłem. Włożyłem najpierw skafander Nikitina. Sprawdziłem interkom. Grało. Włożyłem swój. Docisnąłem żabki hełmu... I wtedy rakietę – jakby nagle trafiła w miękką ścianę lub sieci wyhamowujące – zwolniła swój bieg i stanęła. Nasze ciała nie. Poleciałem jak pocisk. Gruchnąłem o grodzień, aż w oczach mi pociemniało. Przylepiłem się do ściany jak mucha. Po chwili nastąpiło drugie przyhamowanie i przycisnęło mnie jeszcze bardziej. Miałem chyba z dziesięć G. I właśnie wtedy coś się urwało i runęło na moją prawą rękę. Poczulem potworny ból. Słyszałem lub czułem trzask miażdżonej kości i straciłem przytomność.

Wpierw był sam ból. Nie było mnie, nie było statku, rejsu, pustki. Był ból. Potem ciepło i wiatr. Ciepły, pachnący smrekami i lasem wiatr. Ból mijał, odpływał i otworzyłem oczy. Czy zdarzyło ci się kiedyś, że zbudziłeś się po ciężkim, męczącym śnie i spostrzegłeś słońce za oknem, błękitne niebo, zielone gałązki drzewa i nagle zrobiło ci się dziwnie dobrze? Miałeś pewność, że wszystko, co złe, minęło wraz ze snem, a teraz czeka cię samo tylko dobre? Tak było i ze mną. Jeszcze słyszałem trzask kości, czułem ból, a już wiedziałem, że wszystko jest dobrze. Czy się bałem? Nie. Nie bałem się. Nie miałem czasu na strach. To przyszło później. Leżałem, a wysoko nade mną był błękit nieba i białe kłaczki chmur. Leżałem na piasku tuż przy brzegu rozległego jeziora, którego przeciwległy brzeg majaczył siną krechę na horyzoncie. Słońce stojące w zenicie grzało jak w lipcu. Słaby wiaterek marszczył powierzchnię wody i poruszał lekko szuwarami. Za mną był las. Usiadłem raptownie. Sen? Obydwoma rękami zagamąłem piasek. Suchy, ciepły, z cichym szelestem przeciekał między palcami. Zbyt to wszystko realne jak na sen. Żłuda? Wytwór konającego mózgu? A może?... I wtedy przyszedł strach. Zerwałem się na równe nogi. Zwariowałem! Widziałem to, czego nie ma, bo być nie może. Wypadek nastąpił gdzieś koło orbity Marsa. Ziemia była miliony kilometrów stąd, a ja stałem nad brzegiem jeziora, zwykłego ziemskiego jeziora. Oblęd! Wbiegłem po kolana do wody. Była ciepła. Wciąż świeciło słońce. Panowała cisza. Na ziemi często bywałem nad jeziorem. Lubilem wodę, wiatr. Nie chwając się, byłem niezłym żeglarzem. I gdy tak stałem po kolana w wodzie, nagle spostrzegłem, że coś tu nie gra. Czegoś brakowało w tym sielskim krajobrazie. Czego? Rozejrzałem się wokoło. Był las, była woda, wiał wiatr, było słońce i cisza. Cisza! Ależ tak! Było za cicho. Brakło tego ruchu wśród trzciny i szuwarów, wrzasku rybitw. W powietrzu panował absolutny spokój. Ani ptaka, ani ważki, motyla, muchy.

Wyszedłem z wody. Na sobie miałem zwykle ubranie, które włożyłem rano. Bładobłękitny kombinezon z mnóstwem przemysłnie zamykanych kieszeni. A ręka? Przecież pamiętam uderzenie w rękę i ból. Była cała. Pod opalenizną błękitne żyłki i... Znowu stanąłem

przerażony. Przyjrzałem się raz jeszcze, unosząc dłoń ku oczom. Nie! To nie było złudzenie. W dzieciństwie pobiliśmy się z chłopakiem. Zawsze byłem duży kozak. Jeden z kolegów w zapale walki ugryzł mię w dłoń. Rana długo nie chciała się goić, a gdy się zagoiła, pozostała niewielka, ale wyraźna blizna, ślad czterech zębów. Teraz blizny nie było. Po prostu nie było, i już. Dłoń była gładka, opalona, zdrowa. Nie moja dłoń. Rękaw tuż nad dłonią rozcięty i niedbale zeszyty był ten sam, a ręka nie moja! Co mi się zdarzyło?

Gdzie jestem? Gdzie są Kurt i Wasyl? Co się stało z naszym statkiem? A może po wypadku jakimś cudem odnalazła nas któraś z rakiet dalekiego zasięgu i przywiozła na Ziemię? Może całe miesiące byłem nieprzytomny i chory i dopiero teraz odzyskałem świadomość?

Wiesz, bracie, nigdy nie lubiłem żadnych nowinek. A to aparat na piękny sen, a to koncert c-moll w tonacji błękitnej, itede, itepe. Jedno tylko zrobiłem odstępstwo. Dostałem zegarek uniwer. Wiesz jaki, taki, co to masz na nim wszystko: godzinę, dzień, miesiąc, rok, stulecie, a także – barometr i kompas. Sięgnąłem do jednej z licznych kieszeni na piersi. Spojrzałem na tarczę. Seledynowy promień wskaźnika wolno przesuwiał się po obrzeżu. Gdybym nie był, bądź co bądź, astronautą o organizmie sprawdzanym setki razy, chybabym zemdlał. Od wypadku, kiedy coś zatrzymało naszą rakietę, minęły cztery doby. A do Ziemi najszybszą ze znanych mi rakiet było ponad miesiąc lotu. Pomyślałem, że to wszystko musi mieć przecież jakieś logiczne wytłumaczenie. Albo konam i te ostatnie obrazy zaraz znikną, albo stanie się coś, co pozwoli mi zrozumieć moje położenie.

Poszedłem w kierunku lasu. Nie powiem, że bym czuł się zbyt pewnie. Nie, ale i nie bałem się już. Nigdy nie bałem się zbyt długo i nie lubiłem martwić się na zapas. Wszedłem między pierwsze drzewa i nagle zmąciło mi się w oczach. Po ciele przeleciał gorący dreszcz. Zatoczyłem się, zamknąłem oczy i wyciągnąłem ręce przed siebie. Dłonie dotknęły chłodnego metalu. Otworzyłem oczy. Tuż przede mną była gładka ściana, z której na wysokości jakichś trzech metrów wystawały poziomym rzędem pręty ni to rur, ni to anten. Za plecami miałem mgłę, w której kłębiły się kolorowe smugi rozplywające się w opalizującej szarzyźnie. Zrobiłem krok w tył. Znów to przykre uczucie zawrotu głowy i gorący dreszcz: stałem w sosnowym lesie, a we wszystkie strony rozciągał się widok na kolumny pni. Krok do przodu i gładka ściana z szeregiem anten. Wróciłem nad jezioro. Usiadłem na piasku. Musiałem to wszystko przemyśleć. Jednego już byłem pewien: nie byłem na Ziemi. Ziemia była daleko. Byłem zamknięty w sztucznym pomieszczeniu, nie wiem nawet jak dużym, gdzie ktoś po coś stworzył miraż. Ot, niewielki stawek, kilkunastometrowa plaża, parę drzew, a wszystko to przedłużone złudzeniem przestrzeni.

Złudzenie było fantastyczne, zupełne. Na naszej staruszce Ziemi jeszcze nikt niczego podobnego nie wymyślił. Więc kto to zrobił? I znowu – gdzie ja jestem? Nie czułem głodu ani pragnienia. A przecież minęły już cztery doby. Pamiętaj, chłopcze, że ja lubiłem zjeść. Dobrze zjeść. Nic mnie tak nie męczyło w rejsach, jak pokarm z tubki. Wykorzystywałem zawsze każdą odrobinę ciągu, podczas którego na statku panowało jakieś takie ciążenie, by coś tam sobie ludzkiego upitrasić i najeść się... A tu trzecia czy czwarta doba, i nic. Nawet głodu nie czuję. Poszedłem wzdłuż jeziora i już po paru krokach natknąłem się na wygodną, wyraźną ścieżkę. Ruszyłem nią. Przecież gdzieś mnie zaprowadzi. Ciągnęła się prosto jak strzełił, wśród niewysokich trzciny, i kończyła się furtką. To znaczy źle mówię: nie furtką, a prymitywnym rysunkiem furtki na jakimś podobnym do metalu tworzywie. Nie uwierzysz, nawet klamka była. Nie miałem nic do stracenia. Nacisnąłem klamkę i wszedłem.

Tego już było za wiele nawet dla mnie. Znajdowałem się we wnętrzu mojej kabiny na naszym statku. Rozejrzałem się szybko. Była pusta. Na pierwszy rzut oka nic tu nie było ruszane, jedynie zdjęcie, które miałem na stoliku, i autoinfor leżały na podłodze. Podniosłem je

machinalnie i ustawiłem na zwykłym miejscu. Usiadłem na koi. Co dalej? Byłem u siebie. Zgoda! Ale do mojej kabiny, u licha, nie wchodziło się furtką znad jeziora. Jeżeli jestem na jakimś statku czy gdziekolwiek, jeżeli ktoś zadał sobie tyle trudu, by to wszystko urządzić dla mnie, dlaczego się nie pokaże? Co to wszystko znaczy? Co chcą ze mną zrobić? Broni nie miałem żadnej, po prostu nikt nie przewidział konieczności jej użycia. Rakieta Patrolu Kosmicznego nigdzie nie lądowała, tylko na Ziemi, a w spotkanie z przedstawicielami pozaziemskiej cywilizacji nikt już nie wierzył. W Bazie krążyły wspaniałe kawały na temat takich spotkań. Zresztą broń nie była mi potrzebna. Gdyby ci, w których rękach byłem, chcieli zrobić coś złego, mieli na to dość sposobności. Więc nie ma się czego lękać. Trzeba dokładnie zbadać całe pomieszczenie i starać się jakoś dać im znać, że żyję, że jestem.

Znalazłem się znowu nad jeziorem. Postanowiłem obejść je wokół. Ruszyłem wzdłuż brzegu. Po przejściu stu metrów znów znajome mrowienie, ciepło i gładka ściana. Nie wracałem już. Poszedłem tuż przy ścianie. Była gładka, bez jakichkolwiek otworów czy występów, nie licząc szeregu anten czy prętów nad moją głową. Po pięćdziesięciu metrach łagodny skręt w lewo. Znów trzydzieści, czterdzieści metrów – i skręt. Jeszcze jeden skręt i stanąłem u wejścia do kabiny. No, tak. I co teraz? Wszedłem do kabiny i przysiadłem znowu na krawędzi koi. Coś trzeba wymyślić. Nie mogę przecież po prostu kąpać się w jeziorze, leżeć na piasku i czekać nie wiadomo na co.

Nagle zerwałem się. Ekran telewizora łączności wewnętrznej rozjarzył się seledynowym blaskiem. Stałem jak wryty. Ale obraz na ekranie nie pojawił się, natomiast w głośniku narastał delikatny szmer, aż naraz popłynął zeń wyraźny głos.

Poznałem od razu – mówił automat. Znałem to z Ziemi. Taki sam bezbarwny, bez cienia osobowości, chropawy głos zaczął wolno:

– Istota z Trzeciej Planety. Musimy cię przeprosić za wypadek, zresztą nie zawiniony przez nas, chociaż powinniśmy go przewidzieć. Niestety. Nawet najdoskonalsza technika nie wyklucza możliwości awarii. Nasi uczeni badają już przebieg wypadku i prawdopodobnie nigdy to się już nie powtórzy. Automat waszej rakiety tuż po awarii nadał sygnał. Wzmocniliśmy go, więc na pewno dotrze do waszej planety. Jeżeli z pomocą wyruszy statek ratowniczy, postaramy się przekazać cię na niego. Na razie bądź naszym gościem. Czy masz jakieś życzenia?

– Co z naszym statkiem? Gdzie pozostali członkowie załogi? Co z Wasylem? Co z Kurtem?

– Jesteś na statku Dalekiej Żeglugi Zwiadu Kosmicznego. W tym rejonie działamy już od okresu, w którym wasza planeta kilkaset dziesiątków razy obiegała wokół waszej gwiazdy. Zbadaliśmy waszą cywilizację. Jesteście w stadium początkowym dość prymitywnej cywilizacji technicznej. Myśmy to przeszli przed milionem lat. Nie wolno nam ingerować w wasze sprawy. Nawiążemy z wami kontakt w najbliższej przyszłości. Wasz statek został wyhamowany przez pole grawitacyjne powstałe przy wyjściu z międzyprzestrzeni naszej sondy badawczej. Tego nie dało się uniknąć. Twój dwaj towarzysze nie żyją. Nie dało się ich reanimować. Za późno. Nieodwracalne zmiany w korze mózgu. Nie żyją. Byłem wstrząśnięty.

– Dlaczego nic nie zauważyliśmy? Dlaczego nie zadziałał radar?

– Byliśmy w międzyprzestrzeni. Nie mogliście nas dostrzec. Dla waszej obserwacji wizualnej i radiolokacji nie było nas wcale w tym punkcie czasoprzestrzeni.

– Co to jest międzyprzestrzeń?

– Nie wiem, czy potrafimy ci to wyjaśnić. Przestrzeń w bardzo silnym polu grawitacyjnym ulega zakrzywieniu. Najkrócej mówiąc, jeżeli potrafi się zakrzywić przestrzeń tak, aby powstały dwa łuki zetknięte cięciwami, wewnątrz powstaje miejsce będące poza przestrzenią lub raczej między przestrzeniami. Dla materii i przedmiotów poruszających się w

przestrzeni normalnej takie miejsce nie istnieje. Nie ma go. Przestrzeń jest pusta. Nie mogliście nas zauważyć.

– No tak, chociaż niewiele z tego rozumiem. Ale jedno pytanie. Dlaczego ekran jest pusty? Kto ze mną rozmawia?

– Rozmawia z tobą XMB-7, główny koordynator.

– Automat?

– Nie. Automat to urządzenie wyspecjalizowane do określonych zadań. Ja jestem mózgiem. Wprawdzie nie formą białkową, ale opartą na złączach organicznych nie znanych w tej części Galaktyki.

– Więc nie jesteś żywą istotą?

– Co to znaczy: żywa? Co to znaczy: istota? Myślę, więc jestem. Mówię i działam, więc żyję. Nie roztrząsaj problemów przerastających twoje możliwości poznania. Nie sądź według własnych wzorów.

– Jak wyglądają ci, co cię stworzyli?

– Gotrydzi? Nie mam receptorów wzroku. Są jak ty.

– Jacy? Podobni do ludzi?

– Wy, mieszkańcy Trzeciej Planety, jesteście zarozumiali. Dlaczego wydaje się wam, że ktoś musi być do was podobny? Dlaczego ani ty, ani twoi bracia nie dopuszczacie myśli, że jesteście wtórni? Że nie ktoś do was, a wy właśnie jesteście podobni do kogoś, kto był wcześniej? Czy podobieństwo ma polegać na tej samej ilości wyspecjalizowanych kończyn i odpowiednim umiejscowieniu mózgu? Nie! To sprawa rozumu, myśli i chęci poznania. Tak, jesteście podobni.

– A skąd nazwa: Gotrydzi? Skąd jesteście?

– Nazwa, którą ci podałem, to wolne tłumaczenie fali głosowej dostępnej dla waszych aparatów słuchowych.

– Dobrze, a skąd znasz nasz język?

– Prowadzimy nasłuch waszych stacji nadawczych, od czasu gdy po raz pierwszy wysłaliście sygnał radiowy. Znam wszystkie dialekty waszej planety. Zgromadziliśmy w naszych zespołach pamięci wszystko, co was dotyczy. Teraz cię pożegniam. Jeżeli będziesz czegoś potrzebował, wezwij mnie głosem. Jestem XMB-7.

– Zaraz, zaraz, chwileczkę, XMB-7.

– Słucham cię?

– Co z jedzeniem i napojami?

– Wprawdzie ci to niepotrzebne, gdyż dostałeś preparat UZ, ale jeżeli czegoś zechcesz, dysponuj głosem w obrębie kajuty. Wyłączam się.

Zostałem sam w ciszy. Dopiero teraz spostrzegłem, że przez cały czas tej dziwacznej rozmowy stałem. Przysunąłem więc sobie fotelik i usiadłem. Trzeba to wszystko dobrze przemyśleć. Wzmocnili sygnał s.o.s. To dobrze. Z pewnością rakieta ratownicza wystartuje z Cap Canaveral. Na dotarcie do miejsca awarii potrzeba jej około dwudziestu ośmiu dni. Zatem czeka mnie jeszcze prawie miesiąc wczasów nad jeziorem. Nieźle. Co on mi mówił, ten XMB-7? Że mogę sobie zadysponować obiadem? Spróbujemy!

– Proszę omlet i wodę mineralną.

Nic. Cisza.

– Proszę omlet i wodę.

Coś szcęknięło tuż przy szafce, gdzie trzymam różne osobiste drobiazgi, i nadal nic. Minęło może dziesięć minut. Już prawie zwątpiłem, gdy szcęk powtórzył się i ze ściany wysunęła się owalna tacka z dymiącym omletem i dwie puszkę wody mineralnej. Poweselałem. Wprawdzie nie byłem głodny, ale zawsze różniej mi było, gdy pomyślałem, że w każdej chwili

mogę się najeść. Postanowiłem, teraz kiedy wiedziałem, że mam na to dość czasu, spenetrować dokładnie teren tych przymusowych wczasów. Wyszedłem więc i zaraz za drzwiami skręciłem. Krok za krokiem posuwałem się między ścianą a kłębiącą się mgłą. Ściana była gładka, bez jakichkolwiek spojeń. Było zupełnie jasno i każdy szczegół na gładzi musiałbym natychmiast zauważyć. Niestety. Obszedłem wszystko dookoła i znów stanąłem u swoich drzwi.

Spokojnie. Tylko spokojnie. Którędyś przecież musieli mnie tu wnieść. Obiecali mnie przenieść na naszą ratowniczą. Jakies wyjście czy wejście musi istnieć, więc je odnajdę. Mam prawie miesiąc czasu i trochę doświadczenia.

Mijały godziny. Słońce zaczęło chylić się ku zachodowi.

Swoją drogą, jak oni to robili? Ten cały wspaniały, purpurowy zachód słońca zapowiadający na jutro piękną pogodę i trochę wiatru. Zacznę od rana. Teraz spać. Dosyć wrażeń jak na jeden dzień. Rzuciłem się na koję w ubraniu.

Świt wstał mglisty, ale tą mgłą zwiastującą upalny dzień. Na trawie obok ścieżki perlila się rosa. Kilka energicznych przysiadów i bieg do jeziora spędziły z oczu resztki snu. Szybko zrzuciłem ubranie i po chwili płynąłem w chłodnej, orzeźwiającej wodzie. Byłem dobrym pływakiem, toteż postanowiłem dopłynąć do przeciwległego brzegu. Nagle roześmiałem się w głos. Do przeciwległego brzegu? Ależ to zaledwie kilkanaście metrów. Szybkimi ruchami rozgarniałem wodę oczekując w każdej chwili znajomego mrowienia i stalowej ściany. Mgła powoli zanikała, ale mimo to widoczność ograniczała się do kilku metrów. Płynąłem dalej. Co u licha? Już powinien być brzeg tej sadzawki. A może pływam w koło? Może to mgła mnie zwodzi?

W tej chwili mgła skończyła się jak ucięta nożem. Znajdowałem się tuż przy płaskim pomoście opartym na spiralnie skręconych, różowych podporach. Płyta pomostu oddalona była od powierzchni wody o jakieś trzydzieści centymetrów. Bez namysłu płynąłem pod pomost, szorując czubkiem głowy o stal. Jeszcze metr, dwa i uderzyłem rękami o ukośną, wybiegającą ku górze przeszkodę. Pochyłość nie była zbyt stroma, toteż chociaż z góry z cichym szelestem płynęła po niej woda, metr po metrze pełznałem w górę. Coraz jaśniej. Stalowy pomost nad moją głową nagłym uskokiem przeszedł w stromiznę ściany. Znalazłem się w innym pomieszczeniu. Było jasno, choć nie mogłem dostrzec źródeł światła. Po prostu przestrzeń była nim przesycona. Powietrze jakby samo świeciło, ale jakoś dziwnie zniekształcając perspektywę. W odległości może pięciu metrów stały twory połączone węzlastymi rurami. Po ich powierzchni przebiegały błyski. Najpierw u dołu zapalał się purpurowy płomień, parł ku górze, nabierając żółtawych barw, aż ginął w wąskim zawężeniu i przebłysku soczystej zieleni. I znów to samo. Wolno, rytmicznie, jak oddech. U dołu bań, spod czarnej kryzy, z cichym pluskiem wypływała woda. Raz więcej, raz mniej. Zauważyłem, że przepływ wody wyraźnie się wzmacza, gdy w górnym zawężeniu gasną zielone iskry. Przy dolnej czerwieni woda ledwie ściekała. Co to? Pompa? Fabryka? Czego? Podszedłem bliżej. Banie wyraźnie zmałyły i jednocześnie odsunęły się od siebie. Tak, to świecenie drobin powietrza zniekształcało obraz. Jeszcze krok do przodu i usłyszałem dochodzący jakby znikąd, beznamiętny głos:

– Ja XMB-7. Wróć do części przeznaczony dla ciebie. Wróć do swojej kabiny i wezwij mnie. Wróć!

Co miałem robić? Bez słowa, jak skarcony uczeń, ześliznąłem się pod pomost i znów byłem na jeziorze. Mgła już ustąpiła. Kilkanaście metrów ode mnie widniała plaża i mój błękitny kombinezon na złotym piasku. Niedługa w czasie i przestrzeni była ta moja podróż poznawcza. Kilkoma rytmicznymi ruchami dopłynąłem do brzegu. Ubrałem się i po chwili byłem już w kabinie.

– XMB-7, jestem!

– Wiem. Prośba do ciebie. Nie oddalaj się poza przestrzeń ci wyznaczoną. Warunki międzyprzestrzeni nie są dla struktur białkowych. Duże napromieniowanie. Zresztą nie mamy nic do ukrycia, co będzie można, pokażemy, żądaj na ekran. Dostaniesz połączenie z centralną pamięcią poprzez informtransmutator. Z twojej planety wyszła rakieta ratownicza tej klasy, co wasza. Przekażemy cię na nią.

To już było coś. Mogłem zażądać od ich centralnej pamięci obrazu wypadków, które doprowadziły do śmierci Wasyla i Kurta. Także wiadomość o starcie ratowniczej była coś warta. Usiadłem przed telewizorem.

– XMB-7. Proszę o dane dotyczące katastrofy.

Ekran rozjarzył się. Przelatywały po nim ukośne błyski, aż nagle zobaczyłem...

Na tle czarnego, usianego złotym tle, gwiazd nieba tkwiła srebrzysta strzała naszego statku. Znajoma sylwetka z odrzuconymi w bok wspornikami dysz. Wysmukła, pozornie nieruchoma. Tylko ze znikania przesłanianych gwiazd i powolnego przemieszczania się gwiazdnych układów można było domyślić się olbrzymiej szybkości, z jaką poruszał się pojazd. Nagle przed statkiem obraz nieba zadrgał. Zafalował jak odbicie w wodzie, rozmazał się, a srebrna sylwetka zaczęła lekko przekrzywiać się w lewo. Chwila i wahnięcie się, tym razem w prawo. Przed dziobem pojawiła się kreska obcego pojazdu, wyrosła z nicości. Przez kilkanaście sekund świeciła ostrym blaskiem i znikła tak nagle, jak się pojawiła. Domyśliłem się. To chyba ta ich sonda. Więc tak to wyglądało? I znów błysk. Tym razem u dołu, nieco z tyłu za naszą rakieta. Wyrosło tam coś na kształt olbrzymiego kręgu i wolno zaczęło sunąć ku wrakowi. Coraz szybciej, coraz bliżej, aż zakryło srebrną sylwetkę. Teraz zdałem sobie sprawę z rozmiarów tego prawdopodobnie ich gwiazdowego statku. Znałem przecież dokładnie wielkość naszej rakiety. Miałem wobec tego skalę porównawczą. Krąg długą chwilę tkwił nieruchomo, aż wreszcie zaczął się zsuwać w kierunku, skąd przybył. Znowu zafalował obraz, krótki błysk i na ekranie pozostała tylko samotna strzałka naszej rakiety i piasek gwiazd. Teraz ukazało się wnętrze pełne jakiegoś migotania i rozplywających się kształtów. Coś, co przypominało kłęb różnokolorowych chmur wirujących wokół niewielkiego, podłużnego przedmiotu. Zbliżenie. Wielkie nieba! To przecież byłem ja! Widziałem wyraźnie swoją twarz z zamkniętymi oczyma, nienaturalnie odchyłoną do tyłu głowę i strzęp czegoś krwawego w miejscu, gdzie powinna być prawa ręka. Kłębowisko chmur gęstniało, a wir stawał się trochę wolniejszy. Potem zaczęły ku leżącej postaci wyrastać jakby macki. Ogarniały mnie, cofały się, by po chwili wrócić. W pewnym momencie zasłoniły mnie całkowicie. Ruch wirowy stał się tak szybki, że przestało się prawie go dostrzegać. Była to teraz jednolita, szara bryła, kokon, którego jądro stanowiłem ja. I nagle ciemny ekran rozbłysnął. Leżałem na piasku nad brzegiem jeziora. I miałem obie ręce. Obie całe, zdrowe ręce. No tak, pokazali mi w skrócie, jak to się wszystko odbyło. Pokazali mi, ale ja dalej nic z tego nie rozumiałem.

Nie próbowałem już więcej wydostać się poza przestrzeń ze sztucznym jeziorem. Większość czasu spędzałem w kajucie przed telewizorem. Pokazywali mi wszystko, co chciałem widzieć. Oglądałem urządzenia ich stacji kosmicznych, wspaniałe osiedla na ich ojczystej planecie, bajecznie kolorowe, choć niesamowicie obce dla naszych oczu, widoki ich miast. Tylko jednego nie chcieli mi nigdy pokazać – siebie samych.

Nawet nie spostrzegłem, jak minęło dwadzieścia pięć dni. Dwadzieścia pięć dni – jak sen. Rankiem dwudziestego szóstego dnia wstałem i po kąpieli w jeziorze siadłem do śniadania. Działanie preparatu UZ musiało już minąć, bo od kilku dni byłem wiecznie głodny. Toteż nie żałowałem sobie. Trzeba przyznać, że nie miałem powodu do narzekań. Karmili mnie dobrze. Mogłem jeść i jadłem wszystko, co tylko sobie z ziemskich potraw przypominałem. A swoją drogą trochę mi było nieprzyjemnie, gdy pomyślałem, że ci Gotrydzi znają nasze życie aż do

takich drobiazgów jak kuchnia.

Po obfitym śniadaniu postanowiłem się zdrzemnąć. Nie wiem, jak długo spałem. Obudziłem się z dziwnym niesmakiem w ustach i ciężką głową. To pewnie z przejedzenia. Kąpiel postawi mnie na nogi. Pić mi się chciało.

– Proszę coś do picia.

Nic. Machnąłem ręką. Ostatecznie po kąpieli pragnienie chyba przejdzie. Otworzyłem drzwi i stanąłem jak wryty. Przede mną jasno oświetlony korytarz. Na prawo kajuty Wasyla i Kurta, dalej ciemna plama awaryjnego wjazdu i winda. To przecież nasz statek! Byłem na naszym statku. Jak burza wpadłem do kabiny Nikitina. Wyglądała, jak gdyby dopiero co opuścił ją właściciel. Porządnie zasłana koja. Wszystkie drobiazgi na swoich miejscach. Z zapartym tchem pobiegłem do Kurta. I tu było wszystko po staremu. To znaczy niesamowity bałagan, wśród którego zawsze najlepiej czuł się Kurt. Krążki taśm magnetowidu porozciągane po stole, jakieś przyrządy pomiarowe, zdjęcia. Byłem jak w gorączce. Co w sterowni? Winda, niestety, nie działała.

W błyskawicznym tempie przebyłem kilkanaście metrów szybu awaryjnego. Ale tu czekała mnie przykra niespodzianka. Korytarz kończący się wejściem do sterowni był w połowie długości zamknięty stalową płytą grodzi awaryjnej. Widocznie podczas katastrofy automaty odcięły część statku od reszty. Stos był włączony, bo światła paliły się normalnie i powietrze było czyste, działało więc urządzenie regeneracji powietrza. W wypadku uszkodzenia stosu i jego automatycznej blokady byłoby to absolutnie niemożliwe przez tak długi czas. Ale skąd blokada części centralnej statku? Czyżby nastąpiło przebicie powłoki i ucieczka powietrza w przestrzeń międzyplanetarną? Niemożliwe. Przecież wiem, że statek w nic nie uderzył, nie było żadnej kolizji z meteorytem czy jakimkolwiek ciałem materialnym. Więc co? Spojrzałem raz jeszcze na oddzielającą mnie od reszty statku grodz. Była pokryta lekkim, białym nalotem. Dotknąłem ręką i natychmiast zrozumiałem. To był szron. Gdzieś za stalową ścianą uległy uszkodzeniu przewody doprowadzające ciekły tlen chłodzący silniki. Nikt tam nie mógł zostać żywy. A przecież w momencie awarii zarówno Wasyl, jak i Kurt byli właśnie w sterowni.

Powoli wróciłem do części mieszkalnej statku. Byłem teraz zdany na własne siły. Statek dryfował w przestrzeni z niewielką prędkością. Jeżeli przenieśli mnie tak niespodziewanie na wrak, to widocznie nasza ratownicza jest już niedaleko. Muszę nawiązać z nią kontakt. Do sterowni, gdzie znajdował się główny węzeł łączności, nie dostanę się w żadnym wypadku. Ale przecież byłem radiowcem i nie stanowiło dla mnie problemu połączenie się przez pośrednie łącza z główną anteną statku. Całe szczęście, że zapasowe części mojego radiotechnicznego gospodarstwa znajdowały się w małym magazynku obok mojej kabiny. Ponad sześć godzin zabrało mi zmontowanie czegoś, co tylko z nazwy mogło być urządzeniem nadawczo-odbiorczym. Każdy uczciwy inżynier łączności za głowę by się złapał, widząc tę płątaninę przewodów i kabli. Nie przejmowałem się tym. Byle cały mechanizm działał. Z drżącym sercem usiadłem przed monitorem i włączyłem zasilanie. Niemal w tym samym momencie niewielka kajuta napełniła się gwarem głosów.

– Tu R-12. Wołam R-10. Wołam R-10...

Przez ten sygnał przebijał się daleki głos spikera:

– ... i o godzinie dwudziestej trzydzięci czasu środkowoeuropejskiego rakietka ratownicza podeszła na odległość optyczną do zaginionej rakietki patrolowej R-10, R-10 nie odpowiada na sygnały. Kierownictwo wyprawy ratunkowej liczy się poważnie z możliwością, że trójka astronautów z R-10 poniosła śmierć. Od momentu zamilknięcia nadajników rakietki i nadania pierwszego sygnału s.o.s. upłynęło trzydzięci dni. To mało prawdopodobne, by przez tak długi okres załoga pozostająca przy życiu nie znalazła sposobu porozumienia się z Ziemią.

– Wołam R-10... Wołam R-10... Tu R-12...

Ująłem mikrofon.

– Tu R-10. Tu R-10. Słyszę was. Słyszę was dobrze. Jak daleko jesteście?

– Wołam R-10... Wołam R-10... Tu R-12...

Nie słyszą mnie. Coś źle wykonałem w części nadawczej, a może to jakieś urządzenie zewnętrzne jest uszkodzone? W każdym razie nie mogę się z nimi porozumieć. Nie wiedzą, czy ktoś z załogi żyje. Są raczej pewni, że wszyscy zginęliśmy. Powinienem koniecznie dać im znać o sobie. Problem w tym, jak daleko są. Czy będę miał czas przemontować całe urządzenie. Zaraz! Spiker podał, że są na optycznej. Flary! Że też od razu nie wpadłem na to. Nie wygasiwszy odbiornika, szybko przeszedłem do końca korytarza, gdzie za pancerną płytą mieściła się tablica rozdzielcza. Przycisk odpalający flary znajdował się w sterowni, ale tędy biegły przewody. Byłem pewien, że znajdę je szybko. Wymontowanie płyty było drobnostką. Od razu pochyliłem się ku prawemu rogowi pełnemu różnokolorowych przewodów. To chyba te. Ostrożnie naciąłem izolację i złączyłem dwa druty. Teraz szybko do kajuty. Jeszcze nie zamknąłem za sobą drzwi, a już wiedziałem, że mi się udało. Głośnik zachłystywał się radosnymi okrzykami:

– R-10... R-10... Widzę twoje flary. Żyjecie! Wspaniale! Czemu milczysz? Masz uszkodzony nadajnik? Bądź na nasłuchu. Przekażę wam instrukcje. Za parę godzin podejdziemy z prawej burty i zaczniemy dobierać się do was. Bądź na nasłuchu...

Umilkł, a ja siedziałem jak ogłupiały. Każą mi być na nasłuchu. A co ja innego mogę w tej sytuacji robić? Nie wiedziałem, czy śmiać się, czy płakać. Szybko to szło, za szybko jak dla mnie. Jeszcze wczoraj przymusowy wczasowicz nad jeziorem, dziś rozbitek czekający na ratunek, a jutro? Ba, gdybym wiedział, gdybym mógł choć przez chwilę przewidzieć, co mnie czeka. Nie wiedziałem. I dobrze, że nie wiedziałem. Byłem pełen podziwu dla Gotrydów, że przenieśli mnie na naszą raketę w sam czas. I jak oni to zrobili, żeby z ratowniczej, która przecież musiała przez cały czas obserwować wrak, niczego nie dostrzeżono? A może?... I znów ten sam palący niepokój. A może nic nie było? Może straciłem zmysły? Odpędziłem tę myśl i uspokoiłem się. Postanowiłem powrócić do prób nawiązania łączności z ratowniczą. Trzeba coś zrobić. Mogę przecież, nie rozmontowując odbiornika, przebudować część nadawczą. Jest szansa, że winę za brak łączności ponoszę ja: całe urządzenie montowałem w pośpiechu i z pamięci. Trzeba raz jeszcze kabel po kablu sprawdzić i wszystko przebadać. Czas mam. Powiedzieli, że podejda dopiero za kilka godzin.

Zabrałem się do roboty, systematycznie, dokładnie. I znalazłem – zwarcie, błahostkę, którą usunąłem w kilkanaście sekund. Teraz zobaczymy. Włączyłem zasilanie.

– Tu R-10... Tu R-10... Wołam R-12...

Odezwał się prawie natychmiast. Widocznie też był przez cały czas na nasłuchu.

– Tu R-12. Słyszę cię, słabo, ale słyszę... To ty, Bert? Daj do aparatu kapitana Nikitina. Chce z nim mówić dowódca. Słyszysz mnie? Nikitina do aparatu. Odbiór.

– Tu radiotelegrafista R-10. Dowódca statku, Wasyl Nikitin, nie żyje. Nawigator też. Z całej załogi R-10 tylko ja pozostałem przy życiu. Część centralna statku zablokowana, awaria systemu chłodzenia, ciekły tlen zalał sterownię. Jestem uwięziony w części mieszkalnej. Większość podzespołów statku działa.

– Podejdziemy „Golemem” do luku towarowego. Czy masz dostęp do luku od wewnątrz?

I zaczęło się. Dostęp miałem. Wiedziałem, co trzeba robić. Na polecenie dowódcy R-12 – ubrany w skafander kosmiczny – czekałem w swojej kabinie. Bez zezwolenia nie wolno mi było jej opuścić. Musieli ciąć ceramitowy pancierz i bali się, bym i ja przy tym nie oberwał.

Wreszcie uściśnąłem znowu rękę ludzką. Wrak R-10 ze zwłokami swego dowódcy i

nawigatora pozostał na wiecznej orbicie, a R-12 pełnym ciągiem szła ku Ziemi. Znałem wszystkich z załogi. Z niektórymi z nich latałem. Z początku obchodzili się ze mną jak z jajkiem, ale po kilku dniach i paru ostrych rozmowach przestali. Byłem jednym z nich. Choć już wówczas zauważyłem, że patrzą na mnie jakoś dziwnie. Nie z niechęcią, nie, raczej z odrobiną współczucia. Nie zwracałem na to uwagi.

Naturalnie, opowiedziałem im całą historię ze szczegółami. Nie miałem przecież nic do ukrywania. Tylko o ręce nie mówiłem nic. O zranieniu i wyzdrowieniu tak, ale o bliźnie ani słowa. Słuchali, dziwili się, trochę nie dowierzali. To było zrozumiałe: na ich miejscu sam bym nie bardzo wierzył.

Podróż minęła szybko. Lądowaliśmy na Cap Canaveral. Od razu wpadłem w ręce lekarzy. Potem, chłopcze, zwykła kolej rzeczy: instytut, badania ciągnące się w nieskończoność i wreszcie wyrok – niezdolny do pracy i lotów. To był dla mnie cios. Przecież czułem się zupełnie zdrowy. Bez lotów, chłopcze, nie wyobrażałem sobie życia. Narobiłem niewąskiego szumu. Teraz zaczęła się wędrówka od komisji do komisji. Orzekli: okresowa amnezja, zaburzenia psychiczne, nieodwracalne zmiany i wszystko w tym tonie na trzech bitych stronach druku! Któregoś dnia straciłem panowanie nad sobą i uderzyłem śmiejącego się pielęgniarza. No, i wylądowałem w domu bez klamek! Byłem zdrowy, toteż po czterech miesiącach wypuścili mnie. Poszedłem do domu, naturalnie w towarzystwie anioła stróża z Instytutu Psychiatrii Kosmicznej. Dostałem też skierowanie do pracy w prowincjonalnej składnicy radiowej. Rozmawiając o tym i o owym, wraz ze swoim towarzyszem wjechałem na jedenaste piętro budynku, w którym mieszkałem. Przyłożyłem rękę do wizjera zamka. Nic. Co u licha? Zepsuł się automat? Wysiadły fotokomórki? Nie było mnie ponad rok, wszystko jest możliwe. Wezwaliśmy technika. Zjawił się po piętnastu minutach. Poszperał w zamku, popatrzył na mnie podejrzliwie i orzekł ze złośliwym uśmiechem:

– Zamek w porządku. To tobie ręka się zmieniła. Widocznie masz teraz inne linie papilarne. – Roześmiał się zadowolony z żartu. – A może pomyliłeś piętra?

Popatrzyłem na swoją rękę i bez słowa ruszyłem w kierunku windy. Mój anioł stróż, zdumiony, podążył za mną.

– Dokąd idziemy?

– Do Instytutu Medkosm.

Złapaliśmy żyrobus i po chwili wkraczałem do gabinetu daktyloskopa.

– Doktorze, proszę wziąć moje odciski. Coś mi się tu nie zgadza. Nie mogę otworzyć drzwi mieszkania.

Zdziwiony był bardzo, ale zgodził się. Odcisnąłem na plastikowej folii lewą i prawą rękę. Doktor wziął arkusiki i zniknął w głębi pracowni. Nie minęło piętnaście minut, gdy wybiegł stamtąd jak oparzony. Długą chwilę patrzył na mnie, jakby mnie nie poznawał. Wreszcie wyciągnął dwa nowe prostokąty folii i sam, ujawszy moje ręce, odbił odciski, starannie zaznaczając, który lewej, a który prawej ręki. Znow zniknął w pracowni. Tym razem nie było go dłużej. Już niecierpliwie się porządnie, gdy wyszedł.

– Proszę tu poczekać – rzucił w przelocie i pobiegł.

Po chwili wrócił i skinął ręką.

– Proszę za mną!

Zaprowadził mnie do naczelnego. W gabinecie było już z pięciu lekarzy. Niektórych z nich znałem, inni byli obcy. Naczelnny podał mi rękę.

– Proszę, opowiedz nam jeszcze raz o tym wypadku – poprosił patrząc znacząco na pozostałych.

Cóż miałem robić? Opowiedziałem znow całą historię, koncentrując się zwłaszcza na

wypadku z ręką. Tym razem opowiedziałem i o bliźnie. Użyłem sobie na nich. Widziałem ich zdumione i niedowierzające miny. Kazali mi wyjść i poczekać na korytarzu. Potem wezwali mnie znowu. Wiesz, chłopcze, co to było? Miałem ni mniej, ni więcej tylko identyczne odciski palców u obu rąk. Widocznie Gotrydzi odtworzyli mi tę zmiążdżoną, prawą rękę jako kopię zdrowej, lewej. A zamek i fotokomórka otwierająca drzwi nastawione były na odciski palców prawej ręki. I kołomyjka zaczęła się od nowa. Badania, badania i jeszcze raz badania. Ale nic tu się nie dało zrobić: odciski mojej starej ręki były w Instytucie, w Biurze Ewidencji Ruchu Ludności, a ja miałem jednakowe odciski na obu rękach. Trzeba było zmieniać wszystko, łącznie z kartą tożsamości.

I nie mogą mi tego wytłumaczyć. Największe sławy badały moją rękę, obie ręce i nic. Tylko ja znam całą prawdę. To znaczy źle mówię – inni też znają, ale w nią nie wierzą. Wymyślają sobie różne nieprawdopodobne teoryjki, jedną głupszą od drugiej, a ja wiem swoje. Moja prawa ręka wraz z bliźną została na R-10 i krąży z Wasylem i Kurtem w okolicy orbity Marsa. Gdzieś tam w międzyprzestrzeni tkwi gwiazdołot Gotrydów, a ich sondy bacznie obserwują kulę ziemską i ludzi. I przylecą do nas. Nikt nie wie kiedy, ale przylecą. Jeżeli zobaczysz, chłopcze, na niebie coś niezwykłego, nieznanego, wiedz, że to może być ich sonda. Czekam na nich. Przylecą. Obiecali mi to.

Krzysztof W. Malinowski Wizja

DOKTOR STEPHEN MCDONALD
SZPITAL STANOWY W WOODHAM, N.Y.
01270 P.O. BOX 669 PRIV.
TANIE DOKTORZE,

Jest pan już moją ostatnią szansą. Oczywiście, wiem, że listów takich jak ten dostał już pan dziesiątki. Sam wysłałem ich kilkanaście – rozumie się bez rezultatu. Ale zdaję sobIERZE W ŁEB. NADSZEDŁ WIĘC CZAS, ŻEBY SPRAWĘ WYJAŚNIEJ, jak tylko potrafiłem. Ale oni wszyscy – jak przystało na wytrenowanych konowałów – powtarzali w kółko to samo. Diagnoza była dla nich oczywista. A medycyna zna w takich przypadkach tylko jedno wyjście – dom bez klamek. Zresztą syndrom się zgadzał. A to przecież nie tak! Na Boga! Nie tak! Byłem zupełnie normalny – jak Pan, jak wyTRWALE SIĘ BRONI – NIE JEST ZRESZTĄ WYJĄTKIEM. BYŁO NAS KILKU. I WRESZCIE TYLKO JA SIĘ BIEDZĘ – JESTERAZ tutaj? Jeśli nie dacie wiary moim słowom, katastrofy nie da się już uniknąć. Ja to wiem najlepiej. Raz ono jest górą, raz ja. Ale ja sięgam już kresu moich możliwości. Fizycznie czuję, jak bierze nadESZŁA CHWILA, BYŚCIE MU DALI WIARĘ, A RACZEJ MNIE, BO ON JEST JUŻ TAK CZY INACZEJ ZAŁAtwiej znieść. To już jest zapewne początek końca. Nie wiem – nawet gdybyście mi uwierzyli – czy poradzicie sobie. Nie sądzę, by ludzkość dorosŁAŁEM JUŻ DWA TAKIE LISTY, ALE NIKT Z LUDZI NIE POTRAKTOWAŁ ICH POWAŻNIE. TO NIE JEST ZWYKŁA PENETRRawie beznadziejna: jesteśmy zwykłą pożywką. Lęgną się w nas, dojrzewają, by wreszcie zawładnąć i ciałem, i umysłem. Więc błaGODNIE - ALE TO WSZYSTKO, CO MOŻEMY. DLA NAS ZIEMIA TO OSTATNIA SZANSA – OSTATNIE MIEJSCE PRZETRWANIA. ON MÓWI PRAWDĘ – NIE MACIE JUŻ WYJŚCIA. I LEPIEJ, JEŚLI SIĘ Z TYM POGODZICIE. WY MOGLIBYŚCIE ŻYĆ BEZ NAS. MY BEZ WAS – NIE. OD CZASU, KIEDY STANLEY PRZYWIÓZŁ NAS DWOJE Z KSIĘŻYCA, UWIERZYnajmniej skąd się wzięli – ono twierdzi, że przybyło w środku jednego z ekipy „Apolla”. Wiem, że już nieważne, że niedługo wraca następna wyprawa i tym razem jest ich już pełno. Wiedzą już, że tu mogą restaurować swoją cywiĘC POWINIEN TO PAN PODAĆ DO PUBLICZNEJ WIADOMOŚCI – NIECHAJ LUDZKOŚĆ NIE PRZYJMUJE TEGO JAK APOKALIPSY. JUŻ LEPIEJ JAK EPIDEMIE.

KAROLU! POŻEGNAJ SIĘ Z PANEM MCDONALDEM.

Łączę wyrazy szacunku i nadziei Karol Steinmacher EUXIX VV

Jacek Szypulski Na przykład Gopsofix

Już wczasach, kiedy uczyliśmy się w tym samym liceum, z osobą Raya Zmurka zawsze wiązały się niezwykle i nieprawdopodobne historie. W jego opowieściach było zazwyczaj dziewięćdziesiąt procent czystej blagi, dziewięć procent odautorskich upiększeń i tylko jeden procent czegoś w rodzaju prawdy.

Z czasem Zmurek udoskonalił swój warsztat, rozszerzył horyzonty, zindywidualizował podejście do słuchacza, tak że ludzie skądinąd przenikliwi dostrzegali w jego opowieściach proporcję „pół na pół”. Ale ja wiem swoje. Stosunek prawdy do fałszu pozostał bez zmian, a tylko unowocześnione metody sprawiały, że słuchacz tracił zdolność trzeźwego osądu.

Tak się złożyło, że po skończeniu szkoły wybraliśmy z Rayem ten sam Instytut, a los – reprezentowany przez administratora internatu – umieścił nas razem w niewielkim, kilkunastometrowym pokoju. Na drugim roku studiów dokwaterowali nam jeszcze Kerna z kursu wstępnego. To nie był, moim zdaniem, normalny chłopak – to była wielka gąbka, która chciwie chłonęła słowa Raya, a mnie diabli brali, bo znałem na pamięć każdą opowieść, łącznie z tuzinem wersji specjalnych.

Zmurek czerpał materiał do tych swych bajek prosto z tak zwanego „życia”. Miał zresztą po temu świetne warunki, bo jego ojciec, będąc pracownikiem Agencji Kosmicznej, bez przerwy tułał się po planetach całej Galaktyki i Ray, od kiedy pamiętam, spędzał wakacje zawsze z dala od Ziemi. Kiedyś, chyba w szóstej licealnej, po powrocie z kolejnej wyprawy zamieścił w gazetce Międzyszkolnego Koła Miłośników Biologii „Życie” artykuł o brzulu, mieszkańcu strefy równikowej Jowisza. Obiekt rozważań Raya nie dość, że wcinał namiętnie magnetyt, nabierając w trakcie tej czynności własności ferromagnetycznych (podpis pod zamieszczonym zdjęciem: *Brzule patrz na Północ*), to na dodatek rozmnażał się przez podział wzdłużny.

Trzeba było pecha, że artykuł wpadł w ręce profesora kosmozoologii. I wtedy okazało się („Życie” zamieściło sprostowanie), że nigdzie, także na Jowiszu, nie ma brzuli, że zdjęcie przedstawia najpospolitszą na wspomnianej planecie kusiatkę (*brevilla brevilla*), która nie żywi się magnetytem, tylko apatytami, do tego jest plechowcem i o żadnym podziale wzdłużnym nie może być mowy. Żal nam było Raya, poza tym już się zdążyliśmy przyzwyczaić do brzula i w żaden sposób nie mogliśmy przyswoić kusiutki. Ale mimo niepowodzenia – czy może dzięki niemu – sława ojca nowego zwierzęcia osiągnęła wtedy apogeum.

W tym roku Ray przywiózł z wakacji oprócz opowieści, o której za chwilę, także małego gopsofixa. Ładny to on nie był, ten gopsofix, ale wszystkie osobniki jego gatunku są takie okropnie szpetne, o czym już nazajutrz przekonała mnie mnemowizja (numer bili Centro A 16-5314-077-GVX, podaję dla niedowiarków).

Ray od razu zainstalował zwierzę pod łóżkiem i zapowiedział, że będzie je uczył śpiewu, tak jakby nie wystarczała sama już obecność czwartego lokatora w ciasnym przecież pokoju. Zresztą, cóż to był za śpiew – chrząkanie jakies i pomruki wykonywane z ewidentnym brakiem talentu. Ray musiał w końcu przyznać, że prędzej ze Słońca powstanie supernowa, niż gopsofix zaśpiewa tak, by można to było znieść bez szkody dla zdrowia. Pod koniec pierwszego trymestru gopsofix zaczął cuchnąć. Ray tłumaczył, że to minie, po prostu zwierzę wysyła zapachy wabiące, ale było coraz gorzej i wreszcie nasza cierpliwość wyczerpała się. Zagroziliśmy, że jeśli nie

wykąpie od razu swego pupila, zamkniemy ich obu w szafie i spokojnie poczekamy na zmianę decyzji właściciela. Ray bronił się, twierdząc, że gopsofix pokryty równomiernie tak zwaną „wełną” może się pod wpływem wody sfilcować (od słowa: „filc” oznaczającego materiał produkowany dawniej z wełny w procesie prasowania na mokro i używany między innymi do wyrobu kapeluszy – rodzaju ciepłego okrycia na nogi, zdaje się), co uznaliśmy za argument dziecinny. Przecież psy też porośnięte są czymś podobnym do wełny (mój pies, co prawda, więcej ma piór niż wełny) i normalnie się je kąpie. Ray musiał ustąpić.

I stały się dwie rzeczy straszne. Pierwsza – Ray powiedział prawdę. Druga wynikała z pierwszej – gopsofix rzeczywiście się sfilcował, cuchnąc rzecz jasna nadal, tak że Ray oddał go w końcu do zoologu akademickiego.

Piszę tu o tym wszystkim, bo sam nie wiem, jak ustosunkować się do zapowiedzianej już historii przywiezionej przez Raya razem z gopsofixem. Przedtem nie zastanawiałbym się ani chwili, włożyłbym ją między wcześniejsze bajki przyjaciela i szybko o niej zapomniał. Ale sprawa sfilcowania, tak ją nazwijmy, sama w sobie błaha, wzbudziła we mnie wątpliwości. Skoro stary blagier raz powiedział prawdę, to ostatnia jego historia – opowiedziana już po wydarzeniach z gopsofixem – też może być prawdziwa. Zresztą – posłuchajcie.

Przed trzema laty głośna była sprawa stacji VOX 23 na Szóstej Planecie Karła w Układzie Centaura. Stacja była niewielka, obsługiwało ją wtedy tylko troje ludzi – cybernetyk, fizyk, radioastronom – i kilka prostych maszyn naprawczych. W skład wyposażenia stacji wchodziły poza tym agregaty, mały komputer, reaktor jądrowy, radiostacja, laboratoria, niezłe zaopatrzone magazyny, dość przestronne pomieszczenia mieszkalne – słowem, to wszystko, co niezbędne, by stworzyć trojgu ludziom przyzwoite warunki egzystencji przez okres dwóch lat, bo na tyle opiewał kontrakt. Stacja powstała osiem lat przed opisywanymi wydarzeniami – zmieniło się już kilka załóg i nikt na nic nie narzekał poza nudą, normalną zresztą bolączką tego typu placówek badawczych. Tym razem również załoga VOX 23 regularnie nadsyłała raporty do Centrali i nic nie wróżyło późniejszych burzliwych wypadków. Tak było przez siedem miesięcy. Potem meldunki zaczęły docierać na Ziemię w większych odstępach czasu, pojawiły się w nich wzmianki o jakichś trudnościach, nie precyzujące bliżej ich charakteru mimo monitów Centrali Badań Galaktycznych, co wśród bardziej nerwowych jej pracowników wzbudziło pewne zaniepokojenie.

Pod koniec ósmego miesiąca urwała się łączność. Stacja przestała odpowiadać na wezwania, na Ziemi podejrzewano defekt nadajnika, ale to w końcu rzecz do naprawienia, mają tam, na miejscu, części zamiennie i automaty, nie ma powodu do obaw. Wreszcie po dwóch tygodniach Centrala zaczęła się poważniej niepokoić i najbliższą nadświetlną wysłano na Szóstkę ekspedycję. Wylądowała pomyślnie, ale żeby było śmieszniej, zaraz po lądowaniu utracono z nią łączność. Powrót przewidziany był po trzech tygodniach, a gdy nie nastąpił po pięciu (łączności nie było nadal), podniósł się szum. Do sprawy wtrącił się Departament Wojskowy, a jeden z deputowanych, generał, przeforsował decyzję wysłania ekspedycji wojskowej, co samo w sobie było ewenementem. Wojsko – po czterystu latach szczęśliwego bezrobocia – znów zdawało się być potrzebne. Nie wiadomo, co oni podejrzewali – inwazję z innej Galaktyki czy wystąpienie miejscowej ludności? Obydwie hipotezy były równie nieprawdopodobne, bo mieszkańców innych Galaktyk nikt nigdy nie widział, a ludności, jeśli nie brać pod uwagę paru gatunków mszaków, na Szóstce nie było.

Ale wojsko poleciało. Supernadświetlną, a jakże, poza rozkładem, z transporterami opancerzonymi polem grawitacyjnym, z antymaterią i kto tam wie, z czym jeszcze. Zamach był duży, ale faktem jest, że wojsko wróciło. Przywiozło to, co zostało z ciał sześciu ludzi – trzech członków załogi stacji i trzech z pierwszej ekspedycji – trochę sprzętu, zdjęć i filmów. Tych

ostatnich nikt zresztą (myślę o szerszym ogóle) do tej pory nie widział, wszyscy natomiast czytali i słyszeli oficjalny komunikat Centrali stwierdzający, że przyczyną śmierci naukowców była eksplozja reaktora. O wyprawie ratunkowej komunikat nawet nie wspomniał. Nikomu chyba nie trafiły do przekonania te wyjaśnienia, krążyły tysiące sprzecznych plotek, aż w końcu sprawa sama ucichła.

I po trzech latach od tych wydarzeń Ray Zmurek przywiózł z Ganimeda nową ich wersję, zasłyszana – przypadkiem podobno – podczas rozmowy jego ojca z przyjacielem, wysoko postawionym pracownikiem Centrali Badań Galaktycznych. Podobno te nowe fakty mają być opublikowane, ale ktoś się temu sprzeciwia, więc sprawa się jeszcze przeciągnie. Podaję zatem rewelacje Raya na jego wyłączną odpowiedzialność.

Ekspedycja wojskowa oprócz rozwalonego reaktora, mnóstwa żelastwa rozrzuconego dość regularnie (jeżeli w ogóle doszukiwać się jakiegokolwiek regularności w samym niemal epicentrum wybuchu jądrowego), a przypominającego kształtem liczne krzeselka i stoliki (!), pośród zetłanych szczątków stacji – znalazła coś jeszcze. Był to zachowany, nie wiadomo jakim cudem, dysk pamięciowy osobistego mnemotronu Cybernetyka zawierający rzecz najcenniejszą dla badacza opisywanych wydarzeń – dziennik. W gąszczu zwykłych informacji technicznych, opisu codziennych czynności znaleziono notatkę z pozoru błahą, ale, jak się okazało w toku dalszych badań, niezmiernie ważną: *Straszna nuda, zagrałbym w brydża – ba, jest nas tylko trzech...*

Dane zebrane w czasie śledztwa na Ziemi wykazały, że nie tylko Cybernetyk był zapalonym brydżystą. Przed wyjazdem na VOX 23 z zamiłowaniem oddawali się tej grze także dwaj jego współpracownicy – Fizyk i Radioastronom. Brydż był niegdyś bardzo popularny, a i teraz jeszcze kluby zrzeszają kilka tysięcy jego miłośników. Muszę tu wyjaśnić, że do gry w brydża potrzeba czterech partnerów, a znaczna liczba kart daje nieskończoną praktycznie ilość możliwości i to urozmaicenie stanowi główny chyba walor tej rozrywki. Dalszy ciąg wydarzeń zanotowanych w dzienniku przedstawiał się następująco: któryś z trzech naukowców zaproponował, aby jedną z pomocniczych maszyn naprawczych przerobić na czwartego partnera. Cybernetyk stwierdził, że lepiej grać z robotem niż z dziadkiem (Ray nie potrafił powiedzieć, o czyjego dziadka chodziło), i zabrał się do pracy. Po trzech tygodniach partner był gotowy. *PIK gra poprawnie, ale brak mu zapachu, nie potrafi ryzykować i jest strasznie nudny* – zanotował Cybernetyk po pierwszych próbnym rozgrywkach. Przez cały miesiąc nie było w zapisie żadnej wzmianki o brydżu, dopiero z kolejnej – odległej w czasie o trzydzieści cztery dni – informacji wynikało, że Cybernetyk wyposażył pamięć PIK-a w coś na kształt uczucia przyjemności, jakiego doświadczają ludzie grający w brydża z zamiłowaniem. System sprzężeń sprawił (konstruktor osiągnął to przez zwarcie bezpiecznika lojalności, zmianę bezwzględnie zabronioną i obwarowaną kilkunastoma paragrafami Prawa Naukowego), że przyjemność przerodziła się w potrzebę. Odtąd z partnerem nie było już kłopotów.

Do czasu, dodajmy. Dokonując okresowego przeglądu stacji, Cybernetyk przydybał (takiego określenia użył w notatkach) w przedsionku składu (numer dziewiętnaście) wspomnianego już robota, mechanicznego sprzątacza i dwie maszyny kuchenne pochylonych nad stolikiem.

W chwili kiedy Cybernetyk wszedł do przedsionka, PIK licytował szlema w piki, a maszyna kuchenna – siedząca z lewej strony – uderzyła pięścią w stół i powiedziała: „Kontra!” Naukowiec rozpędził całe to towarzystwo. Z jego zapisków przebija tylko zaciekawienie, nie ma w nich śladu niepokoju, który powinien narodzić się w momencie, gdy maszyna samowolnie, bez wiedzy człowieka, dokonuje przebudowy innych maszyn. Był to pierwszy sygnał. Gdyby w porę dostrzeżono niebezpieczeństwo, można by zapobiec katastrofie. Okazało się bowiem (stwierdził

to Cybernetyk w miesiąc później), że maszyny – przebudowane przez PIK-a na jego obraz i podobieństwo – miały także zreplikowaną tę pasję brydżową, w którą swego czasu wyposażył go konstruktor.

Kolejna kontrola magazynu wykazała, że ubywa z niego elementów pamięciowych, bili oraz pełnych kryształów przeznaczonych na bieżące naprawy, mimo że odpowiednie raporty nie zawierały opisu żadnych uszkodzeń.

Dzień, w którym Cybernetyk trafił do hangaru „F” i zastał tam sto osiemdziesiąt trzy stoliki brydżowe z pełną, nowiutką obsadą graczy skonstruowanych z kradzionych elementów, był dla stacji dniem przełomowym. W tym momencie trzeba było zacząć działać, i to nie na własną rękę. Trzeba było wezwać pomoc, póki funkcjonował jeszcze nadajnik rozebrany w kilka dni później, podobnie jak główny komputer, który także dostarczył części do budowy nowych brydżystów.

Cybernetyk niemal do końca nie doceniał grozy sytuacji. Starał się zrozumieć tę obłąkaną licytację, nie informował, dopóki dało się ukryć prawdę, ani swych towarzyszy, ani Ziemi o rozwoju wypadków, czekał na odpowiedni moment, może błąd przeciwników, by powiedzieć: „Kontra!”, i zwyciężyć żywioł, który sam rozpełtał.

Czekał zbyt długo. W trzy dni później zamilkł nadajnik, a po tygodniu reaktor – przeciążony poza granice bezpieczeństwa nadmiernymi zapotrzebowaniami energetycznymi – wszedł w niekontrolowaną reakcję jądrową...

I to był koniec. Podmuch eksplozji zniszczył magazyny materiałów rozszczepialnych, odległe o sześćset metrów na wschód od Stacji.

Skażenie terenu stało się przyczyną zagłady pierwszej ekspedycji ratunkowej, przez czyjeś niedbalstwo czy głupotę nie przygotowanej na takie niebezpieczeństwo...

Muszę przyznać, że miałem poważne wątpliwości już podczas słuchania opowieści Raya. Nie dość, że groteskowa i nieprawdopodobna, wydawała mi się jeszcze zbudowana z lekceważeniem praw logiki. Jak na przykład wytłumaczyć ten nagle powstały w maszynach pęd do reprodukcji, który w końcu i dla nich okazał się katastrofalny... Podzieliłem się moimi rozterkami z Rayem, który w nagrodę obdarzył mnie spojrzeniem pełnym politowania.

– Sam byś wymyślił, tylko ci się nie chce – powiedział. – Wiesz przecież, że do brydża potrzeba czterech. PIK miał wbudowaną tę pasję, zapal czy nawet potrzebę, nazwij to zresztą, jak chcesz. Był przy tym osobnikiem o dość wąskich horyzontach, poza brydżem świata nie widział i gdy nie grał z naukowcami, nudził się niemiłosiernie. Mieli przecież inne zajęcia, nie wysyła się ludzi na planety oddalone o kilka lat świetlnych od Ziemi – po to tylko, żeby mogli spokojnie licytować szlemiki. Dla ludzi brydż był przyjemnym, to prawda, ale zawsze marginesem, skrawkiem codziennej działalności. Dla PIK-a gra była wszystkim, on musiał grać. Skonstruował więc sobie partnerów.

– Nie tłumacz jak dziecku, to wiem... – przerwałem Rayowi, ale nie pozwolił mi skończyć.

– Nic nie wiesz! Robot grał z maszynami – zbudowanymi przez siebie – w chwilach wolnych, wtedy gdy nie był czwartym do brydża przy stoliku naukowców. A co miały robić osierocone maszyny kuchenne i sprzątacze, w czasie gdy PIK był zajęty? Odpowiadam – grać, grać, grać. Zauważ, że mimo konstrukcyjnych malwersacji życie na VOX 23 przez jakiś przynajmniej czas toczyło się normalnie. Możliwe, że zarażone brydżem maszyny budowały zastępców wykonujących za nie niewdzięczną, codzienną pracę. Po to, by same mogły bez reszty poświęcić się swej namiętności. Ale to tylko hipoteza. Faktem jest natomiast, że stworzone przez PIK-a na jego OBRAZ I PODOBIENSTWO same potrafiły skonstruować sobie czwarteo według własnego szablonu. Wtedy wracał PIK – on także musiał grać... I tak dalej, można by

ułożyć na to niegłupi wzór matematyczny.

To już cała historia. Nie myślcie, że po tych ostatnich wyjaśnieniach pozbyłem się wątpliwości. Przecież wszystkie historie związane z Rayem były w jakiś tam sposób logiczne.

Gdyby nie wewnętrzne rozterki, nigdy bym nie miał odwagi zawracać wam głowy tym opowiadaniem.

Napisałem szczerze o Rayu Zmurku, już wiecie, co z niego za typ. Ale na przykład ten gopsofix sfilcował się. Naprawdę!

Andrzej Mercik

Termity

Zaporę postawiono w rekordowym tempie i już od trzech lat mieli prąd. Kopalnia pracowała, zwiększając wydobycie boksytu dosłownie z dnia na dzień. Nędzna osada poszukiwaczy złota stała się miasteczkiem o kilkunastu tysiącach mieszkańców. I chociaż każdy worek cementu trzeba było dowozić barkami prawie siedemset kilometrów w górę rzeki Apure, tempo robót wyprzedzało plan o kilka miesięcy. Wydawało się, że już nic nie przeszkodzi w przemianie tego maleńkiego ogniska cywilizacji, zagubionego wśród dżungli, na potężny ośrodek hutnictwa aluminium.

A jednak po sześciu latach panowania nad tym obszarem człowiek napotkał przeciwnika, który zaczął zaciekle niszczyć jego pracę. Każdy kawałek drewna użyty przy budowie huty – czy był to trzonek młotka, czy belka podpierająca strop – zamieniał się w ciągu nocy w kupkę próchna. Przez pół roku trwała wojna podjazdowa. W tym czasie ludzie panowali jeszcze nad sytuacją. Potem przeciwnik ruszył do ofensywy. Pewnego dnia urzędnicy, przyszedłszy do pracy, stwierdzili z przerażeniem, że budynek dyrekcji budowy pozbawiony został wszystkich drzwi i okien, a konstrukcję dachu podtrzymują jedynie betonowe dźwigary, większość części drewnianych rozsypała się w proch. Stosy akt także już nie istniały. Tylko gruba warstwa pyłu została po nich na metalowych regałach, drewniane szafy zniknęły razem z papierami. Ocalały jedynie najważniejsze dokumenty schowane w kasach pancernych. Miasto znajdujące się na drugim brzegu rzeki uniknęło klęski, chociaż tam również straty były znaczne. Termity, bo właśnie one były przyczyną zniszczeń, przez dwa następne miesiące atakowały hutę, kopalnię i osiedle tak, że każdy najdrobniejszy przedmiot naprawiony poprzedniego dnia był nazajutrz nie do użytku. Wtedy ludzie sprowadzili barkami dwieście ton dynamitu. Skupisko kilku tysięcy termitier, które pokrywały płaskowyż niedaleko zapory, zostało zmiecione z powierzchni ziemi. Odgłosy wybuchów płynęły nad doliną i mieszkańcy Ciudad Apure wylegli na ulice, patrzyli w stronę elektrowni, nad której dachami wystrzelały w górę fontanny ziemi. Z satysfakcją przyglądali się, jak ginie wrogie im społeczeństwo małych owadów.

Tylko jeden człowiek siedział na werandzie przed swoim domem i zatroskany słuchał wesołych okrzyków, które wtórowały kanonadzie. Był to mężczyzna lat około sześćdziesięciu, wysoki, szczupły, o spalonej słońcem cerze. Nazywał się Grener. Przybył tu z Europy przed dwudziestu laty. Zamieszkał w domku opuszczonym przez myśliwego, również Europejczyka, który goniąc z siatką egzotycznego motyla, nadepnął na pięciometrową anakondę, a uratował życie jedynie dlatego, że ta, połykając właśnie kapibarę, zrezygnowała z pogoni za człowiekiem. Tego samego jeszcze dnia myśliwy wynajął łódź z wiosłarzami i spiesznie odpłynął, jego mieszkanie zaś przejął profesor Grener. Co skłoniło Grenera do opuszczenia uniwersytetu, dokładnie nikt nie wiedział, chociaż domysłów było sporo. Stary Pablo, który stał się przewodnikiem profesora, a w niedługim czasie nieodłącznym jego cieniem, twierdził, że Grener stracił całą rodzinę w katastrofie lotniczej i postanowił uciec od cywilizacji. Dwa razy do roku profesor jeździł do Caracas z ciekawymi okazami roślin i owadów oraz artykułami naukowymi. Wracał zaś obładowany książkami, aparatami fotograficznymi i przyrządami do preparowania eksponatów.

Przez dwanaście lat, aż do śmierci Pabla, chodzili razem po dżungli i w promieniu dwustu

kilometrów poznali ją chyba lepiej od Indian mieszkających o trzy dni drogi na południe od osady. Potem Grener chodził sam, ale unikał już dalekich wypraw. Ośrodkiem jego zainteresowań stał się niewielki płaskowyż i kolonia termitier na nim położona. Zamieszkiwał ją nie znany nauce gatunek termitów. Mimo usilnych poszukiwań nie udało się nigdzie indziej znaleźć chociażby jednej termitiery tego samego owada. W związku z tym, oprócz zwykłych pytań, jakie nasuwają się biologom, gdy zostanie odkryty nowy gatunek zwierząt, należało wyjaśnić, dlaczego występowanie *Termes apuriensis*, bo tak nazwano owego termita, ogranicza się do płaskowyżu o kilkunastu kilometrach kwadratowych powierzchni. Tym bardziej że poza nim warunki naturalne były prawie identyczne, i to na dość dużym obszarze.

Profesor zajął się tym problemem. Spokój, jaki panował wówczas w dolinie, sprzyjał jego zamiarom i badania, chociaż powoli, jednak posuwały się naprzód. Gdy postanowiono wykorzystać ogromne złoża boksytów, odkryte kilkanaście lat wcześniej, wszystko się zmieniło. Pierwotna puszcza padła pod ciosami człowieka. Wprawdzie płaskowyż znajdował się daleko poza placem budowy, ale termyty, początkowo ignorujące obecność ludzi, pewnego dnia wydały im wojnę. Kopalnia już pracowała. Rudę jednak musiano spławiać rzeką aż do San Fernando de Apure i uruchomienie huty na miejscu stało się palącą koniecznością. A zjadliwe owady postawiły to zadanie pod znakiem zapytania. Wtedy właśnie zapadła decyzja zniszczenia kolonii. Grener protestował we wszystkich możliwych instytucjach. Wszędzie jednak tłumaczono mu, że aluminium jest ważniejsze od termitów. W ten sposób ich los został przypieczętowany.

Następnego dnia po wysadzeniu termitier profesor poszedł na płaskowyż. Z tysięcy potężnych kopców zostało bezładne rumowisko brył ziemi zmieszanych z białą masą zmiądzonych ciał owadów. Promienie stojącego w zenicie słońca wysuszyły ich miękkie odwłoki na przezroczyste prawie skorupki, a tak lekkie, że najśłabszy podmuch wiatru wzbijał w niebo tumany szarego pyłu i gnał je w głąb doliny. Chmury ptactwa, które od rana zleciały się tu z całej okolicy, opuszczały żerowiska – ociążały od nadmiaru pożywienia. Grener dostrzegł na skraju lasu grupkę ludzi stojących w cieniu drzew. Skierował się w ich stronę. Gdy podszedł bliżej, poznał dyrektora budowy, naczelnego inżyniera i komendanta posterunku policji. Dyskutowali z ożywieniem. Zatrzymał się niezdecydowanie, nie miał ochoty na spotkanie z nimi. Ale dyrektor Lorezo, ujrawszy go, zawołał:

– Prosimy do nas, profesorze! Tu, w cieniu, jest nieco chłodniej. – A widząc zasepioną twarz Grenera, który usiadł ciężko na zwałonym pniu samaumeiry, powiedział cicho: – Rozumiem pański smutek. Sam również czuję żal, że zgładziliśmy to społeczeństwo, ale co mogliśmy zrobić innego? Dopóki termyty nas nie atakowały, nie żywiliśmy wobec nich wrogich zamiarów...

– Pan się myli, dyrektorze – przerwał mu Grener. – To nie była z ich strony napaść, one się broniły.

– A więc uważa pan ludzi za agresorów? – zapytał komendant trzymający pod pachą dwururkę. Gdy tak stał oparty nonszalancko o pień palmy, wyglądał jak myśliwy z filmu Disneya. – Czy można wiedzieć, co w naszym postępowaniu, według pana, te insekty uznały za tak groźne dla siebie, że zdecydowały się na podjęcie operacji obronnej?

Profesor zignorował kpiący ton policjanta.

– Łącznie z zalaną przez wody jeziora dżunglą, od chwili rozpoczęcia budowy zniszczeniu uległo kilka tysięcy hektarów lasu. Dla owadów żywiących się drewnem jest to poważne zagrożenie.

– No, śmierć głodowa im nie groziła – wzruszył ramionami inżynier. – Przecież w tym kraju na brak lasów nie można narzekać.

– Proszę nie zapominać, że *Termes apuriensis* żył tylko na skrawku terenu i nie

przejawiał żadnych tendencji do ekspansji, więc był uzależniony od drzewostanu w najbliższej okolicy. Wprawdzie na razie pożywienia miał pod dostatkiem, ale przy tym tempie wyniszczania dżungli przez człowieka już niedługo sytuacja dla termitów mogła się stać krytyczna.

Komendant usiadł na pniu koło Grenera.

– Zbyt wysoko ocenia pan inteligencję tych owadów – powiedział pochylając się w stronę profesora. – Przecież nie sądzi pan chyba, że miały swoich futurologów, którzy opracowali perspektywiczne plany rozwoju kolonii, dostrzegli niebezpieczeństwo i dali hasło do rozpoczęcia wojny?

– A gdyby tak było? – mruknął Grener.

– Ależ, panie profesorze! – wybuchnął dyrektor. – Pańska interpretacja tego zjawiska jest nie do przyjęcia. W postępowaniu termitów nie ma nic niezwykłego. Wyrządzały one zawsze wiele szkód, i to nieraz znacznie większych niż na naszej budowie. Chociażby zniszczenie w połowie dziewiętnastego wieku całej dzielnicy Jamestown na Wyspie Świętej Heleny przez małego termita brazylijskiego zawleczonego tam na statku handlarzy niewolników.

Grener skinął głową na znak zgody. Chciał uspokoić zdenerwowanego dyrektora, któremu na skroniach wystąpiły grube, pulsujące węzły żył. Wiedział, że Loreza gnębi niepokój o przyszłość budowy. Nie był on chyba pewny skuteczności środka, jaki przedsięwzięto, a słowa profesora ostatecznie wyprowadziły go z równowagi. Chciał usłyszeć coś, co by go uspokoiło i utwierdziło w przekonaniu, że postąpił słusznie, stawiając wniosek o wysadzenie termitier. Ale w tym Grener nie mógł mu już pomóc, problem tylko pozornie został rozwiązany. Co do tego profesor zorientował się od razu, gdy tylko z bliska ujrzał rozwalone kopce.

– Ja wiem, że aby uruchomić hutę, trzeba było zwalczyć termity – rzekł – ale pominiawszy nawet to, że lżycie dynamitu jest, moim zdaniem, barbarzyństwem, twierdząc, iż nie osiągnęliście zamierzonego celu.

Inżynier zdumionym wzrokiem popatrzył na Grenera.

– Jak to?! – wykrzyknął. – Przecież one zginęły.

– Jest pan pewien, że wszystkie?

– No, może nie co do jednego – powiedział inżynier niepewnie – ale w dziewięćdziesięciu dziewięciu procentach...

– I właśnie o to chodzi. Na terenie całej kolonii ocalało z pewnością chociażby kilka królowych w swych gniazdach. A czy wie pan, że każda z nich znosi około jedenastu milionów jaj rocznie? Z jaj tych mogą się rodzić również królowe i mogą żyć w tej samej termitierze. Raz znaleziono trzydzieści królowych w jednym kopcu, a to daje w ciągu roku trzysta trzydzieści milionów jaj. Jeżeli ocalało lub zostanie założonych w najbliższym czasie tylko dziesięć takich gniazd, za dwa lata, bez naruszenia równowagi w termitierach, może na nas runąć sześciomiliardowa armia tych owadów. I proszę wziąć pod uwagę, że jest to ocena bardzo ostrożna. Prawdopodobnie termity dadzą znać o sobie już za kilka miesięcy.

Inżynier zbladł. Rozglądał się chwilę bezradnie po zoranej ziemi, a potem usiadł na złomie skalnym rzuconym tu przez siłę wybuchu. Trzęsącymi rękami wyjął papierosy. Pierwszy opanował się komendant. Zacisnął dłonie na lufie dubeltówki i zwrócił się do Grenera:

– Więc co mamy robić?

Profesor machnął ręką.

– O to samo zapytano mnie w Caracas, gdy protestowałem przeciwko niszczeniu kolonii, ale kiedy wypowiedziałem swoje zdanie, o mało nie znalazłem się w szpitalu dla obłąkanych.

– Dlaczego? – zdziwił się dyrektor.

– W tej całej sprawie jest jedna rzecz, której się najbardziej boję – rzekł wolno Grener. – Nie powiem wam, o co chodzi, bo i tak mi nie uwierzycie, że coś takiego jest możliwe. – Zamilkł

na chwilę. – Ponieważ uważam, że całkowite zgładzenie wszystkich termitów jest nieosiągalne, widzę tylko jedno wyjście: wyjechać stąd jak najszybciej.

– To absurd.

– Wiem i dlatego nie pytajcie mnie więcej o radę.

Wstał otrzępując spodnie.

– Chwileczkę, profesorze – zatrzymał go komendant. – Przecież możemy zniszczyć dynamitem wszystkie ocalałe gniazda.

– To nic nie da. Termyty z każdej dowolnej poczwarki potrafią wyhodować królową. Trzeba by je było wytłuc co do jednego, a to jest nierealne. Nie można też liczyć na ciągłe niszczenie odbudowywanych kopców, bo w takich przypadkach termyty rozbudowują kolonię głęboko pod ziemią.

– Więc nie ma na nie żadnej rady?

– Jest. Bomba atomowa – mruknął Grener i oddalił się wolnym krokiem.

– I co my mamy teraz zrobić? – westchnął dyrektor.

Był zupełnie rozbity. Jego niejasne przypuszczenia Grener w całej pełni potwierdził, a to oznaczało, że już niedługo wszystko zacznie się od początku, i na dodatek nie ma nawet co marzyć o dostaniu się bez specjalnego sprzętu do termitier pochowanych w głębi ziemi.

– Niech się pan skontaktuje z doktorem Carlosem – podsunął inżynier.

– On już mnie nazwał termitożercą! Nie będzie chciał ze mną rozmawiać. Planował założenie tu stacji badawczej. Gdy zapadła decyzja wysadzenia kopców, prosił mnie o miesiąc zwłoki. Chciał założyć sztuczną termitierę w swoim instytucie w Caracas, żeby ocalić ten gatunek od zagłady, a ja mu odmówiłem. W końcu nie mogliśmy w tej sytuacji czekać cały miesiąc, aż on sobie stąd zabierze pudełko termitów – zakończył z rozdrażnieniem.

– Profesor twierdzi, że już niedługo będą ich tu miliony – powiedział z gorzkim uśmiechem inżynier. – Carlos będzie mógł wtedy trochę wziąć.

– Człowieku, przecież ja mam go prosić, aby znalazł sposób, jak do tego nie dopuścić!

– Może mu pan powiedzieć, że dla celów naukowych została założona jedna termitiera z dala od płaskowyzu i że wspólnie z profesorem będzie mógł tam prowadzić badania – wtrącił komendant.

– Przecież to nieprawda.

– Prawda – komendant uśmiechnął się triumfalnie. – Przed sprowadzeniem dynamitu Grener rozbił jeden kopic i trochę owadów z królową przeniósł w dżunglę, o trzysta kilometrów stąd.

– Skąd pan o tym wie?

– Człowiek na moim stanowisku musi wiedzieć wszystko – odparł komendant. – No, więc pojedzie pan do Carlosa?

– Spróbuję, choć wątpię, by się zgodził nam pomóc.

Doktor Carlos rzeczywiście odmówił. Nie chciał słyszeć o całkowitym wyniszczeniu termitów. Lorezo próbował nawet przez ministerstwo wpłynąć na zmianę jego decyzji, ale doktor oświadczył wtedy, że nie jest zorientowany w sytuacji panującej na budowie, nigdy tam nie był, więc skąd może wiedzieć, jakie środki należy przedsięwziąć. Termita apurańskiego zna tylko z kilku artykułów Grenera i w ogóle nie rozumie, dlaczego zwracają się w tej sprawie do niego, a nie do profesora. Tak więc wszystko stanęło w martwym punkcie.

Na budowie ludzie harowali prawie bez wytchnienia. Rozumowano, zresztą zupełnie słusznie, że jeżeli uda się uruchomić hutę przed atakiem termitów, to przy zastosowaniu wszelkich środków ostrożności nie powinny stanowić one poważniejszego niebezpieczeństwa. Natomiast dopóki zachodziła konieczność używania drewnianych rusztowań i wzmacniania

nowo postawionych ścian drewnianym szalowaniem, odrodzenie się kolonii mogło być katastrofalne w skutkach.

Jednak owady były szybsze. Chociaż komendant prawie codziennie posyłał kogoś z policjantów na płaskowyż, a ci niezmiennie meldowali, że cały obszar powoli zarasta dżungla, zaś po termitach nie ma nawet śladu, w pięć miesięcy później uszkodziły one belki podpierające filary północnej ściany hali elektrolizy. Słabo związany jeszcze beton nie wytrzymał i ażurowa konstrukcja runęła przygniatając swym ciężarem stróża, który przechodził tamtędy podczas obchodzenia terenu. Jego pogrzeb przerodził się w demonstrację.

Wzburzony tłum skierował swój gniew przeciwko Grenerowi, oskarżając go o złośliwe odmawianie pomocy. Byli nawet tacy, którzy twierdzili, że termyty zostały całkowicie zniszczone dynamitem, a profesor odrodził je na nowo, rozsiawszy w dżungli jajeczka pozbierane z rozbitych kopców. Posypały się kamienie i wtedy Grener musiał przyznać, iż pajacowaty, jego zdaniem, komendant jest znakomitym policjantem. Wyglądając ostrożnie zza uchylonych drzwi zobaczył, jak ten, zupełnie sam, zapanował nad tłuszcza i zmusił ją do posłuchu. Bez sprzeciwu więc przyjął profesor polecenie komendanta, by na jakiś czas usunął się z miasta. Po prostu zabrał broń, trochę żywności i poszedł do swojej termitiery.

Wiadomości o wypadkach, jakie zaszły w Ciudad Apure, szybko dotarły do Caracas. Pod naciskiem czynników rządowych doktor Carlos zgodził się wreszcie udzielić pomocy zrozpaczonej ludności miasteczka. Wprawdzie sam nie przyjechał, ale przysłał swojego asystenta, który przywiózł ze sobą trzydzieści sztucznych mrowisk. Zobaczywszy wyładowywane z barki skrzynie, dyrektor Lorezo posłał natychmiast gońca do profesora, z prośbą, aby niezwłocznie przybył. Zaskoczony tym nagłym wezwaniem Grener przerwał badania i już wieczorem tego samego dnia zjawił się w budynku dyrekcji. Na jego widok Lorezo wyskoczył zza biurka zawalonego papierami i pociągnął go do okna.

– Niech pan patrzy, co nam przysłał Carlos! – wskazał rząd skrzyń stojących na nabrzeżu.

– Pewnie mrówki – odpowiedział ze śmiechem Grener ubawiony przerażoną miną dyrektora.

– A skąd pan wie?...

– Widzę po pańskiej minie. Zresztą w tej sytuacji to jedyny rozsądny środek przeciwko termitom.

– Anie jest to czasem wypędzanie diabła szatanem? – Lorezo nie wyglądał na przekonanego.

– Proszę się nie obawiać. Między mrówkami a termitami panuje datująca się od niepamiętnych czasów nienawiść i człowiek nieraz z niej korzystał. Na przykład w Madras przy pomocy mrówek *Pheidologeton* zwalczą się termyty w składach towarów. Wystarczy otoczyć miasto i budowę mrowiskami, a żaden termit się tu nie pokaże.

– Powiedział pan: *Pheidologeton*?... – dyrektor podszedł do biurka. – Ja tu gdzieś mam list Carlosa... – mrucał grzebiąc w papierach. – O, jest. Doktor pisze, że te mrówki należą do gatunku *Pheidologeton diversus* i są bardzo groźne dla termitów.

– No, więc widzi pan, że wszystko jest w porządku.

– Chwała Bogu – westchnął Lorezo. – Trzeba będzie uspokoić ludzi, bo chcieli te skrzynie potopić w rzece. Musieliśmy koło nich postawić wartownika. – Spojrzał badawczo na Grenera. – A dlaczego pan nam nie powiedział, że przeciwko termitom można użyć mrówek? Profesor w milczeniu zarzucił strzelbę na ramię, podniósł z podłogi tobolek z rzeczami i skierował się do wyjścia. Wychodząc już, rzucił przez ramię:

– Bo obawiam się, że i to okaże się nieskuteczne.

– Przecież sam pan powiedział przed chwilą, że gdy otoczmy się mrowiskami, termity nie odważą się tu wtargnąć.

– W ciągu najbliższych miesięcy z pewnością, ale co będzie za parę lat?

– O czym pan myśli? – Lorezo bezwiednie wypuścił z rąk kartkę zapisaną ostrym piórem Carlosa, która łagodnie opadła na dywan u jego stóp.

Nie ruszył się nawet, aby ją podnieść, i z lękiem patrzył na Grenera.

– Panie dyrektorze – rzekł profesor – znam z własnego doświadczenia i z opisów setki gatunków tych owadów, ale *Termes apuriensis* nie jest podobny do żadnego z nich. Może rzeczywiście teraz przestaną nas atakować, jednak mam niedobre przeczucie, że one nie zrezygnują z walki o ten teren.

Otworzył drzwi.

– Pan coś ukrywa, profesorze! – krzyknął za nim Lorezo.

– Ma pan rację – rzekł Grener, zatrzymując się na moment – ale nie ukrywam przed wami faktów, tylko pewne domysły, a ponieważ mojej rady opuszczenia tych okolic nie chcieliście słuchać, więc dzielenie się z wami hipotezą, do której doszedłem, uważam na razie za zbędne. Czas pokaże, czy jest ona słuszna. Niech się pan modli – tak jak ja to robię – aby się nie sprawdziła.

Mrówki zaaklimatyzowały się bardzo szybko. Po spenetrowaniu okolicy uznały, że leżące na skraju dżungli miejsca, które im na gniazda wybrali ludzie, są znakomite, a ponieważ pożywienia wszędzie było pod dostatkiem, nie miały najmniejszego zamiaru uciekać z tak gościnnych stron. Obecność termitów wyczuły prawie natychmiast, towarzystwo to jednak nie stanowiło dla nich problemu. Ich armia trzykrotnie wyprawiła się na teren budowy i stoczyła bitwy zakończone bezapelacyjnym zwycięstwem. Termity zniknęły bez śladu. Z początku ludzie trochę obawiali się dziwnych sprzymierzeńców, ale w niedługim czasie nabrali do nich zaufania. Robotnicy, przychodząc rano do pracy, już nie przyglądali się trwożnie rusztowaniom. Śmiało wdrapywali się na dach hali, mając pewność, że nic się nie załamie pod ich ciężarem. W mieście też usunięto ostatnie ślady zniszczeń i po kilkunastu tygodniach ludzie prawie zapomnieli o dniach strachu, gdy kładąc się spać, długo wsłuchiwali się w nocną ciszę – czy czasem w ścianach nie wre praca, w której wyniku strop może im spaść na głowy. Wkrótce doszło nawet do tego, że zgasły dawne pretensje do Grenera. Gdy kilkakrotnie wyraził on publicznie swoją opinię, że niebezpieczeństwo wcale nie minęło i ludzie powinni jak najszybciej opuścić Ciudad Apure, uznano go za kompletnego, ale nieszkodliwego pomyleńca. Zresztą okazji do drwin było niewiele, bo profesor przeważnie siedział w puszczy przy swojej termitierze. Tylko Lorezo odnosił się do niego z szacunkiem i na jego polecenie kilku robotników wybudowało Grenerowi mały domek nie opodal termitiery, a indiański goniec dwa razy w tygodniu zanosił mu żywność.

W połowie stycznia przybyła komisja ministerialna, aby na miejscu ocenić stan zaawansowania robót. Jej członkowie byli zachwyceni oświadczeniem dyrektora, popartym przez głównego inżyniera, że w maju huta da pierwsze aluminium, a w grudniu budowa zostanie całkowicie ukończona. W tym radosnym nastroju ministerialni, dygnitarze wyrazili przed samym wyjazdem ochotę odwiedzenia Grenera w jego domku. Wycieczka trwała cały dzień. Tuż przed zachodem słońca członkowie komisji wrócili zmęczeni, w wyraźnie złych humorach. Chociaż dyrektor usilnie prosił, aby zostali na noc i odpłynęli dopiero rano, pożegnali się z nim szybko, wsiadając na swój mały, ale luksusowo urządzony stateczek.

Lorezo – zdumiony tą nagłą zmianą nastroju – wspólnie z komendantem wziął na spytki policjantów, którzy towarzyszyli komisji jako ochrona. Po godzinę trwającej indagacji dowiedzieli się tylko tyle, że profesor zaprosił dygnitarzy do domku i tam zrobił im dosyć długi wykład, po którym odbyła się burzliwa dyskusja. Policjanci treści tych rozmów nie znają, bo

siedzieli w tym czasie na polanie, piekąc nad ogniskiem upolowaną po drodze kapibarę. Słyszeli tylko, jak w drodze powrotnej jeden z członków komisji rzekł półgłosem:

– Albo ten człowiek jest obłąkany, albo ma rację.

Drugi zaś dopowiedział:

– A jeżeli ma rację, to niech nas Bóg strzeże.

Słowa te na dyrektorze i komendancie wywarły przygnębiające wrażenie, ale gdy minął wrzesień i absolutnie nic się nie stało, co mogłoby ich choć trochę zaniepokoić, przyłączyli się do powszechnie panującej opinii, że Grener zwariował, przy czym Lorezo – mimo wszystko – starał się używać delikatniejszych określeń, dodając przy tym zwykle z westchnieniem:

– No cóż, to starszy już człowiek.

W październiku przyjechał doktor Carlos. Stwierdziwszy naocznie, że mrówki ze swych obowiązków wywiązują się nienagannie, następnego dnia udał się do Grenera. Profesor przyjął go bardzo serdecznie i po chwili towarzyskiej rozmowy przy obiedzie, którego ukoronowaniem była butelka przywieziona przez doktora wina, zagłębili się w fachowej dyskusji nad metodyką dalszych badań. Koło północy, gdy zaczęli przygotowywać się do snu, dobiegł ich od strony doliny głuchy, dudniący ryk. Wybiegli przed domek i wtedy poczuli na twarzach podmuch wilgotnego wiatru. Zaskoczony Carlos zwrócił poblądłą twarz w stronę profesora.

– Co to mogło być? – zapytał trwożnie.

– Nie wiem – odparł tamten. – Czy wyczuł pan drżenie ziemi?

– Rzeczywiście, przez moment grunt lekko drżał. Ale to chyba nie było trzęsienie ziemi.

– Raczej nie. Coś tam musiało się stać... – mruknął Grener nasłuchując. – O Boże! –

jęknął nagle. – Zapora.

– Co: zapora? – Carlos był zupełnie zdezorientowany.

Wysilał wzrok, aby coś dojrzeć, ale niebo było całkowicie zachmurzone i smolisty mrok zakrywał nawet pobliskie drzewa.

– Nie rozumie pan? Zapora została zerwana!

– Ależ to niemożliwe! Przecież stan wód jest niski... Nie padały ostatnio jakieś wyjątkowo ulewne deszcze – bełkotał zdenerwowany doktor.

– Niech się pan uspokoi. Musimy tam jutro pójść.

O wschodzie słońca byli już na nogach. Profesor skierował się na zachód, w stronę płaskowyżu. Na pytanie Carlosa, dlaczego nie idą prosto do miasta, odparł krótko, że jeżeli tama pękła, to cały teren jest zalany i po kilku kilometrach musieliby przerwać marsz. Na płaskowyż dotarli dopiero w południe. Widok był przerażający. Zapora leżała zdruzgotana, tylko boczne filary sterczały przyczepione do wzgórz. Wyrwane z betonowych bloków stalowe pręty zbrojenia wystawały nad wodę jak ręce topielców. Z elektrowni i miasta nie zostało nic. Na miejscu huty utworzyła się płaska wyspa z gruzu i wyrwanych z korzeniami drzew, które osiadły na mieliźnie, gdy woda opadła. Jedynym śladem po kopalni było rozpaczliwym gestem wyciągnięte ku niebu ramię olbrzymiej koparki. Główne uderzenie fali ominęło ją bokiem i stała teraz bezradnie pośrodku topieli, jakby czekając na ratunek.

– Tu już nic nie można zrobić – powiedział Grener po chwili.

– Może się ktoś uratował...

Profesor wzruszył ramionami.

– Wierzy pan w to?

Carlos usiadł na porzuconym plecaku i ukrył twarz w dłoniach.

– Oni się nawet nie zdążyli obudzić. To potworne... – szepnął.

Gdzieś wysoko rozległ się basowy pomruk silnika. Unieśli głowy i dostrzegli na niebie ciemny punkcik helikoptera, który, mieląc śmigłem powietrze, zbliżał się do nich.

– Widocznie fala powodziowa dotarła do Nutriasi przysłali helikopter, żeby sprawdzić, co się stało – rzekł Grener i podniósł dubeltówkę. – Trzeba go przywołać.

Nad martwą doliną rozbrzmiały odgłosy strzałów, rozdzierając ostrym trzaskiem ciszę.

Mimo upału w sali panował przyjemny chłód. Wentylatory, cicho szumiąc, walczyły z kłębamii dymu, które unosiły się nad długim prostokątnym stołem. Siedziało za nim kilkunastu mężczyzn. Rzut oka wystarczyło, aby stwierdzić, że konferencja trwa już długo: popielniczki były pełne, a szklanki po kawie i karafki na wodę – puste. Jednak nic nie wskazywało na to, że zebranie zbliża się do końca, chociaż w dyskusji nastąpiła przerwa. Rozmawiano półgłosem, zerkając od czasu do czasu na zegar, który wisiał nad drzwiami. W pewnej chwili drzwi otworzyły się i do krępego mężczyzny siedzącego na głównym miejscu podeszła młoda kobieta.

– Panie ministrze – rzekła pochylając się ku niemu – przyszedł profesor Grener.

– No, nareszcie – ożywił się mężczyzna. – Proszę go tutaj... Witamy pana, profesorze! – rzekł pośpiesznie na widok Grenera, który, nie czekając na sekretarkę, wszedł do sali. – Spodziewaliśmy się pana wcześniej.

– Przepraszam za spóźnienie. Zatrzymano mnie na lotnisku.

Minister uniósł brwi.

– Dlaczego?

– Ktoś podał do wiadomości publicznej, że przywieźliśmy z doktorem Carlosem jedno gniazdo termita apurańskiego dla instytutu, i przed lotniskiem zebrał się tłum ludzi protestujących przeciwko temu. Przez godzinę nie mogliśmy wyjść z budynku kapitanatu.

– Tak... – rzekł minister. – Po rozdmuchaniu całej sprawy przez prasę ludzi ogarnia panika na samą myśl o termitach. Mam nadzieję, że niedługo znajdzie się jakaś nowa sensacja i zepchnie klęskę nad Apure na drugi plan. – Wskazał profesorowi fotel. – Proszę, niech pan siądzie. Na razie omówiliśmy polityczne i gospodarcze aspekty katastrofy. Natomiast o dokładną analizę jej przyczyn prosimy pana. Raport komisji powołanej przez nasze ministerstwo ogranicza się do stwierdzenia, że została poważnie uszkodzona podstawa zapory i ta nie wytrzymała naporu wody. Pękła w dwóch miejscach, a następnie runęła. Przyczyny uszkodzeń komisja nie potrafiła podać, ale jej przewodniczący, inżynier Perantio – wskazał zażywnego bruneta, który uśmiechał się przyjaźnie do Grenera – poinformował nas, że pan opracował teorię, która tłumaczy przebieg wypadków w Ciudad Apure. Czy mógłby nas pan z tą teorią zapoznać?

Grener skinął głową. Na chwilę przymknął oczy, jakby układając myśli w logiczny ciąg, a potem zaczął mówić:

– Wypadki, które zaszły nad Apure niespełna miesiąc temu, są ściśle związane z termitami żyjącymi na płaskowyżu o kilkaset metrów od miejsca, gdzie stała zaporą. Dlatego też pozwólcie, panowie, że powiem najpierw kilka słów o tych owadach. Pierwszy raz z termitem apurańskim zetknąłem się ponad dwadzieścia lat temu. Nie jestem z wykształcenia termitologiem, więc po pobieżnych badaniach gatunek ten uznałem za nieciekawą i znajdującą się w stadium degeneracji. Do sądu tego skłoniły mnie dwa spostrzeżenia. Przede wszystkim prawie całkowity brak polimorfizmu i prymitywna organizacja termitiery stawiająca go w rozwoju niżej niż *Calotermes* oraz całkowity brak ekspansji nawet na bezpośrednio przylegające do płaskowyżu tereny, mimo że warunki do zakładania tam nowych termitier są znakomite. Z biegiem czasu jednak zmieniłem zdanie. *Termes apuriensis* jest gatunkiem bardzo młodym. Tak młodym, że nie zarysowała się jeszcze u niego wielopostaciowość. Nie ma wąsko wyspecjalizowanych grup społecznych jak robotnicy czy żołnierze. W praktyce oznacza to, iż termyty tego gatunku są bezbronne wobec wroga. Złożyło się dla nich tak szczęśliwie, że na płaskowyżu nie miały żadnych wrogów, dlatego wegetowały tam nie niepokojone przez nikogo. To właśnie opóźniło ich ewolucję w kierunku specjalizacji. Po jakimś czasie prawdopodobnie,

mimo wszystko, zaczęłyby się pojawiać u nich polimorfizm. Powstałaby kasta żołnierzy uzbrojona w potężne żuchwy czy sikawki, jakie mają rycerze *Eutermes*, co pozwoliłoby na rozszerzenie kolonii poza płaskowyż. Dalsza ewolucja doprowadziłaby do tego, że *Termes apuriensis* po jakimś czasie nie różniłby się bardzo od na przykład *Termes bellicosus*, czyli stałby się typowym przedstawicielem rzędu Isoptera. Dlaczego do tego nie doszło? Odpowiedź jest prosta. Ewolucja, której zadaniem jest ochrona danego gatunku przed zagładą, postępuje drogą dającą maksimum efektów przy minimalnym wysiłku ze strony organizmu, to znaczy przystosowuje jego strukturę fizyczną do warunków życia, a więc jest zdeterminowana warunkami zewnętrznymi i jeżeli raz obierze jakąś drogę, nie może już z niej zawrócić. Gdy w okolicach kolonii pojawił się człowiek i swą działalnością zagroził życiu całego gatunku, termity apurański nie wkroczył jeszcze na swoją drogę ewolucyjną. Ewolucja budowy fizycznej owadów w kierunku specjalizacji, która pozwoliłaby im żyć poza płaskowyżem, nie mogła ich ocalić, gdyż jest to proces powolny, trwający tysiące lat, a całkowita zagłada mogła nastąpić w czasie nieporównywalnie krótszym. Termity mógł uratować tylko rozwój psychiczny, bo ten jest szybszy od fizycznego. W analogiczny sposób na Ziemi pojawił się *Homo*; pozbawiona jakiegokolwiek broni naturalnej, żyjąca w nieprzyjnym dla niej środowisku pramałpa musiała albo zginąć, albo kierować się rozumem. Przypadek taki jest niesłychanie rzadki, musi bowiem zaistnieć sytuacja, gdy nowo powstałemu gatunkowi – pozbawionemu jakiegokolwiek specjalizacji – grozi szybka zagłada. Nie mogły na przykład uniknąć wyćpienia bizona mordowane masowo na preriach północnoamerykańskich, bo ich droga ewolucyjna była zakończona. Osiągnęły pełne przystosowanie do warunków naturalnych i wytworzenie u nich intelektu było niemożliwe. *Termes apuriensis* miał tę szansę i wykorzystał ją w pełni.

Pojedyncze szept od początku towarzyszące wypowiedzi Grenera przerodziły się w szum, który niemal zagłuszył jego końcowe słowa. Manoso, dyrektor departamentu, krzyknął z oburzeniem:

– Panie ministrze, chyba nie zebraliśmy się tu, aby tracić czas na wysłuchiwanie tego typu hipotez! – Zmierzył Grenera wrogim spojrzeniem. – Teoria profesora Grenera opiera się na spekulacjach nie popartych żadnym dowodem i mogłaby w najlepszym wypadku zainteresować wąskie grono specjalistów, chociaż jestem pewien, że powierzchowna nawet analiza wykaże jej całkowitą błędność. Założenie, że zaporę została zniszczona w wyniku rozumnej działalności owadów, bo do takiego stwierdzenia profesor wyraźnie zmierza, uważam za niepoważne. Nie dziwiłbym się, gdyby taką tezę głosił dziennikarz, ale człowiek posiadający tytuły naukowe!...

Grener bez słowa wstał z fotela, wyraźnie z zamiarem opuszczenia sali.

– Panowie! – Głos ministra przywrócił spokój. – Wydaje mi się, że dyrektor Manoso zbyt pochopnie wyraził swoje zdanie na temat teorii profesora Grenera, nie wysłuchawszy jej nawet do końca. Jeżeli się nie mylę, profesor ma również materiał dowodowy, więc proszę, aby panowie na razie powstrzymali się od komentarzy. Dyskusja została przewidziana później. Czy mogę pana prosić, profesorze – zwrócił się do Grenera stojącego za fotelem – o kontynuowanie swojej wypowiedzi?

Grener nieznacznie skinął głową.

– Fakty, które potwierdzają moje przypuszczenia – podjął drżącym ze zdenerwowania głosem, siadając z powrotem na swoim miejscu – zebrałem w ciągu ostatnich sześciu lat. Termity żyjące na płaskowyżu nie wykazywały zainteresowania osadą, która znajdowała się nad Apure, przed rozpoczęciem budowy. Nie zwróciły również uwagi na budowę zapory, rozwój osiedla czy eksploatację rudy boksytu. Agresywne stały się nagle, jednego dnia. Dlaczego? Przecież budulca i pożywienia miały pod dostatkiem wokół kolonii. Niczego im nie brakowało, a zaczęły podejmować długie wyprawy, by atakować hutę. Mało tego, zaczęły przeprawiać się na drugą

stronę rzeki, do miasta. Notabene za most służyła im zaporą. Badania drzewostanu wokół płaskowyżu wykazały, że termyty zrezygnowały zupełnie z tego pożywienia, koncentrując swoją uwagę na drewnie obrobionym rękami człowieka. Z obliczeń, które przeprowadziłem, wynika, że celem termitów nie było zdobycie żywności, gdyż na zaspokojenie ich potrzeb wystarczyłaby jedna czwarta tego, co zniszczyły. Te fakty można zinterpretować jedynie jako wypowiedzenie bezpardonowej wojny ludziom przez owady, które poczuły się zagrożone. A zagrożenie to rzeczywiście istniało, bo z planów perspektywicznych wynikało, że w ciągu paru lat dżungla wokół kolonii zniknie. Oczywiście nie sugeruję tu, iż termyty, buszując po biurach dyrekcji budowy, przejrzały plany i wyciągnęły z nich odpowiednie wnioski. Wystarczy, że obserwowały działalność człowieka, trzebieenie lasów i na tej podstawie przewidziały, co będzie dalej. Znamienne jest również błyskawiczne odrodzenie się kolonii po zniszczeniu termitier dynamitem i następująca fala ataków. Takiego postępowania nie można przypisać instynktowi czy przypadkowemu zbiegowi okoliczności. To była działalność rozumna, według planu wprowadzanego z determinacją w życie. Gdy ludzie przywieźli mrówki, po trzech poniesionych klęskach termyty wycofały się z placu boju. Nie miały kasty żołnierzy i wobec *Pheidologeton diversus* były bezbronne, ale z walki nie zrezygnowały. Ustaliły nową taktykę, która daje wysokie świadectwo ich inteligencji.

Grener przerwał *n.* moment, ażeby zapalić papierosa. Przy stole panowała zupełna cisza, tylko minister mruknął:

– Wolałbym, żeby były głępsze.

– Niestety, panie ministrze – odpowiedział Grener – z biegu wypadków wynika, że termyty znakomicie poznały wszystkie budowle wzniesione przez człowieka. Wprawdzie trudno stwierdzić, czy zdawały sobie sprawę z ich przeznaczenia, ale potrafiły wykorzystać je do swoich celów. Obiektem ataku stała się podstawa zapory. Termyty, chociaż z trudnością, potrafią jednak drażyć beton. Cała armia tych owadów podziemnymi kanałami dostała się z płaskowyżu pod zaporę i wolno, lecz wytrwale zaczęła się w nią wgryzać. Praca trwała prawie rok, ale została uwieńczona sukcesem. Pocięta siatką korytarzy podstawa zapory nie wytrzymała nacisku mas wody i pękła. Skutki tego panowie znają. Pozostaje jeszcze do udowodnienia, że katastrofę rzeczywiście spowodowały termyty. Przy zbieraniu materiału dowodowego współpracował ze mną inżynier Perantio i on również przeprowadzał obliczenia dotyczące wpływu uszkodzeń na wytrzymałość zapory. Myślę, że jego ocena faktów będzie tym ostatecznym dowodem świadczącym o prawdziwości teorii, którą panom przedstawiłem.

Grener sięgnął po kawę podaną mu przez sekretarkę i, pijąc ją drobnymi łykami, obserwował siedzących. Manoso, który słuchał z drwiącym uśmiechem wykładu profesora, przy omawianiu przyczyn katastrofy spoważniał i teraz niespokojnie kręcił się w fotelu, ugniatając w palcach nie zapalonego papierosa. Reszta siedziała z wyrazem przygnębienia na twarzach. Tylko minister zachowywał kamienny spokój.

Perantio pośpiesznie przerzucił kartki maszynopisu.

– Szczegółowe obliczenia i fotografie znajdą panowie jutro w dodatku do raportu komisji – powiedział. – Tutaj przedstawię cały problem w dużym skrócie. Pole powierzchni zapory znajdującej się pod lustrem wody miało około trzech tysięcy pięciuset metrów kwadratowych przy wysokości słupa wody – trzydzieści pięć metrów, a więc na zaporę działała siła parcia wynosząca ponad sześćdziesiąt jeden tysięcy ton. Wytrzymałość zapory była trzykrotnie wyższa i wynosiła dwieście tysięcy ton. Ponieważ w okolicach Ciudad Apure od prawie trzydziestu lat nie zanotowano żadnego trzęsienia ziemi i bazaltowe podłoże, na którym stała zaporą, nie wykazywało ruchów tektonicznych, więc naturalne przyczyny katastrofy należy z góry wykluczyć. W czasie rozmowy na ten temat z jedynymi znajdującymi się w okolicach

zapory świadkami tragedii, profesorem Grenerem i doktorem Carlosem, profesor Grener powiedział mi o swoich przypuszczeniach, co do przyczyn zerwania tamy. Bez większych trudności znaleźliśmy betonowy złom – pochodzący z podstawy zapory – poryty siatką kanałów. Znaleźliśmy również korytarze, którymi termity wędrowały z płaskowyżu nad rzekę. Tak więc najmniejszej wątpliwości nie ulega fakt, że termity uszkodziły podstawę zapory, wydrążywszy w niej kanały. Wytrzymałość tamy zmniejszyła się o około siedemdziesiąt procent, a więc wynosiła sześćdziesiąt tysięcy ton, czyli była mniejsza od siły parcia wody. Dlatego zapora runęła. I to już chyba wszystko – rozłożył ręce patrząc na ministra, a potem zwrócił się do pozostałych. – Czy macie, panowie, do mnie jakieś pytania?

Odpowiedziała mu cisza. Kamienna twarz ministra drgnęła, przebiegł przez nią bolesny skurcz.

Po chwili dygnitarz opanował się.

– Panie profesorze – zwrócił się do Grenera – wielokrotnie doszły mnie głosy, że pan przestrzegał dyrekcję budowy i komisję wizytacyjną przed termitami, ale dlaczego nie powiedział pan, jakie skutki może pociągnąć ignorowanie pańskich ostrzeżeń?

Profesor odstawił filiżankę z kawą.

– Nie wiedziałem, panie ministrze, jaką formę przyjmie batalia termitów przeciwko ludziom. Przez jakiś czas liczyłem nawet na to, że chociaż przekroczyły one już wtedy barierę intelektu, użycie przeciwko nim mrówek pchnie je w kierunku specjalizacji fizycznej, między innymi przez wytworzenie kasty żołnierzy. Gdyby to zaszło, wówczas w konsekwencji zahamowany zostałby rozwój psychiczny. Ale ewolucja nie zawraca z raz obranej drogi i rozwój inteligencji pozwolił termitom na inne rozwiązanie problemu.

– Jaki jest obecnie ich poziom umysłowy?

– Nie potrafię odpowiedzieć na to pytanie. Przede wszystkim dlatego, że w przeciwieństwie do człowieka, którego inteligencja rozwijała się przez tysiące lat, u Termes apuriensis rozwój ten nastąpił wybuchowo, w ciągu zaledwie kilku lat. Wobec tego przypadku teoria ewolucji jest na razie bezradna. Poza tym poziom umysłowy człowieka określamy na podstawie narzędzi, jakimi się on posługuje, co – jeśli chodzi o termity – jest niemożliwe. Opierając się na obserwacjach, można powiedzieć tylko tyle, że potrafią łączyć odległe nieraz zjawiska w łańcuchach przyczynowo-skutkowy i umieją przewidzieć konsekwencje pewnych posunięć, tak własnych, jak i przeciwników.

– A co będzie dalej?

Po tym pytaniu siedzący jakby skurczyli się w swych fotelach.

– Na razie termity zajęły się najbliższą okolicą i dopóki ten teren będzie im zapewniał wystarczającą ilość pożywienia, nie przypuszczam, aby wykazywały tendencje do ekspansji. Ale kiedyś człowiek będzie się chyba musiał podzielić z nimi władzą nad światem, a kto wie, czy nie zostanie usunięty z tronu, na którym obecnie zasiada. Bo rozwój termitów będzie szedł dalej, a całkowite ich wytępienie, pomijając nawet moralną stronę takiego czynu, jest nierealne.

– Broń jądrowa... – szepnął ktoś.

– Owszem, to mogłoby dać efekt – zgodził się Grener – ale skutki takiej akcji musiałyby odczuć cała Ameryka Środkowa i większa część Ameryki Południowej.

– Pan chyba przesadza, profesorze – powiedział szczupły mężczyzna o chorobliwie bladej twarzy i zapadniętych oczach patrzących jakby z głębi czaszki na Grenera. – Na ten płaskowyż wystarczyłaby jedna średniej mocy bomba atomowa. Myślę, że rząd Stanów Zjednoczonych lub innego mocarstwa atomowego zgodziłby się udzielić nam pomocy w tej sprawie.

Grener potrząsnął głową.

– Termity wykorzystały poprzednie doświadczenie, kiedy to próbowano je zniszczyć za pomocą dynamitu, i zabezpieczyły się. Trzydzieści kilometrów od kolonii znalazłem przypadkowo maleńki kopiec, a w nim kilkanaście tysięcy jaj złożonych tam jako przetrwał ni ki, pod strażą niewielkiej grupy dorosłych owadów. Takich gniazd jest prawdopodobnie wiele i być może jeszcze dalej położonych od płaskowyżu. Tak więc obszar, który należałoby wysterylizować, musiałby mieć około siedmiu tysięcy kilometrów kwadratowych. I proszę pamiętać, że nie wystarczy tu zniszczenie dżungli. Przy takiej akcji trzeba by dosłownie wypalić ziemię na kilka metrów w głąb.

– Więc co mamy robić? – zapytał minister.

– Zostawić termity w spokoju – odpowiedział Grener.

Wstał z fotela i, lekko skłoniwszy się wpatrzonym w niego ludziom, wyszedł z sali.

Michał Fotyma Odmieniec

Elipsoidalna kopuła okrywająca Miasto lśniła w południowym słońcu swą wypolerowaną powierzchnią – wszędzie jednakowa, matematycznie dokładna, olbrzymia, ze szczytem nikającym w chmurach.

Z bliska obraz był nieco inny. Tu i ówdzie były widoczne rozmaite urządzenia: huczące podmuchem otwory wentylacyjne, wizjery, czujniki, anteny radiowe i radarowe, lasery. Nisko, przy ziemi, w dużej odległości od siebie, znajdowały się potężne bramy, zwykle zamknięte, a niekiedy także drzwi. Jedne z nich, obrosłe chwastami, nigdy chyba nie używane, bo nie wiodła do nich żadna droga ani ścieżka, powoli uchylały się coraz szerzej, aż otworzyły się zupełnie. Długą chwilę nic się nie działo, a potem w drzwiach stanął człowiek. Stał nieruchomo i patrzył, patrzył... Nagle wycofał się i znikł. Jednak niebawem wrócił. Znowu stał i patrzył...

Jon Enderson G-34/82-20-U3/012/412 przebywał w szpitalu psychiatrycznym, a lekarze zastanawiali się nad jego przypadkiem.

Średniego wzrostu, proporcjonalnie zbudowany, raczej szczupły, o brązowych, długich włosach, o delikatnej, niemal dziewczęcej urodzie – Jon już w dzieciństwie zdradzał cechy dość niepokojące: interesował się bardzo czasami sprzed stu czy dwustu lat. Pochłaniał wszystko, co tylko znalazł na ten temat: książki, filmy, eteryki. Każdą wolną chwilę spędzał nad czytnikiem lub przed ekranem.

Czas płynął, Jon rósł, chodził do szkoły, potem na studia, ale jego zainteresowanie dawnymi latami wcale nie minęło, wprost przeciwnie – rosło. Różnica polegała tylko na tym, że teraz już nie pochłaniał wszystkiego, co popadło, lecz wybierał coraz poważniejsze pozycje spośród książek, mikrofilmów, wideonagrań. Wiedział coraz więcej, a chciał wiedzieć jeszcze więcej.

Skończył studia, zaczął pracować. Praca szła mu dobrze, lubił ją; czasu miał mniej niż dawniej, toteż mniej się zajmował swoim hobby, ale nie zarzucił go.

Zainteresowanie przeszłością nieuchronnie doprowadziło Jona do problemu Miasta, a potem do czynu już zupełnie niepojętego: wyszedł poza kopułę!

Profesor Orofiew studiował materiały nadesłane mu przez sekretarza, doktora Ratnalingama. Sięgnął po następny dokument: *Wywiad z pacjentem, wraz z uwagami lekarza*. Zastanowił się chwilę: „Nie, to lepiej będzie zobaczyć i usłyszeć”. Odnalazł właściwy kryształ, włożył go do wideorekordera i włączył aparat. Ekran mignął bielą, ściemniał i ukazało się wnętrze zwykłej separátky szpitalnej, a w niej doktor Ratnalingam i pacjent, Jon Enderson. Profesor usiadł wygodniej, uważnie patrzył i słuchał.

– A teraz, jeśli się zgodzisz, porozmawiamy. Jak już wiesz, wszystkie badania dały wynik pozytywny – jesteś zdrowy, nic ci nie dolega, moja pomoc nie jest ci potrzebna.

– Tak, wiem.

– To doskonale. Tylko jednego nie rozumiemy, ani ja, ani inni: po co właściwie wychodziłeś z Miasta?

Jon uśmiechnął się.

– Na to trudno odpowiedzieć jednym słowem.

– No, to spróbuj kilkoma!

– Spróbuję, może się uda. A więc... Od dawna interesowała mnie przeszłość, czasy przed Wielką Przebudową. Sporo wiem, nie chwając się znam dość dobrze historię ostatnich dwustu lat. Czytałem, studiowałem, oczywiście wtedy, gdy miałem czas, nikt mnie przecież nie poganiał. Aż doszedłem do budowy kopuły. O tym bardzo wiele dyskutowano, pisano, mówiono – materiał jest bardzo bogaty, zarówno sprzed, jak i z okresu samej budowy. I kiedyś, nie pamiętam dokładnie kiedy, nawiedziła mnie myśl: a co jest poza Miastem, poza kopułą?

– Mogłeś zobaczyć, nie wychodząc z Miasta.

– I tak zrobiłem, przecież to nic trudnego. Ale to mnie nie zadowoliło. I po pewnym czasie przyszła ta wręcz szalona myśl: wyjść i obejrzeć wszystko własnymi oczami, dotknąć, poznać. Nonsens, oczywiście! Ale ta myśl nie dawała mi spokoju. Może dlatego, że stare dzieje to moje hobby, a poza Miastem niewiele się zmieniło przez ostatnich kilkadziesiąt lat. Oczywiście nie traktowałem tej myśli poważnie – ot, niemądra zachcianka, i tyle. Oglądałem okolicę za pomocą wideokamery i to mi prawie wystarczało. Właśnie prawie, nie – zupełnie.

Ekran mignął bielą, potem pokazał się napis: *Uwaga lekarza – To już wyraźne odchylenie od normy. Kogo interesuje, co się dzieje poza Miastem? Nikogo, chyba tylko tych, których zawód wiąże się z taką koniecznością. Pacjent do nich nie należy.*

– Pewnego razu – ciągnął Jon – znalazłem się w pobliżu kopuły, miałem tam jakąś sprawę w magazynie. Załatwiłem ją, a potem zachciało mi się obejrzeć ścianę kopuły. Nigdy jej nie widziałem z bliska. Poszedłem więc korytarzem aż do końca. Podziwiałem jej ogrom, ledwo widoczną krzywiznę. Ale po chwili zobaczyłem jeszcze ciekawszą rzecz: obok miejsca, gdzie stałem, były drzwi. Drzwi prowadzące na zewnątrz! Podeszedłem, obejrzałem je. Były solidne, z pewnością bardzo ciężkie, doskonale wpasowane. Zamek niezbyt skomplikowany, mechaniczny, bez zabezpieczeń. I w poprzek – dwie sztaby przymocowane do framugi. Chyba nawet ręcznie dałoby się otworzyć. Zrobić to?... Myśl była tak głupia, że się roześmiałem, i wróciłem chodnikiem do eskalatora. Ale w dwa tygodnie potem byłem tam znowu, obejrzałem drzwi i teren naokoło. Pusto tu było, same magazyny, nikt nie mieszkał ani nie bywał. Ja mogłem, automat dozoru wpuszczał mnie bez sprzeciwu, jako pracownika grupy AX-8. A więc obejrzałem drzwi i okolicę i odszedłem. Wróciłem – już po pracy – z mechanoautomatem. Poleciałem mu otworzyć. Zdjął sztaby, potem długo manipulował przy zamku. Aż w końcu pociągnął drzwi – uchyliły się, początkowo opornie, potem zupełnie lekko.

Jon przerwał opowiadanie, sięgnął po szklanekę z organgitem.

– Zaschło mi w gardle – powiedział uśmiechając się lekko. – A teraz będzie chyba najtrudniejsza część mojej relacji.

– Czemu? – zainteresował się doktor.

– Bo trudno albo nawet niemożliwe jest opisać takie uczucia.

Ekran na chwilę mignął bielą, zaczerniały słowa: *Uwaga lekarza – Niewątpliwie inteligentny osobnik. Przypadek wyjątkowo interesujący.*

– A więc drzwi otwarte, można było iść. Albo tylko wyjrzeć. Bardzo chciałem to zrobić, ale po prostu bałem się, bałem się tak, że mi zęby dzwoniły. Stałem długo, aż w końcu ciekawość przeważyła, wyszedłem na próg. Na próg Miasta. Krok – a byłbym poza kopułą. Ale nie chciałem i nie mogłem go zrobić. Wystarczyło mi stać na progu. To było – jakby to określić? – nieporównywalne z niczym. Nieskończona przestrzeń. Nawet D-holowizortego nie odtworzy. Blask słońca, zapach, jakiego my nie znamy. To chyba tak pachną zioła czy też krzewy albo wszystko razem. I podmuchy lekkiego wiatru...

– Wiatru? – spytał lekarz. – Co to takiego?

– A prawda, przepraszam, doktorze, nie jesteś przecież historykiem! Otóż wiatr to ruch powietrza, taki, jak powodowany przez wentylator, ale nieregulamy w czasie, o różnej mocy: od lekkiego, ledwo wyczuwalnego, do huraganu wyrywającego drzewa. Taki oczywiście zdarza się bardzo rzadko.

– Spotkałeś się z takim... huraganem?

– Nie, dotychczas nie i nie chciałbym. To niebezpieczne, można zginąć.

Uwaga lekarza – Naturalny, zdrowy punkt widzenia.

– Ale odbiegłem od tematu. Więc stałem w progu, zdumiony, zachwycony i wystraszony. Tak, to wszystko – przestrzeń bez miary i końca, krzewy i drzewa, rozmaite zapachy, wiatr, słońce – zachwycało mnie. Ale też było tego nieco za wiele. Pewno dlatego się bałem. Stałem długo, a potem nagle uciekłem do wnętrza, do Miasta. Ale po chwili, ochłonawszy, wróciłem i znowu stałem, patrzyłem, słuchałem...

– Co słyszałeś ?

– Rozmaite dźwięki: szum, lekki szum wiatru w liściach i trawie, i szum Miasta za plecami, świergot ptaków...

– Świergot?... Ptaków?...

– Przepraszam, znowu użyłem niezrozumiałych określeń. Ptaki to latające kręgowce.

– Prawda! – zawołał doktor. – I to ja, lekarz, nie pamiętałem!

– Nie spotykasz ich, doktorze, więc nie pamiętasz. A świergot czy też śpiew to ich... można by tak powiedzieć – mowa.

– Miła dla ucha?

– Rozmaicie, różne ptaki wydają różne dźwięki, miłe albo nie. Ale wtedy, pierwszy raz – to było bardzo miłe i niezwykle. Stałem i stałem, słuchałem, patrzyłem, a czas płynął, aż w końcu słońce zaszło, zaczęło się ściemniać. Wtedy dopiero wróciłem do Miasta, rozkazawszy automatowi zamknąć drzwi. Wróciłem do mieszkania, zjadłem, co zostało z kolacji, i położyłem się. Byłem tak zmęczony niezwykleymi wrażeniami, że usnąłem kamiennym snem, bez pomocy alfa-snu.

Jon zamyślił się na chwilę i dorzucił:

– Opowiedziałem, jak potrafiłem. Fakty zgadzają się, ale to, co czułem... Tego nie oddaje moje opowiadanie. Wyszło blado, niezgrabnie, bezbarwnie.

– Byłeś jeszcze później tam, w drzwiach? – zapytał doktor.

– O, tak, ale nie od razu. Musiałem najpierw uporządkować jakoś to wszystko, oswoić się z natłokiem wrażeń. Ale za parę dni poszedłem, znowu stałem i chłonałem całym sobą ten nowy, inny świat. A potem nakazałem mechanoautomatowi dorobić klucze do zamka i do sztab. Zrobił to oczywiście i odtąd nie musiałem brać go ze sobą.

– To znaczy, że chodziłeś tam jeszcze później?

– Tak, wiele razy, o różnych porach dnia. Widziałem rozmaite rzeczy: wschód słońca, południowy blask, chmury płynące po niebie, ptaki w locie, raz nawet jakieś zwierzę, chyba to był zając. Skakał sobie i jadł trawę.

Doktor poruszył się niespokojnie.

– Będę musiał popytać encyklopedię. Tyle nowych pojęć, już się trochę w nich gubię...

– Przepraszam jeszcze raz, doktorze, ale każdą rzecz trzeba jakoś nazwać, więc najlepiej jej własną nazwą. Dla mnie też było tam mnóstwo nowości mimo mojego hobby – historii.

– Na przykład?

– Wiatr. To było zupełnie nowe, długo nie mogłem pojąć, co to jest, dopiero po dłuższym wypytywaniu encyklopedii znalazłem informację.

– Hm, tak... A potem, zdaje się, wyszedłeś dalej?

– Stanie w drzwiach już mi nie wystarczało. Najpierw odszedłem od nich na kilka metrów, później odchodziłem coraz dalej, ale zawsze tak, aby je widzieć. Przy kopule ziemia była pokryta betonoidem, potem były kamyki...

– Kamyki?

– Drobne kawałki pokruszonej skały. Otóż one chrupały i zgrzytały, gdy szedłem po nich. Dziwny dźwięk. A potem była trawa, wysoka, gęsta trawa. Stopy zanurzały się w niej, ugiwała się miękko i delikatnie. Pamiętam, raz wyszedłem nieco dalej i usiadłem na kamieniu, za niewielkim, gęstym krzakiem. Było to przed południem, więc słońce stało dość wysoko i grzało mocno. Wiatr szeleścił, chwiały się liście, trawa falowała. Na gałęzi drzewa, niedaleko ode mnie, siedział żółty ptaszek, wiercił się zabawnie i ćwierkał, jakby mnie wołał. Przypatrywałem mu się i było mi dziwnie dobrze, jeszcze nigdy nie było mi tak dobrze. A potem wróciłem do Miasta i zamknąłem za sobą drzwi. Wtedy zrobiło mi się przykro – porzucałem coś pięknego i niezwykłego. W Mieście stale jest ciasno, jest hałas i zaduch. Nie czujemy tego, bo przywykliśmy. Ale wystarczy pobyc trochę tam, gdzie panują cisza i przestrzeń, i wrócić, a wtedy każdy poczuje. Nasze światło też nie jest tak przyjemne jak słoneczne.

– Zdaje się, że potem poszedłeś jeszcze dalej ?

– Tak. Chciałem zobaczyć więcej i poszedłem znacznie dalej. Ale to już wymagało pewnych przygotowań: musiałem mieć wolny dzień, należało wziąć ze sobą żywność, coś do picia, odpowiednie ubranie i broń na wszelki wypadek, a także radio, gdybym potrzebował pomocy.

– Liczyłeś się z tym?

– Tak, oczywiście. Wybierałem się przecież w nie znany mi świat, nie wiedziałem, co mnie spotka. Przyznam się, że znów trochę się bałem, ale mimo to postanowiłem iść. Wyszedłem rano. Za drzwiami zostawiłem mechanoautomat, miał je za mną zamknąć, a potem otworzyć o określonej porze i stanąć w progu, będąc na nasłuchu. Gdybym zgubił drogę, wywołałbym go przez radio i mógłbym wrócić na namiar. Poszedłem przed siebie. To znowu trudne do opisanie, jeszcze trudniejsze niż początek, bo znacznie, bez porównania piękniejsze. Prawie nie czułem lęku, a potem zapomniałem o nim zupełnie. Idąc, starałem się zapamiętać drogę. Widziałem cudowne rzeczy: najrozmaitsze drzewa, każde inne, krzewy, dużo kwiatów o rozmaitych barwach i różnych zapachach. Widziałem ptaki rozmaitej wielkości, latające wysoko pod niebem albo pomiędzy drzewami, słyszałem, jak śpiewają. Zobaczyłem też zwierzę – jakieś takie rude, z długim ogonem, podobne do psa. Przyjrzało mi się, ja jemu – i poszliśmy, każde w swoją stronę.

– Nie obawiałeś się go? Mogło być niebezpieczne.

– Nie wyglądało groźnie, a zresztą miałem laserowy pistolet. Nie wiem, co to za zwierzę, ale wyglądało bardzo ładnie, ruchy też miało zręczne.

– Może to był pies?

– Może. Ale jeżeli pies, to dziwny – psy nie mają takich długich, puszystych ogonów. Szedłem tak przed siebie, aż doszedłem do rzeki. Wyglądała pięknie – szeroka, potężna, błyszcząca w słońcu, pachnąca wilgocia, bez przerwy płynąca przed siebie. Stałem tam i patrzyłem, jakieś spore ptaki sunęły po wodzie, w wodzie śmigały ryby, trzciny kołysały się przy brzegu... A potem poszedłem wzdłuż rzeki, pod prąd. I trafiłem do lasu.

– Do lasu? Co to takiego?

– Skupisko drzew rosnących gęsto, jedno przy drugim. No, więc tam, pod lasem, zatrzymałem się – byłem głodny. Przygotowałem sobie obiad, a potem położyłem się na trawie. Leżałem, słońce grzało, las pachniał i szumiał, jakby coś opowiadał, jakby mnie zapraszał do siebie. Usłuchałem po jakimś czasie – zabrałem swoje rzeczy i poszedłem. Tu było inaczej niż na otwartej przestrzeni. Znacznie chłodniej, gałęzie zasłaniały słońce, było jakoś, można

powiedzieć, uroczyście. A pachniało! Chyba nigdzie indziej tak nie pachnie – aromatem nie znanym mi zupełnie. Szedłem lasem wzdłuż rzeki, a potem skręciłem na niedużą piaszczystą dolinkę. Nagle opanowało mnie pragnienie, żeby się położyć na piasku. Był taki żółty, czysty, wygrzany. Położyłem się i leżałem długo, porządkując wrażenia, czując gorące promienie słońca, a las wokół mnie pachniał i szumiał, owady brzęczały... Czy pamiętasz, doktorze, swoją pierwszą miłość?

Ratnalingam poruszył się.

– Pewno, że pamiętam, przecież nie jestem jeszcze taki stary! Ale co to ma do rzeczy?

– Przepraszam, nie chciałem cię urazić. Otóż przypomnij sobie. Potrafiłbyś to ująć w słowa? Tak, aby nic nie stracić, aby oddać w pełni, co czułeś?

– Nie... – powiedział doktor po chwili. – Nie potrafiłbym. Fakty tak, a reszta...

Pamiętam, ale nie powiem. Nie uda się.

– Właśnie. Tak samo ja nie potrafię opowiedzieć, jaki byłem szczęśliwy wtedy. W ogóle nie podejrzewałem, że może tak być.

Uwaga lekarza – Logiczne ujęcie nielogicznych, nonsensownych uczuć.

– Potem, dobrze już po południu, wróciłem. Rzeka wyprowadziła mnie z lasu, w odległości kilku kilometrów widać było Miasto. Owszem, z daleka wygląda imponująco: olbrzymia elipsoida o pięknym kształcie. Skierowałem się wprost ku niej i znalazłem swoje drzwi. Były otwarte, automat stał, tak jak mu nakazałem. Potem wychodziłem jeszcze kilka razy; sporo widziałem, było mi dobrze, choć niemiłe incydenty też bywały. Ot, na przykład raz padał deszcz, zmokłem wtedy zupełnie.

– Deszcz?

– Krople wody spadające z chmur.

– Prawda, uczyli nas tego w szkole, ale zapomniałem.

– Ja też zapomniałem i dlatego zmokłem. Ale to mi jakoś nie zaszkodziło. A później, cóż, dowiedziano się o moich wyprawach i poproszono mnie, abym się do ciebie zgłosił. A dalej – sam wiesz.

Ekran wideorekordera pojaśniał, zaczerniał napis: *Uwaga lekarza – Podsumowanie...*

Orofiew wyłączył aparat i zamyślił się głęboko. Przypadek był naprawdę niezwykle, bardzo interesujący.

Wreszcie profesor podszedł do informu.

- Informacja dla doktora Ratnalingama – powiedział. – Przekazuję moją opinię.

Zapoznałem się dokładnie z dokumentacją. Ja także uważam, że Jon Enderson jest zdrowy i nie potrzebuje pomocy lekarskiej. Ma co prawda bardzo dziwaczne i niezwykle upodobania, ale to nie wymaga leczenia. Jego wyprawy poza Miasto nikomu nie szkodzą, najwyżej jemu samemu. Tak niezwykle odporność psychiczna stanowi wyjątek, nigdy nie słyszałem, aby ktoś wyszedł poza Miasto z własnej woli, a co więcej – dla przyjemności. Sądzę jednak, że to prywatna sprawa Endersona.

Jeden korytarz, drugi, eskalator, winda, znów korytarz, znowu eskalator, pośpieszny chodnik... Wszędzie sztuczne światło, klimatyzacja, kierunkowskazy, co kilometr wszechwiedzący inform, który powiadamia o wszystkim – od spraw politycznych do punktów docelowych danego chodnika. Wszędzie ludzie, tłumy ludzi spieszących gdzieś lub wracających. I hałas, potworny, nigdy nie milknący hałas Miasta.

Jon stęsknił się za domem, przecież długo był na obserwacji w szpitalu. Spieszył się, chciał jak najprędzej dotrzeć do rodziny. Ale za dzień lub dwa znowu pójdzie poza Miasto! Zostawi to gigantyczne, doskonale zorganizowane mrowisko, odetchnie swobodnie szeroką

przestrzenia.

Pora wracać... Szkoda, tak było pięknie. Jon wstał, założył plecak i ruszył przed siebie długim lekkim krokiem. Tak nie chodzą mieszkańcy Miasta – niedawno to zauważył. Cóż, oni w ogóle niewiele chodzą, a dla niego kilkukilometrowe marsze były zwykłą rzeczą.

W drzwiach Miasta jak zwykle stał robot, prowadząc nasłuch. Na widok Jona cofnął się.

– Erg-13, zamknij drzwi i wracaj! – polecił Jon.

– Tak! – odrzekł mechanoautomat. Po chwili dodał: – Wiadomość od pana

Ratnalingama.

– Odtwórz! – Jon przystanął.

– Witaj! – odezwał się głos doktora. – Jeżeli znajdziesz chwilę czasu, złóż mi telewizytę.

To nic pilnego, ale byłbym rad.

Brzęknięcie oznajmiło koniec zapisu.

– Erg-13, wykonaj poprzednie polecenie! – rzekł Jon i poszedł dalej.

Robot przystąpił do zamykania drzwi.

– Witaj, doktorze! Chciałeś mnie widzieć, więc jestem – powiedział, gdy naprzeciw niego pojawił się doktor Ratnalingam.

– Właściwie nie mam do ciebie żadnej sprawy, chciałem tylko wiedzieć, jak się czujesz?

Jon uśmiechnął się.

– To znaczy, czy dalej wychodzę za Miasto?

– Hm, no... – doktor zmieszał się nieco. – Właściwie tak.

– Owszem, wychodzę. Zresztą wiesz o tym, bo łączyłeś się z moim stróżem, z Ergiem.

– I dalej sprawia ci to przyjemność?

– Oczywiście, inaczej nie wychodziłbym.

Doktor westchnął.

– Niestety, nie rozumiem, co w tym miłego...

– A może spróbujesz, doktorze? Bardzo chętnie posłużę ci za przewodnika!

– Nie, nie! – sprzeciwił się lekarz. – Pięknie dziękuję, ale nie, za żadną cenę!

Wspominając nazajutrz tę rozmowę, doktor nagle pomyślał: „A może... może rzeczywiście spróbować? Choćby raz...”

Wiedział jednak, że nigdy tego nie zrobi. Nie dla niego takie dziwaczne pomysły. Przecież jest normalny. Jak wszyscy inni mieszkańcy Miasta.

Sławomir Swerpel

Jeden Ostatnich

Z trudem otworzył oczy. Przeraziła jasność zakłuła tysiącami igieł gdzieś pod skroniami. Jak kilkutonowe sztaby powieki opadły z powrotem.

Ciało było równie ciężkie. Wydawało mu się, że łóżko, na którym leżał, nie wytrzyma, rozleci się w obie strony, a on spadnie w dół i będzie tak spadał i spadał, a żadna siła, żadna płaszczyzna materialna nie zatrzyma tego zwielokrotnionego działania grawitacji.

Nic takiego nie nastąpiło. Dalej leżał w tym samym miejscu, a nieskalaną ciszę wnętrza przerywał tylko jego świszczący oddech; serce uderzało powoli, lecz z siłą, która rozrywała klatkę piersiową, łamała żebra. Czuł, jak przy każdym uderzeniu bębni w uszach pękają – przez mózg przewalał się wówczas paraliżujący ciału grzmot. Później wszystko zamierało na ułamek sekundy. Powtórne uderzenie pchało serce do mózgu, szum w uszach wzrastał się, ból głowy osiągał poziom krytyczny, czaszka pęczyła...

Jego ręce zacisnęły się na przykryciu. Dłużej nie wytrzyma, podniesie powieki – niech się dzieje, co chce!

Całą siłę, jaką posiadał, skupił w jednym, jedynym ruchu – ruchu, dzięki któremu jego ciało przyjęło pozycję siedzącą. Zawrót głowy, potężne uderzenie pod czaszką... Uniósł powieki. I znowu ta oślepiająca jasność, która poraziła jego źrenice przedtem. Opadł zły na posłanie. Przed sobą, a właściwie dookoła siebie miał jasne ściany. Wszystko było zamazane, jak gdyby po jego gałkach ocznych płynęły krople cieczy. Rozróżnił jeszcze jakieś postacie, które – tak przynajmniej wydawało mu się – pochylały się nad nim. Naszły go mdłości, zawroty wzmożyły się. Z trudem, ostrożnie odwrócił głowę. I wtedy ujrzał rozsuwającą się ścianę i wyłaniającą się z ciemności postać. „Nie, to nie może być On” – pomyślał. Postać zbliżała się powoli. Postać z twarzą Drugiego. Z twarzą Mara. Poderwał się na posłaniu. Czyjeś ręce przytrzymały go łagodnie, ale odczuł to jak szarpnięcie.

– Mar?! – krzyknął.

Zakręciło mu się w głowie, opadł z powrotem, wszystko zawirowało dookoła...

Zwiadowczy lot galaktyczny trwał. Ciągłe jeszcze szukali, ciągle mieli nadzieję, że znajdą chociaż jakiś ślad. Był wtedy małym chłopcem, a jednak pamiętał start tamtych ludzi.

– Masz sygnały? – Pytanie wyrwało go ze stanu zamyślenia.

Drugi Pilot, Mar, cicho wszedł do sterówki. Zawsze tak wchodził. I to samo pytanie za każdym razem padało z jego ust. Adon przyzwyczaił się do tego. Ale czuł podświadomie, że Mar nie mówi tego automatycznie, jak ci z Formacji.

Nieraz podczas lotu zastanawiał się, stale go to dręczyło: kim jest Mar? Czy należy do Formacji, czy też do jego gatunku? A może jest jakąś formą przejściową?

– Cisza. Jak dotychczas, od dwóch miesięcy, tylko cisza – odpowiedział.

Mar usiadł przy pulpicie.

– Dawniej odbieraliśmy sygnały, co prawda nie rozszyfrowane, przez Analizator. Teraz i on milczy. Nic i nic.

– Przynajmniej nie szczeka. Kiedy cztery miesiące temu odebraliśmy fale, to wyrzucał z siebie dane jak opętany – skwitował Mar jego wypowiedź. Był wyraźnie rozdrażniony. – Niezbyt

dobrze się czuję – dodał – ale to przejdzie. Smutno mi, gdy to pudło milczy. Nawet my zamykamy się w tym czasie bardziej w sobie.

„Myśli jak człowiek, a działa jak ktoś z Formacji” – rozważał patrząc na Mara. Podeszedł bliżej i oparł się o fotel, na którym tamten siedział. Sympatia, jaką darzył Drugiego Pilota, wynikała widocznie z tego, że dostrzegał w nim ludzkie odruchy, właściwe jego własnemu gatunkowi. Mimo precyzyjności działania w słowach Mara wyczuwał czasami nutę filozoficznej zadumy. A poza tym ta chęć odkrycia NOWEGO – podświadome, psychiczne dążenie...

Zatopiony w rozmyślaniach – przez dłuższy czas nie mógł uchwycić źródła informacji, która od pewnego momentu zaczęła nękać jego umysł. Spojrzał uważniej na opis trasy lotu. Niemożliwe! Skorygowana teraz przez Mara obejmowała pogranicze Strefy Zakazanej. Czyżby Mar zamierzał spenetrować jeszcze przestrzeń Altaira? Mieli przecież już wracać w kierunku Ziemi.

On sam zresztą wolał pozostać jak najdłużej w przestrzeni. Być samotnym na Ziemi wśród gromady istot żyjących czy być samotnym tutaj? Zawsze wybierał to drugie. Przynajmniej ostatnio, od kiedy zrozumiał, że nic nie powstrzyma procesu wyginięcia tych, do których i on się zaliczał. Ta, która kiedyś była planetą ludzi – przestawała nią być. A właściwie już przestała. Kochana, stara Ziemia...

Włączył wizjer. Ekran rozbłysł migotliwym blaskiem i ściemniał; ot Orla zawieszona w kosmicznej próżni była przed nimi. Lecz jeszcze bliżej rozpościerało się niewidoczne pasmo promieniowania Hooleya. Odkryte w 2078 roku fale impulsywne tylko częściowo wyjaśniły właściwości tego promieniowania. Jak dotychczas wiadome było jedynie to, że polem ataku promieni Hooleya – w przypadku organizmów żywych – były komórki kory mózgowej. Dlaczego tak się działo? Istniały na ten temat różne kontrowersyjne hipotezy, z których każda miała słabe punkty.

W jednym zgadzały się ze sobą. U niektórych organizmów promieniowanie to może powodować śmierć. W związku z tym Rada Formacji wydała zakaz penetrowania określonych obszarów przestrzeni. A teraz, i to z inicjatywy Mara, zamierzali ten zakaz złamać. Uśmiechnął się. Szczęście wracało. Był w takich chwilach szczęśliwy. Szukał NOWEGO. Uśmiechnął się znowu. Mar odpowiedział mu tym samym. Jak gdyby się zrozumieli; jak gdyby...

– Pójdę odpocząć – Adon wstał i ruszył w kierunku drzwi. – A gdy będziemy przy Strefie, wywołaj mnie, dobrze?

Obudził się? Na to pytanie nie umiał sobie odpowiedzieć. Leżał bez ruchu, ze wzrokiem utkwionym w ścianę kabiny. Po pewnej chwili miał już niejaką nadzieję, że świat powraca do normy – wszelkie bodźce zewnętrzne zaczęły dochodzić do niego w normalnym wymiarze i stanie. A jeszcze przed godziną... Nie, nie mógł nawet określić czasu, kiedy to się stało, kiedy się zaczęło, w którym momencie zniknęło i powtarzało się w innej formie.

Wszystko, co znajdowało się w pobliżu czy w oddali, widoczne czy niewidoczne, przybierało nierealne formy.

Ściany kabiny tworzyły orgię barw. Różnokolorowe plamy przesuwają się po nieokreślonych powierzchniach, które niejednokrotnie przecinały płaszczyzny ścian, niesamowicie zmieniając wygląd pomieszczenia. Owe wybrzuszenia i wklęsnięcia pękały w zwolnionym tempie – w rozdarciu pojawiała się głęboka czerń. Wszystko zniknęło, a on przesunął się w jakiejś próżni, nie odbierając wizualnie nawet obrazu własnego ciała – wzrok był pusty, płynął w NIC. Jednak czuł, że jest, że istnieje, przesunął się, wykonuje ruchy. Potem nawet czucie zniknęło; przez nieokreślony czas tracił świadomość i... wszystko zaczynało się na nowo.

W pewnym momencie siła tych wszystkich imaginacji zmalała. Potem ustały całkowicie.

Po chwili przekonał się, że omamy wzrokowe przestały go nachodzić, percypował normalnie. Dopiero teraz do jego świadomości zaczęło docierać brzęczenie. Cichy, nerwowy sygnał urządzenia alarmowego. Zdał sobie nagle sprawę, że przez cały ten czas jego słuch był wyłączony. Obecnie także i ten zmysł wracał do równowagi. Dźwięk wibrował w mózgu. „Ale jak długo to trwa?” – pomyślał. Podniósł rękę, nacisnął przycisk wywoławczy. Potem przemówił do mikrofonu:

– Mar! Halo, Mar! Co się dzieje?!

Cisza.

– Mar, do licha! Co jest...

Dalsze wołanie nie miało sensu. Musiał zwlec się z łóżka, pójść do nawigatorni. Nie wiedział, jak to zrobi. Ale musiał.

Stanął na podłodze. Głowę miał jak z ołowiu. Przy pierwszych krokach był niemal przekonany, że środek ciężkości jego ciała znajduje się gdzieś między skroniami.

Poczuł mdłości. Potworne torsje rzuciły go przy umywalce na kolana.

Wreszcie przemógł się. Wstał, odsunął drzwi i wyszedł. Obijając się o ściany korytarza, dążył w kierunku nawigatorni. Ze wszystkich pomieszczeń dobywało się brzęczenie dzwonek. Dotarł do schodów, wszedł na górę. Całym ciałem naparł na przycisk, który rozsuwał drzwi. Trzymając się rękami ściany, rozejrzał się po kabinie. Zaskoczył go ład, jaki tu panował. Spodziewał się przecież najgorszego. Szukał oczami Mara. „Jest! Tam, na fotelu, obrócony tyłem! Siedzi, jak gdyby nigdy nic!” Zebrał siły i podszedł bliżej. Otrzeźwiał od razu na widok jego rozszerzonych źrenic, sonej twarzy z lekko rozchylonymi wargami, przez które nie dobywał się żaden dźwięk. Chwycił za przegub dłoni. Nie wyczuł nic. Zapomniał o dolegliwościach, o bólu. Podbiegł do szafy sanitarnej. Reanimator, tlen, elektrody! Rozłożył fotel. Mar leżał teraz. Zamocował przyrządy, włączył. Wyregulował siłę nacisku urządzenia masującego, częstotliwość przetłaczania tlenu, natężenie i okres impulsów pobudzających.

Mijał czas. Skupiony, z oczyma utkwionymi we wskaźniki, coraz bardziej zdawał sobie sprawę z beznadziejności sytuacji. Przegrał. Ręka bezwiednie powędrowała do wyłącznika, kciukiem nacisnął go w dół. Zaległa cisza. Oparł łokcie na pulpicie. Splótł dłonie.

To koniec. Mar już nie jest żywą istotą, z którą był przez tyle lat związany. Jest tylko bezwładną masą.

Naszły go wspomnienia.

Był to czas, gdy zażarcie pisał publikacje > przemianach w społeczeństwie. Negował wszelkie posunięcia, które układały świat ludzi w schemat. Na próżno. Planowanie społeczeństwa było modne. O tak, bardzo modne – było faktem! W związku z niezwykle bujnym rozkwitem nauk medycznych i biologicznych osiągnęliśmy stadium, w którym narodziny człowieka mogły być dokonywane w laboratorium. Mało tego! Posunęliśmy się dalej! Wykorzystaliśmy możliwość tworzenia istot ze specjalnymi zdolnościami. I nadszedł czas, że istoty z próbek zaczęły dalszą swoją reprodukcję. W końcu stały się klasą rządzącą. Stworzyły SYSTEM. System, w którym każdy miał swoje miejsce z góry wyznaczone. O nie! Nie każdy. Nie mieścił się w sztywnych ramach Formacji stary ludzki gatunek. Ale ginął. Powoli, systematycznie ginął. Homo sapiens stawał się swoistym endemitem.

On należał do tych resztek. Gdy zdał sobie sprawę, że sytuacja jest beznadziejna, zaczął szukać ucieczki. Wówczas już na stałe związał się z Marem. Mar pracował wtedy na kosmodromie jako pilot pojazdów planetarnych. Dzięki niemu Adon wstąpił do Szkoły Pilotów, skończył ją i zaczął latać. Z czasem on i Mar mieli na swoim koncie najwięcej lotów. Potem nastąpiła ta wyprawa. Pierwsza wielka dla niego. I ostatnia dla Mara. Jego organizm nie przetrzymał promieniowania Hooleya.

Ocknął się. Musi coś zrobić. Musi. Nie może tak siedzieć w odrętwieniu. Podeszedł do pulpitu nawigacyjnego. Pojazd galaktyczny, nie kontrolowany od dłuższego czasu przez Drugiego Pilotą, sterowany był automatycznie przez aparaturę nawigacyjną. Ujął stery.

Postanowił. Polecą dalej. Zaryzykuje. Nie wróci na Ziemię. Przynajmniej jeszcze nie teraz.

A Mar? Urządzi mu pogrzeb tutaj. Drugi Pilot na pewno nie zechciałby inaczej. Kochał przecież Przestrzeń.

Nie zastanawiając się dłużej, wyciągnął pojemnik, włożył do niego ciało, zamknął i przyciągnął do luku. Chwilę stał nieruchomo, jakby oddając hołd, potem wgniół przycisk. Olbrzymia ampułka z przezroczystego fleksirsenu zniknęła w luku. Podeszedł do bocznego pulpitu i włączył kamery zewnętrzne. Na ekranie widział teraz oddalającą się od statku małą plamkę. Patrzył w ekran, czekając, aż ona zniknie, gdy nagle wzrok jego zatrzymał się na odległym punkcie z prawej strony ekranu. Planeta? Ale jaka? Podeszedł szybkim krokiem do pulpitu nawigacyjnego. Trasa lotu nie obejmowała swoim zasięgiem żadnego układu planetarnego. A więc może to jest ta szansa?

Zdecydowanie ujął stery. Fotonowe silniki pracowały bez zarzutu. Skierował statek ku odległemu punktowi.

Nagle poczuł, że z jego zmysłami dzieje się coś dziwnego. Następna strefa promieniowania? Po chwili znowu się zaczęło. Nawet nie czuł, kiedy stracił przytomność.

Siedział wygodnie w fotelu i popijał drobnymi łykami słodki, gorący napój. Skończył właśnie opowiadać niedawne, tragiczne wydarzenia. Spojrzał na stolik, a potem podniósł wzrok.

– Od jak dawna znajdujecie się tutaj, doktorze Robins?

Starszy, brodaty mężczyzna w okularach, o lekko posiwiałych włosach, nie od razu odpowiedział. Siedział chwilę w zamyśleniu. Potem spojrział na Adona i zaczął opowiadać. O tym, jak wystartowali z Ziemi, jak po pomiarach prowadzonych w słonecznym układzie planetarnym polecieli penetrować dalsze przestrzenie Galaktyki.

O przemianach w strukturze społeczeństwa wiedzieli dzięki łączności galaktycznej. Początkowo pragnęli wracać. Potem natknęli się na tę planetę. Warunki do życia były idealne. Postanowili tutaj zostać, osiedlić się. Łączność ze starym globem przerwali wcześniej. Dlatego uznano ich za zaginionych. A planetę nazwali Ziemia. Nie postawili nawet numeru: dwa. Po prostu – Ziemia.

Adon poruszył się. Sięgnął po kubek. Wspaniały napój. Piłby tak bez końca.

– A jak natknęliście się na mnie? – zwrócił się znów do doktora Robinsa.

– To nasz patrolowy pojazd planetarny wypatrzył was na ekranie. Szybowaliście w przestrzeni z wyłączonymi silnikami fotonowymi. Pilot przeszedł na wasz statek. Leżałeś nieprzytomny, kurczowo ściskając dźwignię. Jeszcze dzień, dwa... Mogło skończyć się tragicznie.

– Dla Mara skończyło się i tak tragicznie – wyszeptał Adon. – Nie wrócił już nawet na tamtą Ziemię.

Doktor Robins pokiwał głową.

– Nie miałby po co wracać. Na starej planecie czas płynie inaczej niż w trakcie lotu, a nawet tutaj. Tam już teraz znów inna epoka, inne społeczeństwo...

Andrzej Staff

Kiedy Gwiazda Umiera...

Kiedy Christopher wysiadł z windy, uśmiechnięta Vivien czekała na niego w uchylonych drzwiach mieszkania. Ale nawet ten zupełnie nieoczekiwany fakt nie rozjaśnił jego posępnej twarzy. Pocałował ją z roztargnieniem, nie patrząc na nią, przytłoczony widocznie czymś niezwykłym, skoro stracił humor, który nie opuszczał go dotąd w najtrudniejszych nawet sytuacjach.

– Chris... – była to raczej zachęta do rozmowy niż początek konkretnego pytania.

– Co, kochanie? – odpowiedział pytaniem, którego ton świadczył o nastroju nie sprzyjającym raczej rozmowie.

Dopiero podczas obiadu powiedział:

– A jednak zgasła.

I dodał zaraz tonem usprawiedliwienia:

– Wiem, że to nierozsądne tak się przejmować zjawiskiem zupełnie niezależnym od nas, odległym w czasie i przestrzeni.

Vivien patrzyła na niego spokojnie, zdawałoby się bez najmniejszego zainteresowania, ale jej spokój działał jak zachęta do mówienia.

– Wspominałem ci już o tym wielokrotnie. Ta gwiazda zwróciła uwagę astronomów kilkanaście lat temu z powodu niezwykle szybkich jak na skalę kosmiczną, interesujących przemian. Podczas opracowywania jej modelu matematycznego stwierdzono, że w stosunkowo bliskiej przyszłości powinna przejść cykl przemian zmierzających do przestawienia produkcji energii na inny typ reakcji termojądrowych. Równocześnie jednak nie towarzyszyły temu objawy uważane dotychczas za typowe w podobnych sytuacjach. Była to dla nauki okazja wręcz niezwykła. Oprócz naszego obserwatorium zajmowało się tym problemem kilka innych rozrzuconych po całym świecie. Nikt jednak nie przypuszczał, że gwiazda może po prostu zgasnąć. Nagle, jak zdmuchnięta świeca. Nie przewidywała tego żadna z licznych opracowanych ostatnio hipotez.

Vivien bez słowa podsunęła w jego kierunku talerz z drugim daniem. Przełknął kilka kęsów.

– To, co się stało, było nie tylko interesującym zjawiskiem astronomicznym, ale i bodźcem psychicznym dla tych, którzy byli zaangażowani w jego badanie. Widzisz, Kosmos, gwiazdy – to dla większości ludzi coś wiecznego, trwałego, nieskończonego. Czy pamiętasz, dla ilu poetów gwiazdy były niemymi świadkami wzlotów i upadków człowieka, jego szaleństw i zwycięstw, czymś obcym, obojętnym na bieg tego życia, które zakiełkowało gdzieś tam, na peryferiach jednej z galaktyk? Przecież kiedyś temat ten tak ciebie pasjonował, że myślałaś o antologii poezji o gwiazdach. Cefeidy, gwiazdy nowe i supernowe, wybuchające galaktyki, kwazary – to dla nas, naukowców, tylko niezwykle interesujące obiekty badań. A nieoczekiwane zgaśnięcie jednej gwiazdy, może przez swoje podobieństwo do śmierci, nagle stało się nieobojętne emocjonalnie. Jeszcze wczorajszej nocy obserwowaliśmy tę gwiazdę, a dzisiaj nie można było jej odnaleźć na niebie. Ani śladów eksplozji, ani świecącego obłoku materii gwiazdowej, po prostu nic, tak jakby nigdy jej nie było.

I tylko najgorliwsi czytelnicy gazet odnajdą za kilka dni notatkę na dwudziestej stronie:

„Ostatnio astronomowie obserwowali bardzo ciekawe zjawisko. Wbrew hipotezom wysuniętym przez najwybitniejszych specjalistów – w gwiazdozbiornie Wężownika zgasła gwiazda...”

Christopher przerwał monolog i, jakby odprężony po wypowiedzeniu nurtujących go myśli, dopiero teraz spojrzął na Vivien.

– Kocham cię. – Jej słowa wypełniły nieoczekiwanie ciszę. – Kocham cię właśnie za to, że jesteś taki, jaki jesteś. Nie lubię mędrców rozpatrujących sprawę tego świata z grymasem samozadowolenia na twarzy i nie ustających w czczych wysiłkach zamknięcia w matematycznej formule nawet tych zjawisk, które najmniej się do tego nadają.

– Vivien... – Uśmiechnął się zmieszany trochę nieoczekiwanym zakończeniem rozmowy i zamknął jej drobne dłonie w swoich.

Później, jak to było w ich zwyczaju, zabrali się za przeglądanie korespondencji, jaka nadeszła w ciągu tych kilku dni, kiedy Christopher przebywał w obserwatorium. Chris zagłębił się w fotelu, Vivien przyniosła kawę i przysiadła obok niego.

Zapowiedzi wydawnicze, reklama nowego czasopisma, nadbitki z „Astronomical Review”, list od Kubarcica... Następna przesyłka miała wyraźnie prywatny charakter. Wyjął z koperty zielony arkusik.

Szanowny Panie!

Jestem studentką Wydziału Filologicznego. Temat pracy dyplomowej, nad którą właśnie pracuję, brzmi: „Twórczość fantastyczno-naukowa Christophera Downe’a jako eksperyment filozoficzny”...

Dalej list zawierał prośbę o konsultacje. Spojrzął na Vivien.

– Co mi radzisz?

– Wyrazić zgodę oczywiście, i to bez zwłoki.

– Czy rzeczywiście warto zajmować się tymi kilkoma książkami, które napisałem?

– Skoro zdecydowałeś się pisać, wyraziłeś tym samym zgodę na zajmowanie się twoją twórczością i... tobą.

– Chyba nie będziesz zazdrosna? – zażartował.

– Wyobraź sobie, że nie.

I roześmieli się oboje.

Do rozmowy o gwieździe powrócili wieczorem.

– Chris, jeżeli tak mocno to przeżywasz, napisz opowiadanie o zgaśnięciu gwiazdy.

Kiedy przelejesz swoje przeżycia na papier, wyzwolisz się od nich. A zresztą pomyśl. Cóż nam po jednej gwieździe. Na niebie wcale ich nie ubyło. Ważne jest to, że my istniejemy: ty i ja, i że jesteśmy szczęśliwi.

– Ty domorośły psychologu! – zażartował, ale Vivien wyczuła, że w jego głosie nie ma dawnej, spontanicznej wesołości. – Co ja bym bez ciebie robił?

– Na szczęście jestem, bo spotkałeś mnie...

– ...wyglądającą jak nieboskie stworzenie, przemoczoną, zabłoconą...

– Nie możesz tego zapomnieć?

– ...na bocznej drodze prowadzącej do obserwatorium, które wybrałaś się zwiedzać.

– A ty byłeś tak uprzejmy, że odwoziłeś mnie samochodem do miasta. Ponieważ żałowałam, że nie udało mi się obejrzeć obserwatorium z bliska, obiecałeś, że zabierzesz mnie tam kiedyś. I tak się zaczęła nasza znajomość.

Vivien z uporem wróciła do swojego pomysłu.

– Zastanów się, jaką interesującą fabułę można by stworzyć wokół motywu zgaśnięcia gwiazdy.

Spojrzał na nią zamyślony.

– Czemu ty sama nie napiszesz tego opowiadania? Przecież i tak zawsze podpowiadasz mi pomysły i pomagasz wybrnąć z trudnych sytuacji.

– Ty napiszesz to o wiele lepiej – uśmiechnęła się przymilnie. – A teraz posłuchaj:

Na planecie (tu powinieneś wymyślić jakąś ładnie brzmiącą nazwę) okrążającej słońce (tu możesz dać skomplikowane oznaczenie literowo-liczbowe, to zawsze robi wrażenie na czytelniku) istnieje wysoko rozwinięta cywilizacja. Zlikwidowano wszystkie rodzaje niesprawiedliwości, zlikwidowano choroby, zapewniono wszystkim materialny dostatek i dostęp do wiedzy... Sam wiesz zresztą najlepiej, jak autorzy science fiction malują świetlaną przyszłość Ziemi w utopijnych obrazach innych cywilizacji.

Ten niemal idealny porządek społeczny staje nagle w obliczu zagrożenia, któremu przeciwstawić się nie może żadna siła. Astrofizycy dochodzą do przekonania, że ich dotychczasowe hipotezy dotyczące życia gwiazd nie uwzględniały szczególnego zbiegu warunków, które powodują, że gwiazda zamiast przestawić się na inny typ reakcji energetycznej, może po prostu – zgasnąć.

Grozi to w najbliższym czasie ich słońcu.

W tak krytycznej sytuacji Rada Planety postanawia zorganizować ewakuację na planety innych układów. Technika badawcza oparta na analizie pełnego zakresu promieniowania elektromagnetycznego pozwala na wykrycie nawet niesłychanie odległych cywilizacji i ocenę stopnia ich rozwoju. W ten sposób zebrano już wiadomości o wszystkich planetach, na których rozwija się życie, w sąsiednich galaktykach. Ale rezultaty poszukiwań nie są pomyślne.

Wynika z nich, że ich cywilizacja jest najstarsza, przetrwała wszystkie okresy błędów, zawróciła szczęśliwie ze ślepych zaułków, w które wielokrotnie wprowadzały ją zarozumiałość i błędy poprzednich pokoleń, zdobyła olbrzymią samowiedzę, jest jednak właściwie samotna i w formie bezpośredniej nie ma komu przekazać doświadczeń wypracowanych w ciągu tysiącleci. W rejonach Wszechświata, do których pozwala im dotrzeć technika, przyroda zgromadziła wyłącznie ich młodszych braci żyjących jeszcze w okresie braku szacunku dla drugiego człowieka, w okresie zorganizowanych mordów zwanych wojnami. Prowadzą je przy użyciu środków, które im wydają się najpotężniejsze, a których energia stanowi zaledwie znikomy ułamek sił wyzwanych przez zagrożoną cywilizację dla potrzeb naukowych i do napędu statków transgalaktycznych.

Ewakuacja wszystkich mieszkańców planety jest niemożliwa, gdyż w pobliżu nie ma układów planetarnych, które by można w krótkim czasie, nawet przy olbrzymich nakładach, przystosować do życia. Wiedzą o tym doskonale wszyscy.

Rada Planety postanawia więc wysłać do układów planetarnych, w których stwierdzono istnienie istot rozumnych, tylu najbardziej doświadczonych naukowców wszystkich specjalności, ile tylko jest możliwe; wyśle się także filozofów, artystów, pisarzy. Nie chodzi przy tym o ratowanie ich życia, lecz wiedzy i doświadczeń cywilizacji, którą reprezentują.

W doświadczeniach tej cywilizacji znajdują się także wiadomości o kontaktach ze społeczeństwami stojącymi na niższym stopniu rozwoju – są to doświadczenia smutne, skłaniające do szczególnej ostrożności, jeżeli chodzi o przekazywanie własnych wynalazków i osiągnięć. Dlatego zadanie wysłanników polega na nie zauważonym włączeniu się w bieg spraw miejscowej cywilizacji, bez zdradzania prawdziwego poziomu wiedzy, a tym bardziej pochodzenia. Wyznaczono okres próbny. W tym czasie mają oni gruntownie poznać nie tylko materialne osiągnięcia danego społeczeństwa, ale przede wszystkim jego świadomość, stosunek do zagadnień uniwersalnych, filozofię i sztukę, a więc dziedziny najlepiej określające jego wartość.

Sami uczestnicy misji mają zdecydować, czy pozostaną i włączą się w życie nowej cywilizacji, oczywiście nadal w formie utajonej, za cenę zrezygnowania z własnej osobowości przez całkowite upodobnienie się do mieszkańców planety. Gdyby doszli do wniosku, że ich współpraca mogłaby służyć niewłaściwym celom, winni powrócić na ojczystą planetę.

– A ci, którzy pozostaną na planecie okrążającej skazane na zagładę słońce... – przerwał po raz pierwszy jej opowiadanie.

– Odejdą, to będzie koniec ich świata.

– Nie lubię smutnych historii. Nie dlatego, że nie lubią ich czytelnicy, a ja dbam o popularność. Po prostu uważam, że nie należy mnożyć wątpliwości i smutków dobrowolnie, ponad to, co i tak, bez naszej zgody, przynosi nam życie.

– Ale przecież to jest najszlachetniejszy odruch: nie ślepy bunt w obliczu nieuniknionego, lecz troska o ocalenie swoich zdobywczy dla drugich, i to troska rozsądna, starająca się przewidzieć wszelkie możliwe konsekwencje ingerencji w czyjeś losy. Taka właśnie jest prawdziwa dojrzałość cywilizacji. Nie taka, jaką przedstawia się w książkach pełnych naiwnych obrazów kierowania zza biurka losami gwiazd czy historii podboju innych planet, przypominających w najdrobniejszych szczegółach wyprawy wojenne, czy wreszcie bezcelowych rajdów po bezkresnych przestrzeniach Wszechświata. Są to wszystko marzenia człowieka pierwotnego o całkowitym opanowaniu rzeczy, wyłącznie rzeczy...

Ostatnie zdania wypowiedziała z zapalem, jakiego Christopher nigdy jeszcze u niej nie widział.

– Mogłabyś śmiało napisać rozprawę poświęconą filozoficznym i moralnym aspektom kontaktów z innymi cywilizacjami. Ale ja, niestety, nie mogę tego wszystkiego pomieścić w utworze, bo zamieniłbym go w traktat, co się zresztą wielu autorom przede mną zdarzyło. Muszę myśleć o fabule i dopiero przez nią przekazać, a nawet tylko zasugerować to wszystko.

– Potrafisz to zrobić! – W jej głosie nie było śladu wahania.

Roześmiał się ubawiony tym uporem.

– A może jeszcze powiesz mi, jak wysłannicy owej cywilizacji dotarli na poszczególne planety, skoro pozostało tak niewiele czasu, i jak porozumiewają się między sobą przy tak olbrzymich odległościach i konieczności zachowania tajemnicy?

Vivien zamyśliła się. Po chwili podniosła głowę, a jej oczy błysnęły w półmroku.

– Przecież dla autora science fiction to nic trudnego. Wystarczy wynaleźć któryś tam z kolei wymiar, w którym statki kosmiczne mogą poruszać się jeżeli nie z dowolną, to w każdym razie z większą od światła prędkością, i problem dostarczenia uczestników misji do innych układów planetarnych jest już rozwiązany. A jeżeli chodzi o łączność, to zawsze można odkryć nowy rodzaj fal elektromagnetycznych lub nawet zupełnie nowy rodzaj promieniowania. Wiesz – dodała szybko, jakby bojąc się, że jej przerwie – mam już nawet nazwę. „NF”, czyli „naukowo-fantastyczne”.

– Vivien, obawiam się, że tym razem nawet przy twojej pomocy nic z tego nie będzie.

– Bo nie dajesz mi skończyć. Zaraz będziesz miał fabułę, która uatrakcyjni całą tę filozofię.

Zapatrzona w sufit zaczęła powoli opowiadać.

– Na którąś z planet przybyła jedna z uczestniczek misji. (Powinieneś wybrać dla niej miło brzmiące, atrakcyjne imię.) Mimo młodego wieku i niebanalnej urody była na ojczystej planecie wybitnym naukowcem specjalizującym się w fizyce plazmy. Udało się jej niepostrzeżenie dostać w wybrany rejon planety. Powielacz syntetyzatorowy posłużył jej do wyprodukowania rzeczy niezbędnych dla rozpoczęcia normalnego tutaj życia, w tym także dokumentów, które w społeczeństwach wkraczających dopiero na drogę rozwoju, są podnoszone

do rangi fetyszów. Zamieszkała w jednym z wielkich miast. Swoją działalność rozpoczęła od przestudiowania literatury ze swojej specjalności i stwierdziła, że wiedza w niej zawarta jest bardzo nikła i obarczona błędami. W tej sytuacji dostanie się na studia podyplomowe było właściwie formalnością, tak samo jak ich ukończenie. Jediną trudnością była konieczność... ukrywania własnych wiadomości. W czasie studiów intensywnie zdobywała wiedzę, ale nie z dziedziny fizyki, tylko z historii planety, na którą przybyła, i jej dorobku kulturowego. Kiedy otrzymała dyplom doktorski, cieszyła się opinią zdolnego, początkującego naukowca.

Zwrócenie na siebie uwagi jednego z wybitniejszych naukowców w instytucie, w którym rozpoczęła pracę, także nie sprawiło jej większej trudności. Tym bardziej że trafiła na taki okres w jego życiu, w którym zaczął z niepokojem i smutkiem przyglądać się pustce wokół siebie. Jako żona i współpracowniczka uzyskała podwójną możliwość kierowania mężem.

– Czy wysyłano wyłącznie kobiety? – zażartował Christopher.

– Oczywiście, że nie, tamta cywilizacja także uznaje równouprawnienie płci – odpowiedziała Vivien tym samym, co on, tonem – ale wśród uczestników misji było bardzo dużo kobiet. Łatwiej jest im uniknąć sytuacji, które dla mężczyzn mogłyby się zakończyć kompromitacją i udaremieniem misji. Nie może przecież zjawić się, nie wiadomo skąd, nie znany nikomu człowiek i rozpocząć intensywną działalność naukową uwieńczoną niezwyklej sukcesami. Możliwa jest jedynie droga pośrednia, polegająca na inspirowaniu, podsuwaniu niby to przypadkowo pewnych ustaleń. Pozycja żony, która współpracuje z mężem lub przynajmniej podziela jego zainteresowania, jest dla tego celu idealna. Psychosocjologowie zagrożonej planety przygotowywali się do całej tej operacji równie intensywnie i starannie, jak służby kosmiczne, których zadaniem było wyszukać odpowiednie planety i dostarczyć na nie uczestników misji.

Dalej wszystko będzie się już odbywało w sposób bardziej naturalny: dzieci odziedziczą przecież także część osobowości przybyszów, ich predyspozycje i uzdolnienia. A planeta, na której znalazło się kiedyś jedno z ich rodziców, będzie już dla nich ojczyzną.

– Vivien – westchnął Christopher – starasz się, jak możesz, jeszcze nigdy tak usilnie do niczego mnie nie namawiałaś, ale naprawdę nic z tego nie będzie. Na najbliższe tygodnie opracowałem szczegółowy plan zajęć i niestety nie ma w nim miejsca na fantastykę. Pozostawmy ten temat w spokoju.

– Więc weź urlop, już tak dawno go nie miałaś, i wyjedźmy razem na dwa lub trzy tygodnie nad morze. Będziemy się kąpać, chodzili plażą na długie spacer, a wieczorami, jeżelibyś zechciał, mógłbyś pisać nowe opowiadanie. O gwiazdach, które także muszą umierać, i o człowieku, który nie chce się z tym pogodzić... – ściszyła głos widząc, że Christopher zasypia.

Po jakimś czasie, upewniwszy się, że mąż śpi, Vivien nie zapalając światła wstała z łóżka, narzuciła szlafrok i wyszła cicho na balkon. Patrzyła na uśpione, obce miasto, które ciągnęło się aż po horyzont świetlnymi liniami ulic, na zakłócające obraz, ciemne o tej porze, bryły wieżowców. Później podniosła głowę i spojrzała w niebo. Chłodny wiatr przywiał chmury. Tylko gdzieś między nimi przeblyskiwały na chwilę gwiazdy. Podmuchał jej włosy. Owinęła się szczelnie szlafrokiem i oparłszy o mur, zamarła w bezruchu.

Gdyby Christopher był teraz przy niej, odgadłby bez trudu, że Vivien patrzy w kierunku gwiazdozbioru Wężownika. Ale Christopher spał.

Andrzej Czechowski

Ambasadorowie

Wprawdzie Khoggo ani wyglądem, ani składem chemicznym nie różnił się od zwykłego kamienia (od którego zresztą pochodził), jednak mieszkańcy śmietnika dobrze znali jego prawdziwą naturę. Oczywiście znajomość była wzajemna. Emisji fal podprzestrzennych trudno nie zauważyć, zwłaszcza takiemu specjaliście w tej dziedzinie, jakim był Khoggo; a ścieżki osób, które zajmują się tym samym, muszą przecinać się w wielu różnych miejscach. Wreszcie wspólne zainteresowania stanowią dobrą podstawę do nawiązania znajomości, a jeśli nawet ma się coś do ukrycia, nie szkodzi udawać, że jest akurat odwrotnie. Jeżeli to było konieczne, Khoggo potrafił się poruszać; ale zazwyczaj spoczywał spokojnie, do połowy zagłębiony w ziemię, w pobliżu zardzewiałej puszki albo żółkłej kartki papieru, w których trudno by było doszukać się czegoś godnego uwagi; jednak Khoggo dobrze wiedział, że w ten sposób najpewniej zdoła zaintrygować innych mieszkańców śmietnika. Khoggo zupełnie zasłużenie uważany był za naprawdę przebiegłego. Inna rzecz, że ta chytryść nie zawsze służyła ważniejszym celom niż zabawienie Khogga. Teraz także nie próbował badać swojego bezpośredniego otoczenia; nie poruszając się, spowolniony swój Cykl Życiowy, czekał po prostu, aż się coś wydarzy.

W pewnej chwili coś uderzyło o puszkę i tuż przed nosem Khogga posypały się grudki ziemi. Ffang jak zwykle uważał, że musi zwracać na siebie uwagę efektami akustycznymi. Mieścił się doskonale w płaskim odłamku cegły i był jednym z najbardziej ruchliwych mieszkańców śmietnika. Czasami wypuszczał się na dalekie wyprawy i opowiadano, że raz bawiące się dzieci użyły go zamiast dysku. Stanowiłoby to wspaniałą historię w raporcie do centrali, ale wyglądało na to, że Ffang o tej sprawie milczał.

– Dziś nic nowego – powiedział. – Same butelki po piętnaście bitów. Można pomyśleć, że jesteśmy na pustyni.

(Naturalnie Ffang mówił po ziemsku; jeżeli ktoś uważa to za dziwne, niech się zastanowi, jaki właściwie język musieli znać wspólnie wszyscy mieszkańcy śmietnika. Z to zamiast głosu Ffang posługiwał się falami podprzestrzennymi, które są znacznie wygodniejsze i dla ludzi zupełnie niesłyszalne. Można by je porównać do telepatii, gdyby ona, oczywiście, istniała.)

W odpowiedzi na to Khoggo odwrócił się wewnątrz swojego kamienia. Śmieci wyrzucano najczęściej z drugiej strony śmietnika, gdzie zatrzymywały się samochody: codziennie była to okazja do zbiórki niemal wszystkich mieszkańców śmietnika. Sam Khoggo rzadko bywał obecny, ponieważ po cichu wyznawał teorię, że nie można zrobić odkrycia i zaraz się nie wygadać; wolał przeprowadzać sam swoje poszukiwania, a w gromadzie pojawiał się tylko wtedy, gdy zaciekało go coś, co podsłuchał. Tego dnia jeszcze nie widział nowych śmieci, ale nie miał też żadnego powodu, żeby nie wierzyć słowom Ffanga.

– Gazety piszą o likwidacji śmietników – ciągnął tamten. – Podobno wynaleziono taką maszynę, która zgniata samochód w foremny sześcian. Przeczytałem, że śmietniki są „wąskim gardłem cywilizacji”. Zobaczysz, przyjdzie czas i będziemy musieli się stąd zabierać. Wszyscy ruszymy w szeroki świat, Khoggo!

Khoggo dobrze wiedział, że Ffang próbuje go zirytować i w ten sposób sprowokować do mówienia; nie miał zresztą zamiaru odmówić mu tej przyjemności. Rozmowy mieszkańców

śmietnika rzadko zawierały wiele istotnych informacji : z przyczyn językowych i ze względu na głębokie różnice strukturalne niemal zawsze ograniczały się do spraw, które były przedmiotem bezpośrednich zainteresowań rozmawiających. Najczęściej była to wymiana cytatów z przeczytanych gazet, oczywiście jeżeli pominąć zwyczajne plotki towarzyskie. Te ostatnie były uważnie podsłuchiwane i szczególnie urozmaicały życie na śmietniku.

– Zawsze myślałem, że śmietniki stanowią ognisko cywilizacji – powiedział sentencjonalnie Khoggo. – Teraz też tak uważam. Nie ma produktu cywilizacji, którego droga nie prowadziła na śmietnik. Tu gromadzą się przedmioty używane, ze śladami, które wskazują, w jaki sposób ich używano, i nigdzie szczegóły technologii nie wychodzą na jaw łatwiej niż w warunkach śmietnika. Wreszcie tu gromadzi się informacja odrzucana przez cywilizację; moim zdaniem więcej można z niej uzyskać niż z tej informacji, którą cywilizacja przyjmuje. To są zasady, na których opiera się moja misja na Ziemi, i ja z nimi zupełnie się zgadzam. Oczywiście nie mogę wiedzieć, co myśli się na Arkturze.

Ffang nic nie odpowiedział. Wiercił się w miejscu, zostawiając czerwony ślad na puszcze. Khoggo starał się nie patrzeć w jego stronę. Ponieważ sam nie lubił poruszać się bez potrzeby, nadmierną ruchliwość innych uważał prawie za osobistą obrazę. Przejawiał się w tym atawizm; współcześnie w ojczyźnie Khogga nikt nawet nie próbowałby zarzucić mu lenistwa. Po chwili Khoggo podjął swoje wywody:

– Cywilizacja jest Strefą Podwyższonej Organizacji. Wiadomo, że dookoła takiej strefy powstaje zawsze Obszar Podwyższonej Dezorganizacji, zgodnie z bardzo ogólnym prawem natury. Dotyczy to w równym stopniu kultury materialnej, jak i umysłowej. Porządek tworzy nieporządek; jest to słuszne w każdym punkcie Wszechświata. Jednak jako nie tylko Prawo, ale i Paradoks natury, prawda ta nie od razu daje się powszechnie zrozumieć. Wypowiadane są więc i odmienne poglądy. Na przykład takie, o których wspominałeś. Oczywiście ani trochę nie podważą to prawdziwych zasad: przeciwnie, jeszcze raz je potwierdza. Tyle chciałem powiedzieć, Ffang.

Jednocześnie Khoggo zogniskował swoje receptory na Ffangu; ale Ffang wcale nie wydawał się speszony.

– Temu nie przeczę, Khoggo – powiedział. – Miałem na myśli zmiany przejściowe. Wiesz doskonale, że możliwe są różne odchylenia. Przypomnij sobie o tym, co działo się na Procjonie, albo o stagnacji i upadku Haddamarów. Profesor William Harrows z Uniwersytetu Kalifornijskiego nie zamierza ukrywać niebezpieczeństw, związanych z dalszym wzrostem gospodarczym. Cierpimy na nadmiar dóbr materialnych powodujących nadmierną konsumpcję. Człowiek utracił kontakt z naturą – mówi profesor Konrad Lorenz. Jakie alternatywy pan proponuje dla – widzisz, Khoggo? Takie rzeczy znajduję niemal na każdej kartce papieru.

– Ale zapominasz o imponderabiliach – przerwał mu Khoggo, niezadowolony z takiego obrotu rozmowy. – „Stare śmieci” to przecież zwrot o wyraźnie dodatnim zabarwieniu; to coś, do czego się wraca. O Nowym Jorku czytałem, że powoli zamienia się w wielki śmietnik; ale na tej samej stronie było napisane, że jest on miastem o niepowtarzalnym charakterze. Dyskusje toczą się zawsze, ale zwycięża pogląd, który ma większe podstawy w praktyce. Tradycja i obiektywne prawa rozwoju wspierają się nawzajem, bo w wyniku działania tych praw powstaje tradycja.

(Wbrew pozorom Khoggo wcale nie był taki pewny siebie. Szczególnie argument o Nowym Jorku wydawał mu się mało przekonujący. Ale, jak już zostało powiedziane, działał tu atawizm.)

– W porządku – rozpoczął Ffang, ale w tej samej chwili usłyszeli pozdrowienie i czerwony, błyszczący przedmiot znalazł się pomiędzy nimi. Była to Margalę przybywająca z kolejną wizytą do Khogga. Jako jedynaczka tutejszej kolonii, Margalę uważała za punkt honoru

podkreślanie swojej wrażliwości estetycznej i szczególnej odrębności logiki, którą się posługiwała. W rzeczywistości kolorowe szkieleto ukrywało jednego z najbardziej wytrawnych szpiegów, jakimi dysponowała Służba Informacyjna na Altairze. Wszyscy domyślali się prawdy o Margaly, ale domysły to jednak nie to samo, co pewność, tym bardziej że każdy swoje zdanie zachowywał dla siebie. Dlatego przyjęta rola opłacała się Margaly.

(To, że Natura w różnych miejscach świata wybiera takie same drogi, nie powinno wydawać się dziwne. Dwie płci stanowią najprostsze rozwiązanie, a intelekt jest znacznie bardziej uniwersalny, niż się na ogół przypuszcza. Zresztą Khoggo pochodził z gwiazdy znacznie odleglejszej od Altaira niż Ziemia, a więc to on raczej miałby prawo się dziwić.)

– Wy zawsze rozmawiacie o czymś ciekawym – powiedziała Margaly do Ffanga i Khogga. – Ale za to jak nudzę się na innych wizytach! Ryyl i Ao są chyba najgorsi. Przez cały czas przerabiają zadania szachowe. „Wskażać najsilniejszą kontynuację” albo: „Mat w dwóch posunięciach”. A znów Gumm ciągle rozwiązuje krzyżówki, bo, jak mówi, umysł najlepiej odpoczywa w działaniu.

– Rozmawialiśmy o przyszłości – wyjaśnił Ffang. – Uważam, że czeka nas wędrówka, ale Khoggo nie zgadza się ze mną.

– Ach, nie? – rzekła Margaly. – Sama dziś byłam na spacerze. Rano była piękna pogoda, niebo odbijało się w kałużach i osty były tak piękne! Niektóre kałuże pokrywała warstewka benzyny: jakie efekty barwne! Oczywiście mówię o kałużach w pobliżu drogi; para benzyny kondensuje się tam z powietrza. Samochody nie spalają benzyny całkowicie. Oczywiście to prawdziwe marnotrawstwo energii.

– A co ty o tym myślisz, Ffang? – zapytał złośliwie Khoggo.

Ffang poruszył się niespokojnie. Pomyłka, którą Ffang popełnił, gdy wrak starego samochodu porzuconego na śmietniku uznał, nie zadając sobie trudu obejrzenia silnika[^] za pojazd elektryczny i przekazał swój werdykt zaraz na Arktura, stała się tematem jednej z najbardziej popularnych anegdot na śmietniku. Ffang nie miał sobie za złe pomyłki, ponieważ pojazd napędzany benzyną wydawał mu się nie do pogodzenia ze zdrowym rozsądkiem; ale żałował, że nie zaszyfrował przekazywanej informacji.

Ponieważ wcale jej nie sprostował, śledził teraz z uwagą postępy prac nad samochodami elektrycznymi: chociaż nie obawiał się inspekcji, widmo przyszłego zmiennika trochę go niepokoiło.

– Powiedz, co o tym myślisz, Margaly – powiedział pośpiesznie. – Zastanawiam się, czy wybraliśmy najwłaściwszą taktykę eksploracji. Khoggo uważa, że śmietnik jest ogniskiem, w którym skupia się cały obraz; ale jeżeli nie jest jedynym ogniskiem –

– Nie wmawiaj mi niczego – wtrącił zirytowany Khoggo.

– Sama nie wiem – powiedziała Margaly. – Ale jesteśmy tu po to, żeby badać, czym ludzie różnią się od nas, a nie czym nas przypominają, prawda? Ich cywilizacja techniczna wydaje mi się bardzo nieciekawa. Nudzą mnie te szczegóły: co było najpierw, benzyna czy para? Tym, co cenię najbardziej, jest ich kultura ogólna, a szczególnie sztuka. Uważam, że mają w niej prawdziwe osiągnięcia, jak na przykład „Dover Pięć. Trup przychodzi po komisarza”. Streściłam tę książkę w moim ostatnim raporcie dla Altaira.

– Nie wiedzą nic o pod przestrzeń i – rzekł Khoggo w zamyśleniu – a matematyka służy im do liczenia przedmiotów użytkowych, jak wynika z problemów opisanych w książce, którą znalazłem w zeszłym roku. Oczywiście musieli dokonać czegoś od tamtej pory: bądź co bądź ta książka znalazła się na śmietniku. Do gwiazd im jednak daleko w każdym razie. Uważam – ale oto i deszcz, Margaly! Pogoda zmienia się teraz z godziny na godzinę.

Iyx przybrał aktywną postać i wy dostał się na zewnątrz spróchniałego pnia drzewa, które

służyło mu za miejsce do rozmyślań. Jako przybysz z Centrum Galaktyki był niewidzialny dla prymitywnych, podprzestrzennych zmysłów pozostałych mieszkańców śmietnika. Nie interesowały go ich rozmowy; właściwie przestał już zdawać sobie sprawę z tego, że pochodzą oni spoza tej planety. Unosząc się swobodnie w powietrzu, uważnie obserwował spadające krople. Wysubtelnione receptory lyxa rejestrowały dokładnie szczegóły ich budowy. Każda kropla była inna; tylko natura potrafi wytworzyć taką różnorodność.

Chłodny umysł lyxa nie przeceniał zalet naprawdę dzikiej Natury. Wiedział on, że różnorodność form najlepiej się prezentuje w zestawieniu ze zorganizowanym, surowym tłem cywilizacji. Miejsce swojego pobytu na Ziemi lyx wybrał posługując się ustalonym zawczasu algorytmem poszukiwania: jego realizacja zabrała mu nie więcej niż dwie sekundy czasu, a rezultat zgadzał się dobrze z oczekiwaniami. Przed wyruszeniem w podróż do innych zamieszkałych gwiazd w Ramieniu Spiralnym lyx gromadził teraz wrażenia, których systematyka i formalizacja miały mu zająć czas w kolejnym etapie podróży.

